

Wanda Miłaszewska  
O złoty włos  
Księgarnia św. Wojciecha  
Poznań - Warszawa - Wilno - Lublin.  
1925-1926

Powieść

PWZN  
Print 6  
Lublin 1995  
Przedruk na podstawie  
pozycji wydanej przez  
Księgarnię św. Wojciecha  
Poznań - Warszawa  
- Wilno - Lublin.  
Wielka Bobra - Warszawa  
Rok wydania 1925-1926.

Rozdział wstępny.Ń  
Uśmiech Fortuny

Siedmnastego marca - Tadeusz dobrze zapamiętał ową datę - nieobfita zwykle poczta poranna przyniosła aż dwie doniosłej wagi nowiny.

Pierwsza - była to oczekiwana tak niecierpliwie i tak oddawna nominacja. Mały, urzędowy karteluszek, pokryty pieczęciami i opatrzony podpisem, wzywał Tadeusza Halickiego, porucznika W.P. do stawienia się w kancelarji szefa sztabu, celem... etc. etc.

- Hip hip, hurra! - zawołał, wymachując papierkiem. - Jestem więc nareszcie rotmistrzem! Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Marcinowo! Marcinowo!

- Zara idę, zara, tylko mleko zestawię, bo my wykipi! - odparła z sąsiedniej kuchenki kobieta i natychmiast dorzuciła zrzędzącym tonem. - Cóż to, pali się, że pan porucznik tak dzisiaj o śniadanie gwałtuje?

- Nie porucznik, a rotmistrz! Słyszysz Marcinowa? Rotmistrz. I proszę do mnie z szacunkiem. Słyszysz Marcinowa?

- Ady słyszę. Rotmistrz. Wielgie co. I za jeneralskom pensyjom jeszcze pan porucznik... te, chciałam powiedzieć pan rotmistrz, ledwieby koniec z końcem związał. Takie caszy tera, na wojskowych niełaskawe. Lepiej się opłaci na ten przykład ulice zamiatać, niż we wojsku oficerem...

- Niechno Marcinowa przestanie na chwilę użalać się nade mną, a powie lepiej, czy listonosz czeka jeszcze za drzwiami.

- A naco miałyby czekać? Zastukał, oddał pocztę i tyle. Pewnie już dawno zeszedł nadół.

- To może Marcinowa skoczy za nim, co? Za taką nowinę należy mu się przecież złotówka.

- Właśnie, zara skiknę, z czwartego piętra na podwórze...

- Można zawołać przez okno - zauważył Tadeusz. - Tylko że Marcinowa

zawsze trudności wynajduje. To się nazywa bierny opór. No, niechże Marcinowa krzyknie z kuchni, a głośno, żeby listonosz usłyszał...

- Usłyszysz. Jak o złotówkę, to usłyszysz. Pewnie się ani spodziewał od pana porucznika... chciałam powiedzieć - rotmistrza, zarobić dzisiaj taki grosz - zamruczała, wychodząc z pokoju.

Tadeusz znowu przeczytał kartkę i nagle przypomniał sobie, że był jeszcze jakiś drugi list. Wziął go do ręki i począł oglądać z obu stron, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. Na niebieskiej, handlowej kopercie widniał adres wysyłającego: X., adwokat przysięgły, ulica i numer domu.

- Co u licha! - szepnął Tadeusz do siebie i przetarł oczy. To także jakiś urzędowy papiererek, bo przecież nie mam znajomych adwokatów i nie przypominam sobie, abym z nimi uprawiał korespondencję.

Szybko rozdarł kopertę. Gdy Marcinowa powróciła, oświadczając, że listonosza już ani dudu w kamienicy, rotmistrz Halicki siedział w fotelu nieruchomo, wpatrzony magnetycznie w jeden punkt na biurku.

- Dać tera kawę? - spytała baba, nieco zdumiona wyglądem swego chlebodawcy. Nie otrzymawszy odpowiedzi, wzruszyła ramionami, wreszcie podeszła bliżej i dotknęła rotmistrzowskiego ramienia.

- Co pan siedzi? Dać kawę zara, czy się pan wprzód ogoli?

- Powiedzcie mi, moi kochani - rzekł dziwnie wolno i dobitnie Tadeusz. - Na imię wam Marcinowa, prawda?

- Ano, po mężu nieboszczyku niby odparła zdumiona.

- I dziś jest czwartek?

- Juści, czwartek.

- Siedmnastego marca?

- Musi siedmnastego, bo wczoraj był szesnasty...

- Czwartek? I ten mosiężny lichtarz stoi tutaj na pewno na biurku?

- W Imię Ojca i Syna... Co pan dzisiaj wyrabia...

- Stoi, czy nie stoi, powiedzcie! - krzyknął Tadeusz.

- Dlaczego nie ma stać? A że go wczoraj nie wyczyściłam, to właśnie panu chciałam powiedzieć: kredy mi zbrakło...

- Chwała Bogu! - odetchnął z ulgą świeżo upieczony rotmistrz - bo jeżeli mamy dzisiaj czwartek, siedmnastego marca i jeżeli ten lichtarz stoi na biurku i wy, Marcinowa, przysięgacie mi, że stoi na pewno, to znaczy chyba, że jestem przy zdrowych zmysłach, co?

- A niech Bóg najlepszy uchowa, żeby też pan porucznik... rotmistrz, chciałam rzec...

- Nie zwarzowałem i nie śnię! - powtórzył wesoło Tadeusz - ale można było zwarzować z radości! W jednym dniu takie zmiany! Rozumiecie to, Marcinowa?...

- Tak, troszkę niebardzo... Tylko, chwalić Boga, cieszy coś pana...

- Odziedziczyłem spadek.

- Majątek niby? - otworzyła szeroko oczy.

- Pieniądze! Rozumie Marcinowa? Pieniądze i - co ważniejsze dla mnie - mieszkanie! Hurra! Hurra! Hurra!

Skoczył przy tych słowach na równe nogi, chwycił oszołomioną babę wpół i zakręcił nią kilka razy jak frygą. Aż się zachwiała.

- Rozumiecie teraz? No, rozumiecie? Bo ja sam jeszcze wierzyć nie śmiem...

- Winszuję wielmożnemu panu - rzekła cokolwiek zadyszany głosem. Niedowierzająco patrzyła jeszcze na Tadeusza, na jego ruchy gwałtówne i twarz, pełną radosnego triumfu. On tymczasem chodził po pokoju wielkimi krokami, przystawał koło biurka, chwycił list, odkładał, znów go brał do ręki i mruzczał co chwila: no, no, no! Wreszcie oprzytomniał zupełnie, roześmiał się na całe gardło i klepnął babę przyjacielsko po ramieniu.

- Miałem ciotkę, rozumiecie, ciotkę. To się czasami zdarza. Ale żeby taka ciotka, dziesiąta woda po kisielu, umierając, zapisała cały swój majątek dalekiemu krewnemu, ubogiemu oficerkowi - no, to się chyba zdarza jeden raz na sto tysięcy starych, zamożnych ciotek!

- A duży to majątek, proszę pana? - wtrąciła Marcinowa z ciekawością, pełną respektu.

Tadeusz wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem? Adwokat pisze ogólnikowo.

Wymienił tylko gotówkę, ale są jakieś tam papiery wartościowe. No - i co najważniejsze - mieszkanie! Zostało po nieboszczce mieszkanie!

- Pewnikiem się pan przeprowadzi od lipca?

- A naturalnie, przeprowadzę się. Nawet wcześniej, jeżeli to będzie możliwe. I pianino kupię nareszcie, jeżeli go tam nie zastanę, bo mieszkanie z meblami. I ożenię się. Rozumie Marcinowa? Ożenię się!

- Co nie mam rozumieć? Na tem, to się każdy rozumie, jak mu wiek przyjdzie. A ze mną co będzie? Chyba mnie pan zostawi u siebie? Za tyle uczciwej pracy... Blisko dwa lata u pana posługuję... To mię pan przecie nie odprawi z kwitkiem, jak mu się poszczęściło. Już ja wiem, że pan ma serce złote...

- A wy srebrną wymowę, bo na milczenie to was rzadko kiedy stać. Ruszajcie no, Marcinowa, do kuchni. Przez dwa lata jednej filiżanki porządnej kawy nie wypilem, z waszej łaski. Jak zostanieie u mnie, to się tego musicie nauczyć, żeby kawa była gorąca, a mleko bez kożuszka, bo niecierpię...

- Już pan wydziwiał. A chto winien? Jak mleko stoi godzinę na ogniu, to ja nic nie poradzę. I niech pan da pieniądze na miasto, bo zara po śniadaniu wychodzę.

- Pieniądze? Znowu pieniądze? Wczoraj przecież dałem wam całe pięć złotych - mruknął, szukając po kieszeniach.

- Właśnie, pięć. Papierosy pewnie dla siebie kupowałam, dwie paczki. A rachunek za elektryczność czwarty dzień czeka. Jak się nie zapłaci, to zamkną. A jeszcze w tym tygodniu pranie trzeba odebrać... To wszystko może zapłacę z tej kapaniny, co mi pan daje? A niech znowu przydą z dołu od szewca...

- Już, dobrze. Macie tu, Marcinowa, pięćdziesiąt złotych. Róbcie, co chcecie, a ja więcej do końca miesiąca nie dam - bo nie mam.

I nagle klasnął w ręce, jak dziecko:

- Ale to już ostatnie kłopoty! Będę miał pieniądze! Będę miał mieszkanie! No - doczekam ja się wreszcie tej kawy? Czyście się, Marcinowa, zamienili w słup soli? A woda gorąca gdzie?

- Więc jak ma być? - odparła baba urażona - ogoli się pan, czy nasamprzód śniadanie podać?

## Rozdział I.Ñ

### Spotkanie

Był to pierwszy jasny i ciepły, iście wiosenny dzień. Od rogatek miejskich wdarły się rzeźkie podmuchy i hasały niefrasobliwie po ulicach, pełnych jeszcze stężałego błota, co ongi było śniegiem, a teraz leżało sobie, zbite w kupy stróżowską łopata i powolutku tajało w słońcu.

Przechodnie obrzucali się wzajemnie uśmiechniętem spojrzeniem, w którym można było wyczytać dobrotliwą uwagę:

- A co? Ładny mamy dzień, bracie! Czujesz, jak wiosna pachnie?

Młode kobiety porozpinały futrzane kołnierze palt, ukazując matową białość szyi. Jakaś odświeżona radość biła ze wszystkich oczu, nawet w głosie ulicznych przekupniów można było pochwycić rzewniejszą nutę, a dzwonki tramwajowe dźwięczały prawie srebrzyście.

Tadeusz skończył rozmowę z adwokatem około południa i wyszedł na ulicę. Spojrzawszy na pogodne niebo i jasno-złote blaski słoneczne, tańczące po murach wysokich kamienic - zamiast do domu, skierował się ku Alejom.

Czuł nieprzepartą ochotę śpiewać na cały głos, lub gwizdać wesołe, żołnierskie piosenki. W jakiejś chwili dostrzegł rozbawioną minę przechodnia, który mu się ciekawie przyglądał. Wówczas pomyślał, że głupio musi wyglądać rotmistrz wojsk polskich, śmiejący się sam do siebie na ulicy...

Nie mógł jednak powściągnąć radosnych błysków oczu, które strzelały spojrzeniem tak buńczucznie, że kilka młodych pańienek opuściło wzrok ku ziemi, jedna zaś odpłacała mu zalotnym uśmiechem, aż się obejrzał. Była to przystojna brunetka, w czapeczce gimnazjalnej, z warkoczem spuszczonej na plecy.

- Niczego mała - pomyślał Tadeusz i natychmiast nowa fala radości spłynęła mu do serca. Oddawna nie czuł takiej chęci do życia, takiej pełni młodości i siły.

Drzewa, niebo, obłoki, wróble na gałęziach, nawet szare i brzydkie domiska zdawały się uśmiechać do niego i powtarzać: Jesteś młody, jesteś przystojny, masz być zapewniony, cały świat należy dzisiaj do ciebie. Dziesięć lat chłodu i głodu spędziłeś w twardej służbie, na koniu i w okopach, a teraz czeka cię dziesięć, może więcej, lat sytych, zasłużonego wypoczynku.

I po raz setny Tadeusz począł wyobrażać sobie tę piękną przyszłość: własne ognisko domowe, za którym nieustannie tęsknił przez tyle lat. Życie, jak w zegarku. Dość już tej "tymczasowości", tych wiecznych tułaczek, przygód mniej lub więcej przyjemnych. Dotychczas życie całe było dla niego jedną wielką przygodą. Teraz się wreszcie zacznie żywot poważnego, dojrzałego człowieka. Żywot serjo. A więc przede wszystkim - małżeństwo.

Tadeusz widział w marzeniach swą przyszłą żonę: musi to być istota miła, cicha, gospodarna, o słodkich oczach, ma się rozumieć - niebrzydka. Będzie kochała męża, dom, dzieci. Tak, naturalnie, dzieci. Będzie lubiła przesiadywać o zmierzchu w mieszkaniu, które sobie urządzą skromnie, ale wygodnie. Od czasu do czasu teatr, jakaś wizyta, jakieś małe przyjęcie dla grona bliskich przyjaciół. Tak, będą bardzo lubili oboje przyjmować gości, lecz nie za często. Ich dom musi być przede wszystkim ich własnym gniazdkiem, najmiłszym zakątkiem na świecie, miejscem wypoczynku po pracy, źródłem cichego i nieustającego szczęścia.

Począł teraz przebiegać myślą całe swe krótkie, bujne życie. Wydobywał z lamusa wspomnień imiona i postacie wszystkich kobiet, które znał blisko, czasem bardzo blisko, czasem tylko przelotnie, z widzenia, z jakiegoś rautu, z koncertu, z jakiegoś białego dworku, gdzie spędził na popasie kilka cichych godzin wytchnienia, z jakiejś gwiazdki na froncie, dokąd panie z miasta przyjeżdżały rozdawać upominki żołnierzom.

Były w tych wspomnieniach twarze jasne i miłe, oczy pogodne i chmurne, głosy dźwięczne i jakby zgaszone, - kobiety piękne i brzydkie, albo zupełnie nijakie. Ileż razy przelotnie ujrzaną istotę, której nazwiska nie zapamiętał nawet, nazywał w myślach swoją przyszłą żoną.

"Z tą bym się ożenił" - mawiali jego koledzy i on mawiał i myślał tak samo. Pragnienie założenia własnego domu nie opuszczało go prawie nigdy, chyba w chwilach wyjątkowo złych, w sytuacjach wyjątkowo ciężkich, gdy nad głową bez przerwy krążyła śmierć. Nie ta - z legend i opowieści bohaterskich, cała złota i purpurowa, ale ta szara, chytra, przyczajona w bagniskach, kryjąca się za każdym drzewem leśnym w ciemną, złowróżbną noc.

A i wtedy nawet, gdy zziębnięty i przemoczony deszczem do nitki jechał na czele małego oddziału prosto w sidła tej zdradzieckiej śmierci, - lubił, przymknawszy na chwilę oczy, wsłuchując się w chlupot nóg końskich po błocie, pomyśleć o cichym, ciepłym domu, w którym czekać będą na niego miękkie, dobre kobiece ramiona. Tak, ramiona zawsze dla niego otwarte, kochające, gotowe w każdej chwili ukoić obie jego tęsknoty: tę dojrzałą, męską i tę bezradną, prawie dziecięcą tęsknotę za domem rodzinnym i macierzyńską opieką.

W pierwszym wybuchu radości na wieść o niespodziewanym dziedzictwie, Tadeusz pomyślał: ożenię się!

I teraz, włócząc się po mieście w piękny, wiosenny dzień, powtarzał sobie z przeświadczeniem:

- Ożenię się. Będę miał dom, żonę i dzieci.

I znowu wygrzebywał w pamięci wszystkie możliwe kandydatki, poddając każdą z nich krytyce ostrej i wszechstronnej. Wrócił nawet myślą do owej pańienki, która go przed chwilą minęła, lecz wzruszył ramionami:

- Młoda i trzpiot. Pewnie się do wszystkich tak ładnie uśmiecha.

I zaraz dodał w duchu:

- Zresztą, nie lubię brunetek.

To mu przypomniało panią Lutę, która była przecieź brunetką i pewną, spotkaną na Ukrainie dziewczynę o warkoczach z granatowym połyskiem. Obie kochał w swoim czasie równie gorąco, choć zupełnie inaczej: panią Lutę przez wiele miesięcy, z męką szarpiącą, - a ową młodocię przez kilka dni zaledwie, krótko i mocno.

Teraz myślał obojętnie o czarnobrewej ukraince, a z lekkim sarkazmem o pani Lucie, która miewała za dużo czasu i nerwów do rozporządzenia w ich wzajemnym stosunku.

I znów oczami duszy ujrzał swą przyszłą żonę. O, ta nie będzie w niczem do nich podobna, chociaż potrafi go kochać równie mocno, tylko lepiej.

Mimowoli sięgnął do kieszeni i wydobyl zawiniątko, które otrzymał od adwokata. Była to niewielka, kwadratowa paczuszka, opatrzona lakową pieczętą z napisem: "Dla Maniusi Lipskiej, po mojej śmierci". A u góry, trochę krzywo, innym atramentem: "oddać do rąk własnych".

- Śmieszne dziwactwo zacnej cioci - szepnął Tadeusz - chociaż... Ha, ha! A może właśnie owa "Manusia" jest mi sądzona!

Zamyślił się i począł znów odgrzebywać dalekie wspomnienia.

- Lipska... Lipska... - powtarzał półgłosem - coś sobie przypominam... Jeśli to z tych...

- Pewnie z tych samych, panie rotmistrzu - wyrwał go z zadumy świeży, dziecięcy głos.

Zaskoczony, podniósł głowę, by się przekonać, że minął ostatni tramwajowy przystanek i że odpowiedź na głośny monolog padła z ust młodziutkiej, może czterastoletniej dziewczyny, przypatrującej mu się ciekawie. Tadeusz przyłożył palce do czapki i odparł, uśmiechając się:

- Dziękuję pani za informację, choć nie wiem, czy jest ścisła...

- O, - rzekła dziewczynka, czerwieniąc się gwałtownie - proszę tylko nie myśleć, że ja rozmawiam z obcymi na ulicy! Ale pan powtórzył głośno, dwa razy: Lipska... Lipska... Więc tak mi się wyrwało. A zresztą ja przecieź znam pana z fotografii...

- Doprawdy? - podszedł bliżej, zaciekawiony słowami tej rezolutnej osóбки.

- A tak - odparła, potakując głową energicznie - moja siostra ma pańską fotografię w albumie. Napewno się nie mylę. Pan rotmistrz jest tam w cywilu i siedzi na czereśni, ale taki podobny... Chociaż to już dawne czasy! Mieszkaliśmy wtedy w Markowie...

- Markowo... Markowo - szepnął Tadeusz i w tej samej chwili przypomniał sobie długą białą drogę, wysadzaną klonami, długi, biały domek z łamanym dachem, oraz mnóstwo niezmiernie miłych twarzy, opalonych od słońca na bronz.

- No tak, Markowo. Przecieź pan tam był. Spędził pan wakacje w Markowie, bo przecieź pan był korepe...

- Ależ naturalnie! Naturalnie! Pamiętam! Jestem Halicki. Jakże się cieszę, że spotkałem dawną znajomą...

- A ja jestem Wandzia Lipska. Coprawda, tośmy się wtedy nie znali. Musiałam być bardzo mała, albo wogóle... Moja siostra mogła wtedy wyglądać tak jak ja...

- Panna... panna Marja?

- Właśnie, Mania. Przypomniał pan sobie! Aha!... To się dopiero Mania zdziwi, jak jej opowiem! No, nareszcie nadjeżdża tramwaj.

- Zdaje się, że jedziemy w jedną stronę - rzekł Tadeusz, podając ramię dziewczynce. Ale panna Wandzia, wzgardziwszy pomocą, wskoczyła na stopnie ze zwinnością wiewiórki, więc dażąc za nią ku przedniej platformie, ciągnął z ożywieniem:

- Co za spotkanie! I proszę sobie wyobrazić, że właśnie wybierałem się do siostry pani... Do państwa - poprawił - bo mam pannie Marji wręczyć depozyt... I zamierzałem właśnie w tych dniach...

- Co to znaczy depozyt? - przerwała dziewczynka.

- To... taki przedmiot, pozostawiony komuś na przechowanie, a nie będący jego własnością - tłumaczył, rozbawiony prostotą tej małej osóbkii - otóż moja ciotka, niedawno zmarła, poleciła wręczyć tę paczuszkę osobiście... Tylko zapomniała podać adres...

- To pewnie panna Leokadja? - wtrąciła Wandzia, a Tadeusz pomyślał:

- Ta mała wszystko wie. Czyżby mnie z Lipskimi łączyły jakieś węzły pokrewieństwa, lub powinowactwa? Nie mogę sobie przypomnieć... W każdym razie, na wszelki wypadek, wartoby wybadać zřecznie...

Ale nie zdążył nawet sformułować pierwszego zapytania, gdy Wandzia krzyknęła nagle:

- Boże! To już Chmielna! Na następnym przystanku wysiadam. Więc mam powiedzieć Mani, że pan przyjdzie z tym... depozytem, co? Tylko proszę nie przychodzić ani we czwartek, ani w piątek, ani we wtorek, bo w te dni Mania ma dużo roboty, późno wraca do domu i zawsze wtedy jest zmęczona i głodna...

- Więc kiedy przyjść? Proszę o radę.

- Najlepiej w niedzielę, bo wtedy wszyscy są w domu. Albo w sobotę po południu. Tak, w sobotę. Mania o pierwszej wraca z biura.

- To panna Marja chodzi do biura?

- A cóż pan sobie myśli? My wszyscy pracujemy. Nawet Olek. A ja teraz właśnie jadę oddać moją robotę... O, tutaj w tej teczce...

Tramwaj zatrzymał się gwałtownie i panna Wandzia, nie zdążywszy nawet objaśnić, co ma "tutaj w tej teczce" wyskoczyła z pośpiechem. Dopiero znalazłszy się na trotuarze, machnęła kilka razy rączką i krzyknęła, nie zwracając uwagi na przechodniów:

- Śmieszna figa! - pomyślał Tadeusz, wysiadając na następnym przystanku.

Wyciągnął zegarek: było po trzeciej.

- To dlatego czuję taki głód. A ta smarkata zaciągnęła mnie aż tak daleko od domu - mruknął, zapominając, że sam ofiarował swe towarzystwo - muszę teraz nadłożyć drogi i spóźnię się na obiad. Marcinowa znowu zwali na mnie winę, że befsztyk twardy, jak podeszew...

## Rozdział II.Ñ

### Przyjacieli z ławy szkolnej

Wbrew wszelkiemu spodziewaniu Marcinowa ani myślała burczeć, że "obiad przestygł bez to spóźnianie", tylko zasuważąc łańcuch od drzwi, szepnęła tajemniczo:

- Jakiś pan czeka na pana w pokoju.

- Któż to taki? - spytał Tadeusz.

- Bo ja wiem. Jakiś obcy. Pytał, kiedy pan przyńdzie, powiedział, że zaczeka, wzion gazetę i siedzi już dobre pół godziny.

Na widok wchodzącego, gość powstał z miejsca, odłożył tygodnik i wyciągnął ramiona.

- Roger! - krzyknął Tadeusz radośnie.

Padli sobie w objęcia i wycalowali się z dubeltówki.

- Skąd się wziąłeś? Jakże się cieszę! Co się z tobą działo przez ten czas? Dawno tu jesteś? - wypytywał gospodarz, pociągając gościa ku światłu - pokażno się! Nic się nie zmieniłeś!... Nic a nic! A przecież to dobrych parę lat... Czekał, kiedyśmy się widzieli ostatni raz?

- Miałem wtedy ranę postrzałową lewego płuca. Odwiedziłeś mię w szpitalu, pamiętasz? To było... zaraz... To było w N.; o ile pamiętam.

- Ależ tak, naturalnie! Czternasty pułk ułanów, co? Miałeś już wtedy szarzę majora...

- A teraz jestem znowu zwykłym cywilem - uśmiechnął się Roger.

W tym uśmiechu błysnęły zęby, olśniewająco białe na tle warg tak czerwonych, że wyglądały, jak ukarminowane. Miał zawsze tę samą wąską twarz, trochę za wąską w dole, bombiaste czoło i wielkie, senne oczy koloru

wody morskiej pod śmiałym łukiem nieco ku górze wzniesionych brwi. Twarz smutnego pierrotta. Szczupłe, bardzo piękne ręce o palcach prawie kobiecych zdobił pierścionek z wielkim szafirem i złota obrączka. Włosy, zaczesane wtył, trochę się przerzedziły na skroniach, uwydatniając jeszcze wypukłość gładkiego czoła matowej białości.

- Przyjechałem do Warszawy tydzień temu - zaczął spokojnym, trochę słodkim głosem, bardzo dokładnie wymawiając wyrazy. - Spotkałem na ulicy Michalskiego. Naturalnie, pierwsza rzecz, spytałem go o ciebie. Dał mi adres i - jestem. Co się z tobą dzieje? Podobno w klubie prawie się nie pokazujesz. Plotą tam o tobie jakieś bajdy... Słyszałem od kogoś, że masz ogromne pieniądze. Jakiś amerykański wujaszek, co? Czy to prawda?

- O tyle prawda - rzekł, śmiejąc się, Tadeusz - że istotnie odziedziczyłem spadek. Tylko nie po amerykańskim wujaszku, a po zacnej polskiej cioci, której prawie sobie przypomnieć nie mogę. A więc żadne dolary, ani funty szterlingi, tylko trochę naszych złotych... Ile tego, sam jeszcze nie wiem. Od dwóch tygodni przesiaduję u adwokata i jeszcześmy nie wypłynęli na czyste wody. Coś niecoś kapnęło, to pewne. Ale żeby zaraz "fortuna"! Ciekawym, kto to rozgłasza? Kilku kolegom wspomniałem ogólnikowo, że coś tam dostanę po ciotuchnie... Naturalnie, musiałem obiecać im bibę a conto przyszłych beneficjów. Narazie - klepię biedę po dawnemu na oficerskim żołdzie... A cóż się z tobą działo? Przez dwa lata nie dałeś o sobie żadnej wieści. Nikt nic o tobie nie słyszał. Nawet - czy żyjesz.

- Ożeniłem się - odparł Roger i znów cudowny uśmiech rozjaśnił jego twarz, a wśród purpury ust błysnęły białe zęby.

- Co mówisz, chłopie! Ty? Nie do wiary! Kiedy? Z kim? Gadaż... Tegobym, znając ciebie, nigdy nie odgadł i gdyby nie obrączka, myślałbym, że nabierasz przyjaciela!

- A jednak - to prawda. Ożeniłem się blisko dwa lata temu. Moja żona jest w tej chwili na Rivierze. Przyjechałem stamtąd i wracam wkrótce do niej. Zrobimy jeszcze jedną wielką podróż tego roku: Paryż, kilka dni w Londynie, potem przez morze do Norwegji: Bergen, Christjania, potem - Szwecja. Być może, w Szwecji spędzimy lato. A jesienią przyjedziemy tu, już na stałe.

- Co ty mówisz? Ale gadaż, gadaż dalej. Jaka jest ta twoja żona? Blondynka, brunetka, bogata, biedna, - no? O urodę nawet nie pytam. Znając ciebie, domyślam się, że musi być bardzo, bardzo...

- Moja żona nie jest podobna do żadnej innej kobiety na świecie, to chyba najlepsze określenie - rzekł Roger, kręcąc obrączkę na palcu. - Przedewszystkiem - to nie kobieta. To raczej jakieś dziwne, rozkoszne stworzonko. Nie wiem nawet, czy jest ładna; jeżeli o tem stanowi wdzięk, w takim razie jest skończoną pięknoscia. Niema w tej twarzy ani jednego regularnego rysu, nawet oczy zdają się biegać, jak dwa czarne żuczki po ruchliwej buzi. Na głowie ma złotą szopę, o taką... A kiedy rozpuści włosy, robi się z tego złoty płaszcz, który ją całą przykrywa. Zresztą - niewielka to sztuka... Zaczekaj, pokażę ci coś...

Począł szperać po kieszeniach i wydobył wreszcie jakiś przedmiot z pstrej materji. Rozłożył go, rozpostarł na kolanie, pieścizotliwym ruchem - wygładził załamania i fałdki.

- Spójrz - rzekł z uśmiechem, podając Tadeuszowi ów dziwny drobiazg.

- Cóż to? Pantofelek? Dla lalki? Twoja żona jeszcze się bawi lalkami?

- To jest - trzewiczek mojej żony. Jej własny. Rozumiesz teraz?

- Nie może być - szepnął Tadeusz i począł oglądać na wszystkie strony tę miniaturkę. Jednakże pantofelek miał na sobie wyraźne ślady, że był noszony. Cienka skóra podeszwy zachowała odcisk drobnutkiej stopy, nosek był nieco zadarty, a na pięcie tworzyło się malutkie załamanie. Widocznie właścicielka niezwykłych nówek często nie zadawała sobie trudu dokładnego wciągania obuwia.

- Słuchaj! - krzyknął Tadeusz - jeżeli nie kpisz, jeżeli to jest rzeczywiście trzewik, noszony przez kobietę, to jakaż jest ta kobieta?

- Powiedziałem ci już - odparł Roger, uśmiechając się ciągle - moja żona jest unikatem. Czegoś podobnego nie zdarzyło mi się spotkać w życiu, a

przecież widziałem sporo kobiet. Przedewszystkiem - ma wzrost dziesięcioletniej dziewczynki...

- Karliczka! - pomyślał Tadeusz.

...Przy tak harmonijnej budowie, że posąg greckiej bogini jest jej portretem. To Venus Kapitołińska w minjaturze.

- A niech cię! Zawsze byłem pewien, że jeśli ty się ożenisz, to chyba wynajdziesz jakiś fenomen niewieści. I gdzieżeś spotkał to чудо?

- Chowało się na pensji, w Warszawie. Potem jeździło po świecie, nie mając nic innego do roboty, jak wydawać odsetki ojcowskich kapitałów. Jest zupełną sierotą. Spotkałem ją w Wenecji, gdy karmiac gołębie, kazała się fotografować, prawie niewidzialna wśród chmury ptactwa. Tego samego dnia jedliśmy razem lody w cukierni na Piazza San Marco. Ona, ja i jej duenja, osoba najzupełniej zrezygnowana... Po tygodniu byliśmy zaręczeni (naturalnie z Ryską, nie z ową opiekunką) a w dwa miesiące później ruszyliśmy z Rzymu w podróż poślubną, już bez duenji, która wróciła do kraju pilnować penatów swojej pupilki. To cała historia naszego poznania. Powiadam ci - "wzięła mię" od razu, od pierwszej chwili, jak żadna inna kobieta, a przecież mam niezgorszy materiał do porównań...

- No no szepnął Tadeusz - i cóż? Naturalnie jesteś szczęśliwy? Niepotrzebne pytanie, bo przecież widzę i słyszę...

- Szczęśliwy? Trudno powiedzieć - odparł, uśmiechając się znowu - wiesz, nawet nie zastanawiałem się nad tem. Od chwili gdy ją ujrzałem, żyję jakimś dziwnym, gorączkowym życiem. Nie mam poprostu czasu na spostrzeżenia w tym rodzaju... Moja żona, to istny kalejdoskop. Nie wyobrażałem sobie nawet, jak wielką rozkosz może dawać ta nieustanna zmiana. Często doznaję wrażenia, że poślubiłem nie jedną, ale sto, tysiąc kobiet. Jednego dnia piję z tego źródła rzeźwą słodycz przejrzystych wód, nazajutrz połykam żar, który mnie nawskroś przepala. Dziś jestem panem i władcą cichej, uległej istoty, jutro może to być drapieżne zwierzątko, które przy pierwszym błysku oczu skoczy mi do gardła. Upajam się moją Ryską bez końca, bez miary. Jeżeli upojenie zowie się szczęściem, - jestem bardzo szczęśliwy.

Tadeusz patrzył na przyjaciela ze zdumieniem. Nigdy nie widział go w takim podnieceniu. Znali się przecież od wielu lat, od ławek szkolnych, potem spotykali się w wojsku. Roger Denck uważany był zawsze za trochę zblazowanego panicza, choć w bitwie słynął z lwiej odwagi i niezmożonej energii. Siedziało w nim właściwie zawsze dwóch ludzi: ten, dowódca szwadronu, z dłonią stalową, z oczyma ciskającymi błyskawice, twardy, nieubłagany zarówno dla siebie, jak dla innych - i ten z salonów, benjaminek najpiękniejszych pań, smukły młodzieniec o spojrzeniu znużonym, o smętnej twarzy zakochanego pierrotka, z krwawą plamą ust, złożonych w uśmiech tak słodki, że aż kobiecy...

Zawsze równy, spokojny i uprzejmy, miał w swojej grzeczności wobec kobiet lekki, prawie nieuchwytny odcień lekceważenia. W kółku męskim wyrażał się o nich obojętnie, czasem bardzo krytycznie. Był wybredny, jak pieszczony kot, który niekażdą śmietankę nawet raczy skosztować. Koledzy go lubili za jego bystry umysł i chłodną rozagę, której nie tracił w żadnej sytuacji. Odważny w potrzebie aż do szaleństwa, nigdy nie sławił swych czynów wojennych i pogardy wobec niebezpieczeństwa. Przeciwnie, zwykł był twierdzić kategorycznie, że każdy człowiek w gruncie podszyty jest tchórzem i że obawa śmierci stwarza bohaterów.

Pochodził z zamożnej, cudzoziemskiej rodziny (podobno dziadek jego miał tytuł barona) ale wcześniej przepuścił prawie cały majątek, nie troszcząc się o przyszłość. Podobnie jak Tadeusz, blisko dziesięć lat przepędził w wojsku, potrosze z konieczności, ponieważ wojna wytrąciła go z kolei normalnego życia. Nie skończył żadnego fakultetu, ale we wszystkich dziedzinach wiedzy posiadał duży zapas wiadomości.

Kobiety przepadały za nim. Trafiało mu się kilka bardzo poważnych partyj - nie ruszył palcem, aby wpaść w potrzask hymenu. O małżeństwie mówił, wruszając ramionami:

- To zupełnie, jakby jeleń na swobodzie, mając do wyboru cały kierdel



łań, dał się jednej z nich zaciągnąć do jaskini, przywalonej kamieniem. Nie rozumiem ludzi, którzy mogąc nasycić pragnienie w potoku, piją przestała, ciepłą wodę z karafki.

I oto dziś - Roger Denck nie tylko się ożenił, ale mówił o żonie z błyskiem w sennych zazwyczaj oczach, z niesłabnącem ożywieniem na twarzy i widać było, że mogłoby tak prawić bez końca, że się poprostu upaja samem wspomnieniem tej kobiety.

- Tak, mój drogi - ciągnął dalej, patrząc Tadeuszowi prosto w oczy - zdaje się, że znalazłem istotę, która jest zdolna zaspokoić wszystkie moje zmysły, aż do szóstego włącznie, nasycić wszystkie moje pragnienia, aż do najśmielszych. Zdziwisz się, jeśli powiem, że ją uwielbiam. Nie uwielbiałem dotychczas żadnej kobiety. Wielbiłem tylko miłość. Otóż Ryśka jest żywym wcieleniem wszystkich moich pojęć o miłości i dlatego mogę ją wielbić. Zresztą - co tu dużo gadać! Jaka jest - sam zobaczysz, bo ją przecież kiedyś przywiozę do Warszawy. Wiem, że nie mogę trzymać żony za chińskim murem własnego egoizmu, że ją muszę pokazać ludziom i wprowadzić pomiędzy nich. Tylko mi nie bałamuć Ryśki, bo będziesz miał ze mną do czynienia. Zresztą - ona jedynie mogłaby ciebie uwieść, gdyby tylko zagięła jeden maleńki, różowy paluszek na pochybel twej cnoty...

- Niema obawy, ja lubię zwykłe, normalne kobiety - pomyślał Tadeusz - a taka stopa i taki wzrost traci perwersją. Zresztą - ja nie chcę kalejdoskopu, tylko żony...

Pomyślał tak, a głośno powiedział:

- Serdecznie jestem rad, słysząc o twojem szczęściu, Rogerze. I ja się wkrótce myślę ożenić...

-Z kim?

- Ha! - odparł Tadeusz wesoło - co do osoby jeszcze nie jestem zdecydowany. W każdym razie z kobietą...

### Rozdział Iii.Ñ

#### Wandzia bawi gościa

Od godziny Wandzia Lipska siedziała przy stole w jakiejś dziwnej pozycji, z kolanami na krześle, z łokciami rozłożonymi szeroko na białym arkuszu papieru i małym pendzelkiem wykańczała barwny szlak na pocztówce.

Była to już czwarta zrzędu tego dnia i dziewczynka czuła w palcach lekkie zdrętwienie, a pod powiekami mnóstwo drobnych igiełek od wpatrywania się w mikroskopijny rysunek.

Przerwała na chwilę swą pracę, przeciągnęła się i ziewnęła, szepcząc:

- Ech, dosyć! Skończę jutro...

Ale natychmiast przypomniała, sobie, że jutro wypada niedziela, a w poniedziałek trzeba odnieść całą robotę do sklepu. Przynajmniej tuzin kartek pocztowych ręcznie malowanych, za które dostanie pieniądze.

- Jeszcze tę jedną dziś dokończę - postanowiła Wandzia, bohatercko przewyciężając lenistwo. Zaczęła znowu malować, uważnie nakładając barwnymi plamami jakiś skomplikowany ornament z muszelek i traw morskich.

W przedpokoju rozległ się dzwonek, a w chwilę potem człapanie czyichś nóg w rannych pantoflach.

- Oho, Ciszewska sama idzie otworzyć! - zauważyła Wandzia, nasłuchując. Niecierpiała tej baby, tłustej i niechlujnej, która w dodatku, będąc właścicielką mieszkania, tak dużo zdzierała od Mani za dwa niewielkie pokoiki, zajmowane przez trójkę rodzeństwa.

Drzwi w przedpokoju stuknęły, zazgrzytał łańcuch, a potem słychać było głos gospodyni, rozmawiającej z przybyszem. Pani Ciszewska ukazała się na progu w całym majestacie brudnego szlafroka i przydeptanych pantofli:

- To do państwa. Tyle razy prosiłam, żeby goście do państwa dzwonili zawsze dwa razy. Znowu musiałam oderwać się od zajęcia, żeby otworzyć. Przyszedł jakiś wojskowy, oficer.

- Wojskowy? - krzyknęła Wandzia, zrywając się na równe nogi.

W tej chwili uprzytomniła sobie, że to przecież sobota i że owym wojskowym nie może być nikt inny, tylko rotmistrz Halicki.

- Proszę, proszę - zawołała dziewczynka, zgarniając pośpiesznie farby, miseczki i pędzle do pudełka.

Istotnie wszedł Tadeusz. Wyglądał pięknie i uroczyście w odświętnym mundurze. Wandzia podbiegła ku niemu, wyciągając umorusaną rączkę na powitanie. Podniósł ją do ust gestem pełnym powagi, starając się w duchu odgadnąć pochodzenie licznych plam zielonych i fiołkowych, zdobiących palce. Wandzia, czerwona jak burak, wyrwała rękę i jęła mówić z pośpiechem:

- Ładnie! Czekaliśmy zeszłej soboty! Mania przyniosła nawet herbatniki. Dlaczego pan nie przyszedł?

Szczerze powiedziawszy, Tadeusz mógłby odrzec: "Zapomniałem na śmierć", ale wobec tych herbatników skłonił głowę, jak winowajca, tłumacząc się pokornie, że wypadły mu pilne sprawy, bardzo pilne, ogromnie pilne sprawy, które zmusiły go do odłożenia tak miłej wizyty.

- Mania wyszła z domu, ale wróci lada chwila. Zaczeka pan, prawda? - badała Wandzia, ukradkiem spoglądając na zaplamiony fartuszek i brudną rękę, którą ten piękny rotmistrz pocałował!

Wskazała gościowi krzesło i wybiegła, prosząc, aby jedną chwileczkę zaczekał. Jakoż wróciła po dwóch minutach, umyta i przyczesana, zrzuciwszy po drodze fartuszek.

Rotmistrz Halicki stał pod oknem, oglądając świeżo namalowane pocztówki.

- To pani robota? - spytał.

- Tak... właśnie przed chwilą...

- Domyślałem się - odparł z uśmiechem - że była pani zajęta jakąś artystyczną pracą. Zapewne przeszkodziłem?

- O, broń Boże! Skończę to dziś wieczorem, albo jutro. A w poniedziałek zaniósę do sklepu. Bo mnie, proszę pana, płacą za te pocztówki. Zarabiam tygodniowo cztery złote, czasem nawet pięć, jak mam mniej lekcji do odrobienia. Ale teraz w szkole więcej zadają, więc tylko w święta mam czas.

- Bardzo ładne rysunki - rzekł znowu Tadeusz. - To pani własne kompozycje?

- A czyjeżby? Naturalnie, że moje.

- Pani ma talent!

- Et - zaczerwieniła się z wielkiej radości i rzekła skromnie: - Takie sobie bazgroty. Ale zawsze - trochę pomagam Mani, która przecież na nas pracuje. Olek także pomaga. Ma trzy korepetycje. No, Olek już jest w ósmej klasie i doskonale się uczy. Od jesieni pójdzie na politechnikę. Chce budować potem różne mosty na rzekach... Jabym tam wolała medycynę, albo prawo. To musi być przyjemnie pisać recepty po łacinie. A przytem - doktor dużo zarabia...

- Państwo tu dawno mieszkają?

- Od śmierci rodziców. Przedtem mieliśmy większe mieszkanie, daleko ładniejsze - i dużo mebli, jeszcze z Markowa. Ale Mania potrochu wyprzedawała meble...

- A cóż się stało z Markowem?

- Markowa niema... To znaczy, jest, ale już nie nasze... Tatusz stracił wszystko przez tę wojnę...

Budynki moskale popalili, zboże nam różne wojska zabierały, na kwitki... Mania ma jeszcze całą pakę tych kwitków... Tatusz chciał wszystko odbudować, ale potem, gdy Michasia zabito... bo pan może nie wie, że Michaś zginął w legjonach? A jakże. W bitwie pod Pakosławiem. Więc jak się tatusz o tem dowiedział, to już nie chciał walczyć o Markowo. Sprzedał ziemię i przenieśliśmy się do Warszawy. A pieniądze także straciliśmy, bo tatusz źle je umieszczał i przyszła ta... de-wa-lu-a-cja. Ale ja Markowo pamiętam. O, dobrze pamiętam, chociaż byłam jeszcze mała...

Tadeusz słuchał, usiłując przypomnieć sobie kto to był Michaś i wywołać w pamięci obraz tych ludzi, u których przecież spędził swojego czasu wakacje.

Tymczasem Wandzia kręciła się niespokojnie na krześle, rozdrażniona nieobecnością siostry, która z pewnością lepiej potrafiłaby poprowadzić rozmowę. "Co ja mu jeszcze powiem?" - niepokoila się, biegnąc wzrokiem z

przedmiotu na przedmiot. Jednakże ani masywny stół dębowy, ponacinany ongi scyzorykiem przez Olka, ani szafka z ubogim zapasem książek, ani kanapa, kryta wytartym gobelinkiem, nie nastroczały tematu do zajmującej konwersacji.

- Ach, wiem - pomyślała dziewczynka - pokażę mu fotografie. Gościom się zawsze pokazuje album z fotografiami.

Przyniosła ciężkie, skórzane album, spięte na klamrę i kładąc je na stole przed Halickim, spytała tonem wyszukanej uprzejmości, jak zupełnie dorosła osoba:

- Może pan przejrzy te fotografie, nim Mania wróci?

- Rozkaz, panno Wandziu, chociaż wolałbym jeszcze rozmawiać o Markowie - odparł Tadeusz, uśmiechając się do niej. - A czy jest tu przynajmniej moja podobizna? Ta, o której słyszałem już...

- Naturalnie! - zawołała i stanawszy za plecami gościa, jęła pośpiesznie przerzucać grube karty, pełne "stryków", "wujków" i "cioć" w niemodnych sukniach.

- O, widzi pan, jest!

Wyjęła z albumu fotografię amatorską na pocztówce i podała Tadeuszowi.

Było to ostre zdjęcie w pełnym słońcu. Grupa osób, zebranych pod drzewem, miała na twarzach, rękach i ubraniach siatkę światła i cieni, niezbyt korzystnie podkreślających podobieństwo do istot ludzkich. Pomimo to, Halicki natychmiast rozpoznał tęgiego jegomościa w białym kitlu, chuderlawą damę w sukni domowej i jeszcze parę postaci, które nagle uplastyczniały się w jego pamięci tak żywo, jakby dziesiątek lat, dzielących ową chwilę od obecnej, zniknął w czarodziejski sposób. Na wąskim skrawku białego papieru w dole widniały drobnym maczkiem podpisy: tatuś, mama, pan Kłusakowski, ja, Olek, kuzyn Halicki...

- A więc jednakże kuzyn... - pomyślał Tadeusz i jeszcze raz obejrzał własną podobiznę. Od wiotkich gałązek czereśniowych odcinała się dość wyraźnie gibka postać młodzieńcza, przywarta do pnia, z uciesznym skrótem ramion, opasujących tę podporę i z roześmianem serdecznie obliczem.

- To my jesteśmy spokrewnieni! - zwrócił się do dziewczynki, świadomej spraw rodzinnych.

- A tak. Przez Wińskich.

- Naturalnie, że przez Wińskich - zgodził się chętnie, choć przed minutą gotów był przysiąc, że nigdy o takim nazwisku w domu rodzicielskim nie słyszał.

- No, nareszcie przypomniał pan sobie! A my czysto myśleliśmy, co się też z panem dzieje. Ktoś opowiadał, że pan był także w legjonach, jak Michaś. A kiedyś panna Leokadja skarżyła się, że długo nie ma żadnych wiadomości...

- Byłem w Rosji, panno Wandziu. Przepraszam, kuzyneczko. Wróciłem do Polski bardzo daleką drogą, przez Murman - odparł, dziwiąc się przyjemnie, że oto spotyka ludzi, których interesował jego los i którzy o nim pamiętali. Jakiemi drogami i przez kogo zbierała zacna cioteczka (wieczne jej odpocznienie!) wieści o swym krewniak, walczącym hen, daleko na różnych frontach? Kto to byli ci Wińscy i dlaczego w rodzinie państwa Lipskich przetrwała pamięć o nim, prawie obcym przybyszu, który kiedyś tam, przez wakacje, przerwane wybuchem wojny, spijał zsiadłe mleko Markowskich krów i rwał prosto z drzewa czereśnie?

W każdym razie czuł dla tych ludzi sympatię i wdzięczność. Więc nigdy nie był tak samotny, jak sądził! Więc zawsze, w najcięższych opresjach, towarzyszyła mu iskierka ludzkiej pamięci!

Zbudził go z zamyślenia świeży głosik dziewczęcy:

- Nie służył pan w legjonach? To szkoda... Chociaż - nie! Co ja plotę! Michaś przecież zginął w legjonach...

- Oj, zginąć można wszędzie, kuzyneczko. O to na wojnie najłatwiej!

Zasępiła się jej buzia rumiana. Aby odwrócić myśli od takich smutnych rzeczy, jak śmierć, wskazała znowu fotografię.

- Tu stoi Mania. Terazby jej pan nie poznał, bo dawno dorosła.

- Kto wie?... - szepnęła Tadeusz. - Możeby poznał.

W tej samej chwili stuknęły drzwi w przedpokoju.

- To Mania! - rzekła Wandzia z zadowoleniem. - Ona ma klucz od zatrasku. Lekkie, ciche kroki przemknęły przez korytarz i w progu stanęła osoba dość wysoka, dość szczupła, w zamszowym kapelusiku, z pod którego wyłaniała się niewyraźnie dość nikła twarz.

Wandzia skoczyła ku siostrze, wołając:

- A widzisz, Maniu! A widzisz! Przyszedł!

Mówiłam ci. że przyjdzie na pewno! Aha! Zyg-zyg-zyg!

- Ależ, Wandziu...

- I cóż? - zwróciła się dziewczynka do Halickiego. - Poznałby pan Manię, czy nie poznałby pan?

- Teraz poznaję doskonale! - rzekł Tadeusz i podchodząc ku młodej osobie, dodał z ukłonem: - Kuzynka jednak pozwoli, że się przedstawię: jestem rotmistrz Halicki.

Podczas, gdy starsza panna Lipska zdejmowała kapelusz i okrycie, Wandzia kręciła się po pokoju jak fryga, niecierpliwie zaglądając w oczy to rotmistrzowi, to siostrze. Wreszcie zdobyła się na odwagę i spytała:

- Proszę pana... a ten depozyt, co to pan miał przynieść w zeszłą sobotę?

- Wandziu! - zgromiła ją Mania, ale Tadeusz się roześmiał i natychmiast wyciągnął z kieszeni zalakowane pudełeczko.

- Byłbym zapomniał! A właściwie przyszedłem w tej sprawie.

- O, cieszyłybyśmy się, gdyby kuzyn pamiętał o nas i przyszedł z własnej woli w odwiedzinach...

- Dlaczego nie mówicie sobie "ty"? - wypaliła Wandzia, chwytając pudełeczko.

- Mój Boże! Wandziu! Jakaś ty dziś nieznośna! - rzekła Mania. - Wyobrażam sobie, co ona tu musiała napleść podczas mojej nieobecności!

- O, bynajmniej - zaprzeczył żywo Tadeusz. - A co do mnie, czułbym się szczęśliwy, gdyby kuzynka zechciała, za radą panny Wandzi...

- Przecież dawniej nazywał pan Manię po imieniu - wtrąciła dziewczynka niecierpliwie rozplatając sznurki.

- Doprawdy... wówczas byliśmy prawie dziećmi... To jest ja byłąm... - zaczęła Mania z zakłopotaniem, ale w tej samej chwili siostra przerwała jej okrzykiem zachwyty:

- Maniu! Maniu! Co za cudowny pierścionek! I to ma być ten depozyt! Spójrzysz tylko, Maniusiu!

W dzikich podskokach radości, do niedawna pełna powagi osóbką podbiegła ku niej, wymachując ręką z pierścionkiem:

- Śliczny, co? I pomyśl: to dla ciebie! Od panny Leokadji! Jaka ona zacna! Jaka ty jesteś szczęśliwa, Maniu!... To najpiękniejszy pierścionek, jaki widziałam w życiu! Czy aby na pewno dla ciebie? Ale na pudełku napisane przecież: Dla Maniusi Lipskiej, po mojej śmierci... Więc widzisz!

- Przestańże raz trajkotać i pokaż lepiej to cudo! - rzekła Mania i szepnęła siostrze na ucho:

- Nie krzycz tak. Zachowujesz się jak siedmioletnie dziecko! Co sobie pan Halicki pomyśli?

- Rzeczywiście bardzo ładny pierścionek - wtrącił Tadeusz, przypatrując się pod światło błękitnym ogniom, rzucanym przez brylant.

Wandzia tymczasem, niestropiona, myszkowała dalej, szukając w pudełeczku nowych skarbów. Jednakże nie znalazła już nic więcej, oprócz kartki, którą natychmiast zaczęła odczytywać głośno:

- "Dla kochanej Maniusi" - słuchaj, Maniu, bo to do ciebie - "z życzeniem, by kiedyś oddała ten pierścionek człowiekowi, godnemu..."

- Zostaw tę kartkę - krzyknęła siostra i wyrwała papier z rąk dziewczynki.

- Jakaś ty śmieszna, Maniu! Przecież nie mamy przed sobą żadnych sekretów. A zresztą tu wcale nie napisane, żeby nie czytać głośno...

Jednakże Mania schowała już karteczkę, mówiąc z uśmiechem:

- Ale na pudełku było napisane, że to dla mnie, prawda, Wandeczko?

- Egoistka! - mruknęła dziewczynka nadaśana i wyszła z pokoju.

- Doprawdy, nie rozumiem, co jej się stało. Taka jest dziś nieznośna i wścibska. Przepraszam pana bardzo za tę drobną utarczkę. Wandzia ma

charakter trochę gwałtowny, lecz w gruncie bardzo dobry. Za chwilę przestanie gniewać się na mnie. Wandeczko!

- Czego chcesz? - odpowiedział nieprzejeđnany głosik za drzwiami.

- Czy pomożesz mi nakryć do podwieczorku? Wyjmij filiżanki i przetrzyj je, ściereczka wisi za drzwiami.

- Mogę przetrzeć filiżanki - rzekła Wandzia tonem bardziej ugodowym, podchodząc do kredensu.

Tadeusz obserwował, jak obie panny Lipskie krzątały się po pokoju, przygotowując skromny podwieczorek. Z prawdziwą przyjemnością patrzył na pewne, spokojne ruchy Mani, która wygładzała na stole obrus śnieżnej białości i rozstawiała na nim talerzyki cicho i wprawnie. Dopiero teraz mógł jej się dobrze przypatrzeć i stwierdził, że pierwsze wrażenie było raczej niedość korzystne.

Twarz miała niezmiernie miłą, o rysach prawidłowych, tylko może nieco bezbarwną. Teraz, w świetle dogasającego dnia, cera nabrała barwy różowszej, a oczy blasku. Ręce miała szczupłe, choć niezbyt małe, o łagodnym rysunku palców, głowę nieco nachyloną ku przodowi. Ten sam łagodny rysunek ramion. Nawet włosy, bezpretensjonalnie zwinięte w gruby węzeł, zachowały na skroniach miękką falistość i jakby przyćmiony połysk. W całej postaci, w wyrazie oczu i ust rzeźbiły się te dwie zasadnicze cechy: dobroć i spokój.

- Musi być łagodna i pracowita - pomyślał Tadeusz. - A przytem jest dzielną dziewczyną.

Z opowiadań Wandzi nietrudno było wywnioskować, że dom spoczywa na barkach tej Mani, która pracuje na chleb powszedni w zastępstwie zmarłych rodziców, a jednocześnie wychowuje rodzeństwo, trzyma ster gospodarstwa, kieruje życiem całej trójki.

- Tak, jest dzielną i rozumną dziewczyną - powtórzył w duchu Tadeusz, czując nowy przypływ wdzięczności dla ciotki Leokadji, która go, niejako zmusiła do odnowienia znajomości z tym sympatycznym domem.

Jak na pierwszą wizytę, siedział stanowczo za długo. Ale czyż wypadało zasmucić uprzejme gospodynie, które go namawiały "jeszcze na jedną filiżankę herbaty, tylko tę jedną i jeszcze, chociażby połówkę..." Gawędziło się przytem mile o dawnych czasach, o tych wakacjach w Markowie o rozmaitych figlach Olka, który miał wówczas dziewięć lat i wolał jeździć oklep na żrebackach, niż powtarzać tabliczkę mnożenia.

"A pamięta pan wtedy i wtedy? A pamięta pan tam i tam?" - krzyżowały się zapytania, przypominano sobie na wyścigi radosne i smutne wydarzenia.

- A pamięta pan - szepnęła Mania - krwawy ów zachód słońca w dniu, gdy wybuchła wojna? Pan Kłusakowski, który sam wiele widział na świecie, a jeszcze więcej słyszał od starych, doświadczonych ludzi, odrazu przepowiedział nieszczęście. No - i wkrótce wzięli Michasia do wojska. Uciekł, przedarł się jakimś cudem przez front wstąpił do legjonów i...

Tadeusz chciał odpowiedzieć, że owego wieczora, gdy wszyscy zgromadzili się przed gankiem, aby obserwować niezwykłą grozę nieba, które zda się spływało żywą krwią, zauważył po raz pierwszy długie warkocze stojącej przed nim dziewczynki. Włosy te, zwykle nieokreślonego koloru, ni jasne, ni ciemne, połyskiwały wtedy pod światło, jak miedź i głowa panny Maniusi pławiła się w aureoli z nitek ognistych.

W sam czas zorjentował się, że panna Lipska zaczęła opowiadać o zmarłym bracie i że takie intermezzo, wobec powagi wspomnień, byłoby conajmniej niewczesne. Ograniczył się więc jedynie do krótkiego chrząknięcia "hm", a jednocześnie drzwi, otwarte energiczną dłonią, stuknęły mocno i do pokoju wszedł młody człowiek, tak uderzająco podobny do poległego Michasia, że Tadeusz omal nie krzyknął.

Nie potrzebował już sobie przypominać, jak wygląda nieżyjący brat Mani. Miał oto przed oczami jego sobowtór, może nieco niższy i szerszy w ramionach z tą samą zuchowatą miną, z gęstwą ciemnych włosów, opadających na czoło. Chłopiec zatrzymał się zdziwiony i ciekawie patrzył na zebranych.

- To jest właśnie pański uczeń. Nie poznaje pan Olka? - spytała Mania ze swym łagodnym uśmiechem.

A Wandzia krzyknęła zawadjacko:

- Olek! Uszy do góry! Pan profesor zaraz rozpocznie egzamin, by się przekonać, żeś już nie taki osioł, jak wtedy!

- Wandziu! - szepnęła znów Mania prosząco, ciągnąc siostrzyczkę za rękaw.

- A może nie był z niego osioł? Nie ma się o co obrażać. Sam mi to opowiadał. Zresztą - przecież to takie dawne czasy! Co było, a nie jest...  
- odparła dziewczynka rezolutnie.

- Pewnie! - zaśmiał się Olek - panna Wandzia pełzała wówczas na czworakach, co teraz czyni trochę rzadziej...

Przywitał się z Halickim i zaraz poprosił o herbatę, dodając: "głodny jestem, jak ten pies. Zjadłbym wołu z kośćcami!"

Zamiast wołowiny, Mania podsunęła mu ogromny kawał chleba z masłem i rzodkiewkami, które młody człowiek jał pałaszować, chrupiąc.

Potoczyła się znowu rozmowa, tym razem o sprawach bieżących, o wakacjach. Wandzia oświadczyła stanowczym tonem, iż natychmiast po skończonych lekcjach wyjedzie na wieś, "żeby tam nie wiem co", choćby do chłopskiej chaty, a wyjedzie.

- Pojedziesz do cioci Klimci - rzekła Mania...

- O, o! Do cioci Klimci! Jużbym wolała do wujostwa Zdzisiów, chociaż i tam nudy, że wytrzymać trudno: śniadanie dają około południa i trzeba chodzić w pończochach! - westchnęła Wandzia.

Tadeusz przysłuchiwał się tym rodzinnym dyskusjom, usiłując odgadnąć, kto to jest "ciocia Klimcia" i gdzie mieszkają "wujostwo Zdzisiowie".

Wreszcie, spojrzawszy na zegarek, zerwał się z miejsca przerażony.

- Mam nadzieję, że pan będzie odtąd pamiętał o nas - ozwała się Mania uprzejmie, podając gościowi rękę na pożegnanie.

Wieczorem, siedząc przy lampie, rzucającej jasny krąg światła na obrus, siostry gawędziły o wydarzeniach dnia. Wandzia ustawicznie powracała do zachwyty nad "kuzynem".

- Jaki miły i przystojny, prawda? No i powiedz, czy źle zrobiłam, zatrzymując go wtedy na ulicy?

- Źle, Wandziu, bo nie należy nigdy rozmawiać z obcymi ludźmi.

- Ależ to przecie nie był obcy! - odparła z uporem dziewczynka. Nagle przysunęła się do siostry bliźniutko i poprosiła przymilnie:

- Maniusiu... moja złociutka! Pokaż mi tę karteczkę od panny Leokadji, dobrze?

- Oj, nudna jesteś. Właśnie, że nie pokażę.

- A ja i tak wiem! - krzyknęła Wandzia z triumfem. - Tam było napisane: "Dla kochanej Maniusi, z życzeniem, by kiedyś oddała ten pierścionek człowiekowi, godnemu jej złotego serca". Aha!

- Jeżeli przeczytałaś, to czemu pytasz o tę kartkę? - rzekła Mania, uśmiechając się.

- Tak sobie. Chciałam sprawdzić, czy dobrze pamiętam całe zdanie. Maniusiu?

- Co jeszcze?

- Maniusiu, bo jabym chciała jeszcze spytać o jedną rzecz...

- O cóż takiego?

- Bo pan rotmistrz objaśnił mi wtedy, wiesz, na ulicy, że depozyt to jest taka rzecz, którą się komuś oddaje na przechowanie, na jakiś czas...

- No tak. O cóż ci chodzi?

- To ten pierścionek, który dostałaś od panny Leokadji, przestał być depozytem, czy nie przestał?

- Naturalnie, że przestał. Jest przecie teraz moją własnością.

- A tam, na kartce napisane, byś go oddała człowiekowi, godnemu twego serca... To jeśli zjawi się taki człowiek, Maniu?

- Oj, ty mądralo. Dobrze, już dobrze. Ale zanim się znajdzie taki człowiek... jeśli wogóle się znajdzie, schowam pierścionek do biurka. Cóż ty na to?

- Szkoda, bo to bardzo ładny depozyt, jabym go naprzykład wolała nosić na palcu, zamiast oddawać jakimś obcym ludziom - odparła Wandzia śledząc z westchnieniem, jak siostra chowa pierścionek do pudełka i zamyka na klucz w

szufladce:

Rozdział Iv.Ñ  
Antykwarnia

Marcinowa miała sporo zachodu z przygotowaniem owego "przyjęcia" na tyle osób, ale nie narzekała zbyt, czując, że trud poniesiony sownie jej się opłaci.

Zresztą, od chwili gdy Tadeusz otrzymał wiadomość o spadku, czuła dla swego pana ogromny, respekt połączony z obawą utraty dobrego miejsca.

Krzątała się więc od świtu, zręcząc na dwie donajęte dziewczyny, które jej zdaniem pojęcia o rzeczy nie miały, nigdy w porzadnym domu nie służyły, wogóle "kiepska z nich pomoc i tyle!"

- Mówiłam ci, gamajdo, kraj chleb cieniuśko, niczem opłatek. Takich pajdów państwo nie jada, rozumiesz? A ręce żebyś miała czysto wymyte i nóż, bo pieczywo śledziem przejdzie! - zrędziła bezustanku, surowem spojrzeniem piorunując swe zastrachane pomocnice.

Na półmiskach piętrzyły się góry zakąsek. Pomiędzy oknami, pod ścianą, ustawiono stolik z różnobarwnymi napojami. Cały pokój zmienił zupełnie swój charakter, ani jeden sprzęt nie został na dawnym miejscu, wszystko było pousuwane, poprzestawiane, pozapychane w kąty.

Tadeusz, który postanowił przyjąć kolegów u siebie, zamiast poprostu zamówić kolację w restauracji, teraz prawie żałował swego pomysłu.

- Ślicznie tu będzie wyglądało po przejściu tej hordy! - pomyślał, przyjaznym okiem pieszcząc każdy sprzęt, zdobyty kosztem tyłu wyrzeczeń. Serwantkę miał po rodzicach jeszcze. Cudem przechowała się u znajomych, wraz z kilku mniej cennymi meblami. Dywan turecki i kilka sztuk porcelany sewrskiej kupił "za bezcen" w jakiejś antykwarni, wyrzekając się przez cały miesiąc kolacji, a nawet - o bohaterstwo! - tytoniu.

Każdy prawie przedmiot miał podobną, lub bardzo zbliżoną historję. Tadeusz kupował wszystko sztuka po sztuce, z myślą o przyszłym domu. W swem życiu, doniedawna zupełnie koczowniczem, - jedno wspomnienie zachował świeże i sercu zawsze drogie: wspomnienie rodzinnego domu. Stracił go wcześniej, prawie w dzieciństwie, a jednak jakże dokładnie wrył mu - się w pamięć każdy sprzęt, każdy obraz na ścianie, omal, że nie każda fałda portjery nad drzwiami!

Było to mieszkanie, jak tysiąc innych: cztery pokoje w ogromnej, szarej kamienicy, salon od frontu, sypialnia od podwórza. Latem z otwartych okien, zamiast świeżego powietrza dolatywały dźwięki gramofonu, pianina, skrzypiec, szcęknięcie talerzami (na parterze mieściła się garkuchnia) i głuchy odgłos trzepaczki, wypędzającej tuman kurzu wprost na wata, zbiedzoną akację, rosnącą, jak w doniczce, w ogrodzeniu żelaznym pośrodku brukowanego podwórka. Przez okragłe 365 dni w roku z ulicy napływały te same głosy: łomot ciężkich wozów o świcie - rozklekotany jazgot dorożek - i piskliwe nawoływania uliczników.

A jednak w mieszkaniu państwa Halickich pomimo to wszystko było coś ze wsi, z białego dworku, oplecionego winem, z tego dworku, zamieszkanego przez szeregi pokoleń, żyjących tradycją starszą, niż modrzewiowe ściany, sięgająca jakichś zamierzchłych czasów, o których opowiadały zblakłe i poczerniałe portrety.

Może właśnie owe portrety, przywiezione razem ze spróchniałymi meblami w ogromnych pakach, nadawały banalnemu warszawskiemu mieszkaniu tak odrębny charakter, a najbardziej chyba ten specyficzny zapach starości, płynący zewsząd: ze zwiotczonych adamaszków, z każdej półki biblijtecznej, z wnętrza każdej, mosiadzem inkrustowanej szkatułki.

Niezapomniane nigdy, białe, dobre dłonie matczyne wybierały z tych szkatulek przedmioty napozór bezwartościowe: skrawki jedwabów i płócien, jakieś robótki misterne, jakieś szczątki stroików kobiecych, ongi świetnie barwionych i szeleszczących. Zajęty ustawianiem tekturowych żołnierzy, mały

chłopiec przypatrywał się od niechcienia tym dziwnym skarbowi, od których płynęła słodka, prawie mdła woń ziół, jakimi przez dziesiątki, a może setki lat nasiąkała każda nitka materji, każda szczelina w suchym, stoczonem przez robactwo drzewie, każda oprawa zżółkłej, wyplamionej książki, pisanej - dla dziecięcego wzroku - hieroglifami.

Setki podobnych książek widywał później Tadeusz w swoich wędrówkach poprzez spalone miasteczka i ograbione dwory. Zwiedzał strychy, pełne szpargałów, które ktoś, kiedyś gromadził skrzętnie i przechowywał pod kluczem w gładkich, okutych skrzyniach, jako najdroższe relikwie przeszłości. Niejedną wolną godzinę spędził samotnie wśród papierzysków, zwalonych w wielki stos, pod wybitem okienkiem obcego poddasza. Nie szukał znajomych nazwisk, nie dobierał roztrzęsionych kart: zanurzał tylko ręce w szeleszczące rumowisko ludzkiej kultury, gromadzonej przez wieki na zbutwiałych pergaminach - wdychał prawie z upojeniem tę samą woń, która przypominała mu tak żywo dom własny, szerokie półki ojcowskiej biblioteki i ciche popołudnia, spędzone u kolan matki na wertowaniu wielkich ilustrowanych "in folio".

Tadeusz niewiele czytał od szkolnych czasów. Rzadko znajdował ku temu sposobne chwile, a gdy się wydarzyły, - niespodziewane i krótkie - wolał się cieszyć swobodą, gawędzić z kolegami lub spać, założywszy ręce pod głowę, niż skupiać myśl nad wyławianiem idei przewodniej i wczuciem się w zawiłą psychologję autora.

Zresztą - raziła go martwota konwencjonalnych słów, ukrywająca misternie pojęcia zrozumiałe i proste, jak samo życie. Kochał życie i upajał się nim, a w książkach znajdował zwykle błady, albo przejawy skrawionym, wypaczonym, lub też skostniałym jego obraz.

Zawiele widział krwi, płynącej z żywych ciał ludzkich, by w nim drgnąć mogło serce od słabego tętna tej krwi anemicznej, barwionej sztucznie wyobraźnią pisarza. A jednak kochał książki i kupował je - kupował zwłaszcza te stare, zniszczone, "wyczytane" przez pokolenia tomy, zalegające stosami antykwarskie półki.

Wróciwszy z frontu, nie znalazł ani własnego domu, ani własnych sprzętów. Wszystko rozeszło się po ludziach, zaprzepaściło u znajomych, którzy z dobrego serca brali "na przechowanie" najcenniejsze zabytki ze szlacheckiego dworku.

Tadeusz nie bolał nad stratą poszczególnych przedmiotów. Czuł tylko dotkliwie brak atmosfery, jaką stwarzały - i tę atmosferę usiłował przywrócić przez ustawiczne, zabiegliwe gromadzenie cudzych gratów, pachnących również trociczkami, lawendą i jeszcze mnóstwem innych tajemniczych ziół z domowej apteczki.

Dlatego też ciasne mieszkanie, wynajęte przed dwoma laty, nabierało powoli wyglądu antykwarni. I tak je też ochrzcili koledzy, podżartowując niekiedy, że Tadeusz całą swą mizerną gażę topi w starzyźnie, z której tylko sypie się proch i woń zgniła rozchodzi. Niektórzy, bliżsi przyjaciele, a liczył ich niemało, zrazu nie skąpili rad i krytyki: "A miejże trochę sensu w głowie! A urzędź się inaczej, praktyczniej, taniej, jak my wszyscy. Po co naprzykład stołujesz się w domu, zamiast jadać w naszym klubie. Gdybyś miał żonę, to co innego, ale tak! Dajesz się tylko okradać i nigdy nie zwiążesz końca z końcem.

Istotnie, ledwie-ledwie go wiązał, ale nie zmienił trybu życia. Kolegom odpowiadał, śmiejąc się:

- Kto wie, czy się już wkrótce nie ożenię. Wolę więc przywyknąć do domowego ogniska, póki czas. Potem byłoby mi już może coraz trudniej!

Obecnie - skończyły się, przynajmniej w znacznej części, kłopoty finansowe. Schemy po ciotce Leokadji okazało się więcej, niż śmiało przypuszczać. Skrzętna staruszka zgromadziła sporo gotówki: cały skarbczyk monet złotych i srebrnych, chowany po pończochach. Miała też dobrze zabezpieczoną, okrągłą sumę w dolarach i prócz tego trochę papierów, niepozabawionych wartości, które można było spieniężyć. Pięciopokojowe, bardzo przyzwoite mieszkanie (naruszenie niestety pełne sublokatorów), dobrze umeblowane - przedstawiało także kapitał.



Obliczywszy to wszystko, Tadeusz aż w ręce klasnął. Wprawdzie wedle zapewnień adwokata, spadek miał otrzymać w całości dopiero na jesieni (było, naturalnie, mnóstwo formalności, na których nie znał się zupełnie) - ale już teraz dotknął nieco gotówki. Przedewszystkiem - otrzymał klucz od mieszkania wraz z paczką, przechowywaną przez zacnego adwokata, a zawierającą kolekcję złotych i srebrnych monet we wszystkich walutach europejskich. Wtedy postanowił nie zwlekać dłużej i urządzić ową przyobiecana "bibę", na której trzeba było godnie oblać, szczęśliwe wydarzenie.

Naznaczył dzień i zawiadomił przyjaciół. Zebranie miało mieć charakter ściśle męski, bo to i pogadać można swobodniej i podpić - i pożartować trochę pieprznie.

Tadeusz raz jeszcze krytycznym okiem zmierzył całą zastawę. Nie zadawała go zakąski, ponieważ w tym mnóstwie przysmaków panował nieład i widać było, jak na dłoni, brak estetycznego poczucia, którego przecież trudno wymagać od takiej Marcinowej! Baba starała się jak mogła, to znaczy nagotowała, napiekła i nasmażyła smacznie i obficie. Ale to wszystko razem zostało zwalone na ordynarnych, fajansowych półmiskach, zapożyczonych tam i sam od sąsiadów, ułożone niegustownie, a nawet nieapetycznie.

Znowu, jak często od pewnego czasu, nawinęła się Tadeuszowi refleksja:

- Brak delikatnej, subtelnej ręki kobiecej. Ot, kawalerskie gospodarstwo i tyle.

Przymknął na chwilę oczy i wyobraził sobie taką parę rąk, małych i zwinnych, któreby w mgnieniu oka potrafiły zaprowadzić w tem wszystkim ład i nadać owym przekąskom jakiś możliwy, jeśli już nie artystyczny wygląd. Uświadomił sobie nawet, czyje to mogły być ręce. Ujrzał spokojną, uśmiechniętą twarz Maniusi Lipskiej i uśmiechnął się do tego obrazu. Przymyślał sobie improwizowany podwieczorek, przygotowany tak cicho, bez szczykania, brzękania, dzwonienia łyżeczkami; tak sprawnie i szybko, że prawie czarodziejsko zaparzoną herbatę, rozpakowane z torebki sucharki, wydobyte z kredensu konfitury.

- O to, to - szepnął - to właśnie, co potrafi tylko prawdziwa kobieta, taka z epoki przedwojennej, z moich dziecięcych wspomnień, z białego dworku...

Podążył wzrokiem rozrzuconym ku matczynej serwantce i znowu przez krótkie mgnienie widział wyraźnie spokojną twarz panny Lipskiej i łagodne ruchy smukłych rąk, przecierających z kurzu antyczne esy-floresy, rzeźbione w twardym drzewie...

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek i Marcinowa, pośpiesznie odpasując ścierkę, chroniącą biel "gościnnego" fartucha, podreptała otwierać.

- To dziwne - pomyślał jeszcze Tadeusz - nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to przyjęcie, to jakby mój ostatni "kawalerski wieczór", który w przededniu ślubu mam spędzić w gronie kolegów...

I, po raz ostatni rzuciwszy okiem na stół, wypełniony okazałym hufcem butelek, ruszył ku drzwiom na przyjęcie gości.

## Rozdział V.Ñ

### Zebranie w "ściśleń męskim gronie"

Pierwszy zjawił się, naturalnie, Adamski. W całej Warszawie nie istniał chyba człowiek bardziej punktualny. Był to chodzący chronometr, co dziwiło wszystkich tem mocniej, że Adamski prowadził żywot ogromnie ruchliwy. Żaden raut, żadna wenta, żaden bal, dancing, obiad proszony i five o'clock nie obył się bez niego. Chodził na wszystkie fixe'y do wszystkich znajomych, a liczył ich niemało.

"Adzio" Adamski nie miał żadnego określonego zajęcia, lecz umiał wszystko potrosze, znał się na wszystkim. Był biegły zarówno w polityce, jak w sportach, grał w karty i grał na fortepianie, umiał zajmująco flirtować z

damami, a dla panów chował zawsze kilka świeżych, "jeszcze gorących" anegdotek w zapasie. Nie uchodził za świetnego myśliwego, ale go zapraszano na wszystkie polowania, ponieważ palmę pierwszeństwa chętnie przyznawał innym, a umiał zabawić całe towarzystwo. Pływał, wiosłował i jeździł konno o tyle wprawnie, że asystował znajomym córkom obywatelskim w ich szalonych galopadach poprzez wertepy. Ze starszymi panami potrafił rozmawiać poważnie i nudno o kwestjach ekonomicznych, kryzysie finansowym i o rosyjskim balecie. Znał się na muzyce poważnej, a także śpiewał czasami bardzo frywolne kuplety we wszystkich językach europejskich. Oceniał dość trafnie nowe książki, wiedział coś niecoś o nowych prądach w malarstwie i rzeźbie; umiał wybierać szykowne modele sukien paryskich, znał się na kosmetykach, grał w bilard; w towarzystwie lubił pić dużo, ale nigdy nad miarę; potrafił być dyskretnym powiernikiem i pierwszorzędnym plotkarzem.

Ten olbrzymi zasób zalet towarzyskich sprawiał, że na jakiegokolwiek stałe zajęcie brakło mu czasu. W krótkim swym życiu (nie skończył jeszcze trzydziestu lat) próbował kilkakrotnie jakiegoś fachu: miał za sobą rok medycyny, trzy semestry architektury, potem przerzucił się na prawo, wstąpił do szkoły lotniczej; w roku 1920-tym widziano go w mundurze. Później zniknął na pewien czas i wypłynął z zamętu wojennego, jako przedstawiciel jednej z pomniejszych firm automobilowych. Grał na giełdzie - podobno bardzo pomyślnie; podczas nagłego krachu z akcjami okazało się, że oddawna, po najwyższym kursie pozbył się "tej makulatury", natomiast skupował złoto i dolary amerykańskie, które nosił zawsze przy sobie, wymieniał, odstępował znajomym i pożyczzał po cenie kursu. Nigdy nikogo nie "wpakował", a sam na tych drobnych aferach zarabiał w miarę - nie zamało i nie zawiele.

Znajome panie lubiły go, gdyż był usłużny, dobrze wychowany, dowcipny. Chętnie asystował im przy zakupach, doradzając zawsze odpowiedni magazyn, elegancki, nie tandetny, o cenach umiarkowanych. Przyjaciółki mówiły jedna do drugiej:

- Przyjdź jutro, pokażę ci tego niebieskiego lisa. Adzio mi go wyszukał. Powiadam ci, za bezcen. Hela zapłaciła dwa razy tyle, a mój bodaj czy nie ładniejszy.

Albo też:

- Moja droga, wyobraź sobie, te perfumy, które mi ojczulek przywiózł z Paryża, nie są podobno w dobrym tonie. Ale Adamski obiecał, że mi je zamieni w jednej znajomej firmie...

Gdy zabrakło partnera do bridge'a, mówiło się:

- Zatelefonujcie do Adzia. Napewno przyjdzie, tylko trzeba posłać po niego auto.

Przed obiadem proszonym niejedna pani domu, zgorączkowana, z wypiekami na pudrowanej buzi, podbiegała do niego, szepcząc przymilnie:

- Mój kochany, nie pogniewasz się, prawda? Wyznaczyłam ci miejsce na szarym końcu, pomiędzy Celinką a Panną Florentine... Rozumiesz, tak wypadło...

"Adzio" rozumiał i zgadzał się bez najmniejszej urazy. Z połową pięknych kobiet był na "ty" co nie budziło złośliwych komentarzy. "Mój Boże, ten kochany chłopiec! Ten poczciwy Adamski, ten nieoceniony kolega, kuzynek, kompan!"

Miał tysiąc przezwisk, z których niejedno krążyło z ust do ust, o innych wiedział, niektórych się domyślał. Nazywano go "figarem", "przyzwoitką", "groomem", "wodzirejem", "maklerem" albo nawet poprostu "czarną giełdą". Najzłośliwsze choć może najtrafniejsze było: "En-tout cas" i ono też rozpowszechniło się najszybciej.

Istotnie, był to chłopak en tous cas pożyteczny, niezbędny - istny skarb.

Na wycieczkach za miastem nosił damskie drobiazgi, miał monopol układania programu w zabawach na cele dobroczynne, znał się nawet na kuchni, umiał przyrządzać punch'e, grogi, cocktail'e. Był au courant wszystkich wynalazków technicznych i wszystkich wydarzeń tygodnia. Pamiętał numery telefonów i w braku książki cytował na żądanie adresy firm, biur, ministerjów, zakładów gastronomicznych oraz kino-teatrów. Wiedział "co w

trawie piszczy", kto się żeni, kto się rozwodzi, która z pań i na jakim terenie spotyka się z kochankiem, ile długów ma ojciec posażnej panny, co mówiono we czwartek u prezydenta, w sobotę u państwa X-ów i kiedy wypadnie najbliższe zaćmienie słońca.

Z tem wszystkim zdradzał się niekiedy, ale w sposób dyskretny, niezauważalny. Nikomu nie narzucał się ze swoją osobą, ze swymi poglądami, ale gdy je wygłosił, uderzały trafnością, inteligencją. Zapytany o radę, odpowiadał powoli, z namysłem, głosem niskim, przyciszonym.

Był taktowny, wyrozumiały na ludzkie słabostki, spostrzegawczy i bystry - dlatego był popularny we wszystkich salonach, na wszystkich szczeblach drabiny społecznej. Służba, chociaż dawał skąpe napiwki, lubiła go, ponieważ z każdym umiał pogawędzić przyjaźnie.

O jego prywatnym życiu mało kto wiedział, a jeśli wiedział, to bardzo nieliczne szczegóły. A przecież ten młodzieniec, widywany codziennie tu i tam, na wystawie, w kawiarni, w salonie, czy w teatrze - musiał mieć jakieś "swoje" życie, osobne, schowane; swoją rodzinę, swój dom, może swoje miłostki. O rodzinie wiedziano tylko, że była liczna, ale rozproszona po świecie. "Adzio" mieszkał z matką staruszką i z dwiema siostrami, które chodziły może na jakieś kursy, może do jakiegoś zajęcia, ale nie pojawiały się tam, gdzie tak częstym gościem bywał ich brat.

Gdy Adamski zdjął palto w przedpokoju, starannie złożywszy i wsunąwszy do kieszeni pasiasty szalik, Tadeusz stanął właśnie na progu.

- A, to ty! - rzekł - proszę cię, zabierz łaskę do sypialni. Tu może ci ją kto zamienić.

- Mnie nikt jeszcze nie zamienił łaski - odparł "Adzio" swym cichym, głębokim barytonem - ponieważ jej nigdy nie noszę na liczniejsze zebrania.

I, uśmiechając się, wszedł do improwizowanej jadalni.

- Nikogo jeszcze niema? - zauważył spokojnie, bez zdziwienia. - Naturalnie, dopiero kwadrans po dziewiątej. Rylski na pewno nie przyjdzie, albo bardzo późno, bo dziś w operze śpiewa Iksińska. Konarkiewicz chory, byłem u niego zrana. Czy zapowiedziałeś Stefkowi, aby nie przyprowadzał Nanety?

- Owszem, napisałem: przyjdź sam, będą tylko przyjaciele i koledzy.

- To dobrze, chociaż... może właśnie to ją zachęci. Ona przepada za przyjaciółmi swego przyjaciela... A gdy Naneta się uprze... Nie dałbym złotówki, że się tu zjawia za godzinę oboje...

- Zaczekaj chwilę, muszę jeszcze porozstawiać butelki. Albo lepiej chodź-no tu. Ciekaw jestem, co powiesz na tę markę. Hę, zbaraniałeś, co?

Adamski nie zbaraniał, tylko powolnym ruchem podniósł najpierw butelkę ku oczom, przyjrzał się jej, postukał, pokiwał głową, potem sięgnął po kieliszek, spytawszy poprzednio: "Czy pozwolisz?", nalał złotego płynu do połowy, powąchał, posmakował końcami warg, znowu uniósł pod światło, znowu powąchał.

- Tak - odparł - klasa. Ale musiałeś słono beknąć. Dla tych, co tu dziś będą - niewarto.

- Phy! - wruszył ramionami Tadeusz - kupiłem cztery butelki prywatnie. Raz niech zgłupieją, bo takiego koniaku na oczy nie widzieli...

- A jabym ci dał jedną radę (o ile, naturalnie, pozwolisz) na przyszłość nie kupuj takich staruszków, bo to tylko zbyteczny koszt, a ludzie, wszystko jedno, nie uwierzą łatwo. Dla hołoty będą w rajku. Ale dla znawców? Dla znawców pięćdziesiąt lat, to aż zanadto. Na tym nektarze to się nikt z tutejszych ludzi nie wyzna: powiesz im tysiąc osiemset dwudziesty, albo dodasz kilkanaście latek, wszystko jedno, efekt będzie tylko w słowach. Zaś dla zaspokojenia snobizmu wystarczy - to.

I delikatnie trącił palcami omszałe szkło butelki, poczem dorzucił skromnie:

- Gdybyś się przedtem zwrócił do mnie, dostarczyłbym ci coś ekstra, za psie pieniądze. Znam osobnika, który likwiduje swoją prywatną piwnicę na gwałt, bo musi wyjechać. Ile zapłaciłeś, przyznaj się?

- Et, głupstwo, nie mówmy o tem. Powtarzam ci: trafiło się, więc wziąłem.

- Dobry koniak! Wspaniały koniak! Za wspaniały! - ozwał się znowu

Adamski. - Oni to wyłłopia bez zastanowienia, jak wodę - zobaczysz.

Pozwolisz jeszcze jeden kieliszek - na próbę?

- Ależ proszę cię bardzo - rzekł Tadeusz, zajęty odkorkowywaniem licznych butelek, strojnych w różnobarwne etykiety. Adamski wypił powolutku drugą porcję, nalał znowu i z kieliszkiem w ręku rozpoczął wędrówkę po pokoju, przyglądając się z ciekawością sprzętom i obrazom na ścianach.

- Bardzo ładna minjatura - zauważył nagle z mrocznego kąta - tego jeszcze u ciebie nie widziałem.

- Bo ją mam od niedawna. Wygrzebałem to na Świętokrzyskiej, u Żyda, pomiędzy rupieciami. Ramka jest nowa, kazałem dorobić.

- Widzę. Ale to cacko. Koniec osiemnastego wieku, prawda?

- Tak. I zdaje się, ma dużą wartość artystyczną.

- Ciekawym, ileś zapłacił za nią. Mojem zdaniem, warta jest...

Dzwonek znowu zadzwieczał i od tej chwili prawie nie milknął. Goście wchodzili do pokoju, pojedynczo, albo po dwóch. Młodzi przeważnie mężczyźni, w znacznej liczbie wojskowi, hałaśliwie witali się, brzękając ostrogami, szablami, gratulując Tadeuszowi: Servus, Halicki! Udało ci się, chłopie, z tą twoją ciocią. A przyznaj, obłowiłeś się nieźle, co?

Niektórzy podchodzili odrazu do stołu. Przyglądali się zakąskom i szeregowi butelek. Kiwali głowami z uznaniem, mówili: "Wysadził się Halicki!" i przyjacielsko klepali go po ramieniu.

Czterech siadło odrazu do zielonego stolika. Byli to zawołani karciarze, którzy grywali stale i wszędzie: w klubie, w domu, nawet w wagonie; wysoki brunet wytrawnym ruchem stasował karty; ciągnęli je, paląc papierosy, dowcipkując i słuchając najnowszych anegdotek, opowiadanych w drugim końcu pokoju przez Adamskiego.

Tadeusz nalewał kieliszki, roznosił zakąski, kręcił się tam i sam, częstując, zapraszając, przeprasząc i odpowiadając z roztargnieniem na zapytania, skierowane ku sobie:

- Tak, tak... ma się rozumieć... naturalnie...

Przysadkowaty cywil, który niepojętym sposobem zdażył zalać pałę w przeciągu dziesięciu minut, wykrzykiwał co pewien czas ochryplym głosem:

- Niech żyje koniaczek i ciocia Leokadja! Głębocki, w twoje ręce! Prosit!

Ale ów Głębocki sentymentalnym spojrzeniem wodził po tartinkach z kawiozem, łososiem i śledziem. Raz po raz, w skupieniu wyciągał wielką, chudą łapę i kościstymi palcami wychwytywał upatrzony przysmak, poczem, wychyliwszy jednym haustem duży kieliszek wódki, zagryzał go z wyrazem twarzy śmiertelnie smutnym i znużonym.

Około północy dym z papierosów zasnuwał już całe mieszkanie, gryząc w oczy i tamując oddech. Marcinowa kręciła się, półprzytomna, zmieniając talerzyki, przynosząc coraz nowe butelki i wymiatając szkło stłuczone.

Od zielonego stolika, zasmarowanego cyframi, wiała martwa cisza, niekiedy przerywana wybuchem gniewu, zdenerwowania, lub wesołości.

- Nie! Jeżeli ten Munio wyszedł znowu z pod króla! - wołał ktoś w pasji, waląc pięścią po stole.

- Uspokój się, wiem, co robię. A tyś widocznie utopił pamięć w pipermentie!

- Naprzód, drużyno strzele-e-cka! - podśpiewywał trzeci partner, z uwagą przyglądając się swoim kartom.

W tej chwili rozległo się dzwonienie, jakby na pożar. Gawęda we wszystkich kątach przycichła nagle, nawet brydżyści odwrócili głowy ku drzwiom, a Tadeusz skoczył otwierać.

W przedpokoju świeży, kobiecy głos szczebiotał rozkosznie:

- Fe, jaki dym! Jak tu śmierdzi koniakiem! Mówiłam ci, Stefek, oni się już wszyscy urżnęli, nie czekając na nas...

- Jeszcze nie wszyscy, królowo! - odkrzyknął porucznik Taff, zrywając się z kanapy, na której zlekka drzemał.

- Oho, Stefan nie mógł spławić swojej donzelli - zauważył któryś z grających i dodał z niezadowoleniem: - przegrałem drugiego robra, bo Munio umarł dla bridge a.

W proggu ukazał się rotmistrz Komornicki, popychając zlekka przed sobą

miedzianowłose stworzenie, od którego powiało mieszaniną perfum, pudru, szminki i pomadki do ust.

- Jak się masz, kotku - ozwało się owo stworzenie, podtykając młodemu porucznikowi pod sam nos upierścienioną łapkę i zaraz dorzuciło tonem wyzywającym, w stronę karcianego stolika:

- Dobry wieczór, wy!

- Nie przeszkadzaj, Nanetka! Za chwilę! Tu idzie poważna gra, po dziesięć groszy punkt, rozumiesz? - prosił Zygmunt Łada, zwany "Muniem".

- Circulez, chere amie! circulez... - dorzucił nosowym głosem wysoki brunet. - Panie Wąsowski, czekamy. Rozłóż się pan na stole!

- Szerami to jest woda kolońska - podchwyciła, trącając łokciem porucznika - prawda, kotku, że nabrałam akcentu, hę?

- Nabrałaś, nabrałaś, hrabino - przyznał, gładząc ją po ramieniu, jak grzeczną dziewczynkę.

Komornicki tłumaczył zcicha Tadeuszowi:

- Nie mogłem jej wyperswadować. Uparła się: "pójdę i już. Ja wiem lepiej od ciebie, jak wyglądają te wasze koleżeńskie zebrania. Zawsze tam brakuje kobiety, naturalnie jednej, jedynej, - dla smaku" - powtórzył, naśladowując do złudzenia kapryśny ton jej głosu.

Adamski, który się ulokował we framudze okiennej, bacząc pilnie na zarezerwowaną dla siebie omszałą butelkę, wzruszył ramionami i rzekł półgłosem do sąsiada:

- Ten Stefek chyba zbzikował. Afiszuje się ze swoją dziewczynką coraz bezczelniej. Podobno rodzina łamie ręce i tylko prosi Boga, aby się ożenił, choćby z panną bez posagu, byle zerwał z tym trybem życia. Nazwisko, majątek jak perła. Dwieście hektarów sandomierskiej pszenicy!... Phy! Zdziobie ją ta kurka, ani się opatrzy, jak zdziobie do ostatniego ziarnka!

- Co ty tam pomrukujeś, Ada? Pewnie na moje konto? - zapytała podejrzliwie Naneta, której bystre uszko złowiło kilka wyrazów.

- Et, głupstwo, moja droga. Przypomniał mi się jeden wierszyk dla dzieci, więc go sobie powtarzam.

I zanucił półgłosem, mrużąc filuternie jedno oko:

Une poule

Sur un mur

Picotait

Du pain dur;

Picotait, picota -

Leve la queue -

Et puis s'en va!...

- Idjota - rzekła nadašana - myśli, że jak po francusku, to już na pewno nie zrozumie. A ja wiem, że jak ty co powiesz, to już dobre świństwo...

Odwróciła się od niego plecami i odeszła, bardzo zła. W tej samej chwili zbliżył się do okna Michalski:

- Czy wiesz - zagadnął Adamskiego - że Roger Denck był w Warszawie?

- Nawet się z nim widziałem - odparł tamten - szukał pieniędzy, ale teraz o kredyt coraz trudniej.

- Pożyczył u ciebie? Dolary, co?

- Et, bagatelka. Miałem trochę koron szwedzkich, leżały w biurku bez pożytku. Ale Denck - to teraz dobra hipoteka. Nie rzuciłem tych pieniędzy do Wisły.

- Podobno ta jego żona, to krezus. Czy to prawda?

- Hm... Jak kto uważa. Cztery domy, które kiedyś będą dawały dochód. Dużo mocnych akcyj, które kiedyś dojdą do pełnej wartości. Plac w Konstancinie... przepraszam, dwa place. Z tem wszystkim narazie mają zamało gotówki, a wydatki duże, bo ona przywykła do zbytków, a i Roger lubi wygodne życie.

- Czy ją znasz osobiście? Kto to taki?

- Tak... To jest właściwie - znałem ją kiedyś. Chodziła z moją młodszą siostrą na lekcje gimnastyki.

- I jak myślisz? Roger i tym razem miał szczęście, czy też wpadł?

- Mnie się zdaje, że to tak: ożenił się, bo panna była posażna, a potem

się w niej zakochał. Więc - jak kto uważa. Może i wpadł.

Michalski pokręcił głową.

- Ta miłość, ta miłość! Grabowicki także kochał się w swojej żonie, świata poza nią nie widział. A i Barscy już się rozchodzą - wiesz?

Adamski wzruszył ramionami.

- Wróble o tem świergotały jeszcze w zimie.

- Ale podobno był jakiś skandal, słyszałeś? Strzelanina w hotelu... Czy to prawda?

- Phi! Ona strzelała oczami w prawo i lewo, jemu się to wreszcie sprzykrzyło, więc raz wystrzelił z rewolweru. Rozbił lustro, spisano protokół, zapłacił karę, a pani Barska wyjechała do Montecatini, dla przemiany materji. Może wróci tak odnowiona, że nawet pod nowem nazwiskiem. Napijemy się, co? W gardle mi zaschło! Ten dym tak gryzie w oczy... Możeby okno uchylić?

Ale właśnie w tej samej chwili uczynił to Tadeusz. Łagodna, wiosenna noc wionęła z za firanek.

- Która to godzina? - zapytał go Adamski - już pewnie bardzo późno, co?

- Pierwsza... Wpół do drugiej... Nie wiem dokładnie, bo mi zegarek stanął, a ścienny wcale nie chodzi. Napijcie się czegoś?

- Owszem, owszem...

Z głębi mieszkania doleciał gwałtowny wybuch śmiechu, a prawie jednocześnie brzęk tłuczonego szkła.

- Oho, Nanetka w swoim żywiole! - zauważył flegmatycznie "Adzio" - zdaje się, że trzeba ją trochę "osadzić".

Halicki skierował się ku sypialni. Na mahoniowej toaletce siedziała istotnie Naneta, rozkosznie rozbawiona, zaczerwieniona pod warstwą bielidła, z oczyma zamglonemi. Machała nogami, zrzucając pantofelki, które porucznik Taff cierpliwie podnosił i próbował jej wkładać, co było rzeczą niełatwą, ponieważ stopy były w nieustannym ruchu. Pantofelki spadały na dywan, a Naneta zanosila się przytem od śmiechu, świdrującego uszy.

Jednocześnie Zygmunt Łada z pijackim uporem, podsuwał jej do ust kieliszek, powtarzając bez przerwy:

- Napij się jeszcze, Nanusiu. Kropelkę. Zobaczysz, to cię zaraz otrzeźwi...

Halicki chciał się cofnąć, ale zauważyła go i skinęła ręką przyjaźnie:

- Chodź tutaj, moje kurczatko!

Energicznym ruchem strzepnęła z kolan natrętne ręce młodego porucznika, odepchnęła kieliszek, rozlewając na kamizelkę "Munia" złoty płyn, przestała się śmiać i rzekła nieco przytomniej:

- Czy wiecie? To ciekawe... On mię jeszcze nigdy nie pocałował, ten... ten...

I zaraz dorzuciła prowokacyjnie:

- No, pocałowałaś mię raz, powiedz?

- Nie - zaśmiał się Tadeusz. - Ale mogę to zrobić w tej chwili.

- Powoli, kotku, powoli. Zobaczno, Muniek, czy rotmistrz nie stoi za firanką. On tego nie lubi, wiecie, jak całuję innych ładnych chłopców zamiast niego. Myśli, że wziął monopol, hę? Ale ty mi się dawno podobasz, słyszysz - podobasz mi się! - wołała groźnie, wytrzeszczając półprzytomne oczy. - Możesz mię pocałować w szyję - o, tu...

- Nawet w usta, Naneto, jeżeli zechcę - odparł zuchwale Tadeusz, któremu także szumiał w głowie alkohol. Ale ona niespodziewanie zgodziła się.

- Dobrze - szepnęła miękko, prawie ze łzami w głosie. - Tylko prędko, bo mię Stefek zabije...

Wtedy raptownie stracił ochotę. Niedbale, końcami warg musnął jej uróżowany policzek. Poczul w nozdrzach mdły zapach pudru, wstrząsnął się prawie z niesmakiem i rzekł tonem mentorskim:

- No, no, dosyć tych żartów, moja mała. Popraw włosy, zapnij pantofle i wracaj do salonu. Stefan cię szuka.

- Osioł - mruknęła, niewiadomo, komu przeznaczając ten komplement.

Zsunęła się z toalety i wolno, nieco chwiejnym krokiem podążyła ku drzwiom.

- Głupcy! - zatrzymała się jeszcze na progu. - Wszyscy jesteście głupcy i dr....

Zawarczało szkaradne słowo, które zgłuszyła zapadająca portjera.

- W gruncie rzeczy to jednak ordynarna dziewczka - zauważył Zygmunt Łada, patrząc na Tadeusza niechętnym wzrokiem. Umizgał się do tej Nanety przez cały wieczór, poświęciwszy bridge'a - a został tak niespodziewanie zdystansowany przez Halickiego, który nawet palcem nie kiwnął, by się jej przypodobać.

Powoli goście zaczęli się rozchodzić. Kilku zniknęło "po angielsku", Komornicki wprowadził Nanetę do auta, czekającego przed bramą. Opierała się, wołała tonem płaczącym: Nie chcę iść!

Chcę jeszcze koniaku! Jeszcze nie piłam koniaku! - aż wreszcie zniecierpliwiony Stefan chwycił syfon i prysnął na nią cienkim, ostrym strumieniem wody sodowej. O wpół do czwartej skończył się bridge. Dzień jasny oddawna wpadał do pokoju poprzez firanki. Goście mieli blade, zszarzałe oblicza, spierzchnięte wargi i nieco mętne spojrzenie. Góry niedopałków piętrzyły się na popielniczkach, na talerzach i na podłodze, wszędzie. Wstrętny zapach zużytego dymu przenikał powietrze, wsiąkając w meble i ubrania.

Na kanapie leżał Głębocki, podobny do trupa, szaroziemisty, z olbrzymimi rękami, założonymi na piersi.

- No, ten sobie dogodził - rzekł Wąsowski, chowając do pugilaresu wygrane banknoty.

- Jak zwykle, jak zwykle - dorzucił Adamski.

On jeden, pomimo, że pił przez całą noc niegorzej od innych, pozostał trzeźwy i rzeźwy. Gdy się drzwi za ostatnim gościem zamknęły, nalał sobie jeszcze jeden kieliszek, zapalił jeszcze jednego papierosa i rzekł do Tadeusza:

- Nie zazdrozczę ci. Zostać na tem pobojuwisku, w takim powietrzu! Ty się tego dymu przez tydzień nie pozbędziesz. Dobrze przynajmniej, że jutro - właściwie już dziś - mamy niedzielę. Nie potrzebujesz iść do biura.

- A nie - odparł Halicki, ziewając. I nagle przypomniał sobie, że miał zamiar zająć popołudniu do Lipskich.

- Jak myślisz - zagadnął - czy wypada przyjść do kogoś z drugą wizytą, mając "katzenjammer", po nieprzespanej nocy?

- To zależy, czy chcesz zrobić korzystne wrażenie. Jeśli masz gadać o interesach, lepiej zaczekaj, aż ci przejdzie ból głowy. A jeśli idziesz do kobiety - możesz się nawet wydać interesujący.

Tadeusz skinął głową, patrząc półprzytomnymi oczami w błękitny dzień za oknem.

- No - rzekł Adamski - ty już zasypiasz, Tadek. Chciałem ci zabrać Głębockiego, ale to chyba niewykonalne. Gdybym go nawet rozbudził, nie ustoi na nogach. Do widzenia!

W progu jeszcze przystanął:

- Prześliczna minjatura - ozwał się - jeśli kiedykolwiek miałbyś zamiar pozbyć się tego, nie sprzedawaj bez porozumienia się ze mną. Zgoda?

## Rozdział Vi.Ñ

### Niedziela Mani Lipskiej

Około piątej obie siostry Lipskie wróciły z Powązek, dokąd rokrocznie jeździły od śmierci matki w dniu jej imienin. Miały zamiar powrócić pieszo, bo dzień był cudownie piękny, słoneczny i nie gorący, ale mniej więcej po kwadransie Wandzia oznajmiła, że jest zmęczona, że ją jakoś dziwnie nogi bołą - więc siadły do tramwaju i wkrótce znalazły się przed domem.

- Ciekawam bardzo, czy też Olek nie zemknął - rzekła Mania, wyjmując z torebki klucz od zatrasku. - Coprawda, miał się uczyć całe popołudnie bo przecież już pojutrze egzamin z matematyki, ale ten chłopak nic sobie nie

robi z egzaminów. On sobie wogóle nic z niczego nie robi.

- Uhm... - mruknęła Wandzia.

Siostra spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Co ci jest? Chodzisz od rana, jak mała sówka nadęta. Głowa cię boli?

- Trochę - odparła Wandzia. - Otwierajże prędzej te drzwi. Na co czekasz?

Weszły do przedpokoju, gdzie jak rok długi, stale pachniało naftaliną, przy pomocy której Ciszewska prowadziła zażartą, acz niekoniecznie zwycięską walkę z molami. Palto Olka wisiało na szaragach.

- Jest w domu - rzekła Mania, podnosząc z ziemi sponiewieraną czapkę uczniowską. - Chwała Bogu, widocznie wziął się do roboty.

Wsunęły się do pokoju cicho, na palcach, by nie przeszkodzić bratu. Istotnie, Olek był w domu. Siedział przy dużym stole, z głową, wpartą między kułaki i czytał półgłosem jakieś notatki.

Mania jednym rzutem oka skonstatowała, że cały zapas chleba zniknął, jak również kotlet z obiadu, zostawiony na jutrzejsze śniadanie dla maturzysty. Nie spożył tej przekąski na sucho, o czym świadczyła niedopita filiżanka herbaty i liczne ślady cukru, rozsypanego w okolicy kredensu.

- No i proszę ja kogo! - ozwała się Wandzia półgłosem. - Obiad jedliśmy o drugiej, teraz jest piąta, a ten żarłok już po podwieczorku. Ciekawam, kto mu zrobił herbatę? Przecież nie Ciszewska?

- Sam zrobiłem na maszynie - odpowiedział Oleś, podnosząc głowę z nad zeszytów. - A ciebie co to znów obchodzi, czy piłem herbatę, czy nie piłem?

- Obchodzi, bo zjadłeś wszystek chleb, a i sera jakoś nie widzę. Jeżeli teraz ktoś nadejdzie...

- Kto tam nadejdzie! - burknął Olek, wzruszając ramionami.

Mania podeszła do kredensu i przekonała się naocznie o zniknięciu sera.

- Gdzie ja go mogłam położyć? - powiedziała nawpół do siebie. - Olek, nie widziałeś go na kredensie?

- Kogo?

- Talerzyka z serem holenderskim.

- Ach, z serem... - odparł nieco skonfudowany. - Bo widzisz, Maniu, ja go zjadłem... Myślałem, że...

- Jakto zjadłeś? Wszystko?

- No, tak - mruknął, coraz bardziej stropiony - bo widzisz, ten ser tak śmierdział... więc pomyślałem sobie: lepiej go zjeść od razu...

- A co! - wybuchnęła Wandzia - powiedziałam ci! On zjadł wszystko sam jeden! Ten obrzydły łakomczuch! A teraz, niech kto przyjdzie na herbatę...

- Nikt nie przyjdzie, zobaczysz! - pocieszał ją brat tonem pojednawczym.

- Nie do wiary! - jęknęła Mania - pół kilo sera! Przecież ty się możesz rozchorować...

- Nic mu nie będzie. On przecież nawet wtedy nie zachorował, jak zjadł ten agrest na konfitury - krzyknęła Wandzia i nagle rozplakała się.

- Wandziu, co ci się stało? Co tobie? - spytała Mania z przerażeniem. Dziwne rozdrażnienie dziewczynki, zwykle pogodnej i wesołej, zaczęło ją głęboko niepokoić. Podeszła i położyła rękę na czole siostrzyczki. Było rozpalone.

- Ależ, Wandziulko moja, ty masz gorączkę! Ty masz na pewno silną gorączkę!

I chciała zbadać jej puls, ale tamta wyrwała się, mówiąc głosem przerywanym przez łzy:

- Nic mi nie jest! Zostaw mię... Ach, jacy wyście nieznośni oboje!...

Podbiegła do okna i rozplaszczyła nosek na szybie, obracając się do rodzeństwa plecami.

- Ona jest chora, Olku - szepnęła Mania. - Ja już wczoraj zauważyłam, że wyglądała bardzo mizernie po powrocie ze szkoły...

Poszła zaraz do sąsiedniego pokoju po termometr. Ręce jej się trzęsły, gdy wyjmowała go z szufladki. Żeby tylko ta Wandzia nie rozchorowała się poważnie! Stroskaną myślą przebiegła wszystkie najokropniejsze możliwości. Szkarlatyna, tyfus, ospa! Każda z tych potwornych chorób zaczyna się od silnej gorączki. O Boże, tego tylko brakowało, żeby Wandzia dostała tyfusu, lub szkarlatyny! Tego tylko brakowało!..



Czuła, że błędnie na to samo przypuszczenie. W pamięci jej zarysowała się srebrna trumienka, w której powieszono na cmentarz biedne małeństwo, jej paroletnią siostrzyczkę, zmarłą na szkarlatynę. Od owych czasów nazwę tej choroby wymawiano w domu tylko szeptem, oglądając się trwożnie, jakby tuż-tuż za drzwiami czyhała okrutna śmierć, gotowa każdej chwili wejść po nową ofiarę.

Trzeba było długich perswazyj i próśb, aby nakłonić Wandzię do zmierzenia gorączki. Sprzeciwiała się temu z zadziwiającym uporem. Nic i nie. Nic jej nie jest, najwyżej katar. Położy się jak zwykle, o dziesiątej. Wreszcie - oliwa wypłynęła na wierzch:

- Bo dziś pewnie przyjdzie rotmistrz, a ja mam leżeć w łóżku? - ozwała się dziewczynka i dorzuciła prędko - muszę też skończyć moje pocztówki.

Jednakże uległa wkońcu prośbom, uspokojona obietnicą, że jeśli rotmistrz przyjdzie, to będzie mogła rozmawiać z nim, leżąc.

- Ale w sukience i na kanapie?

- Tak, tak, w sukience i na kanapie - zgodziła się Mania, zakładając jej termometr pod pachę. Okazało się, że Wandzia ma silną gorączkę, przeszło 39 stopni. W dwie godziny później leżała już półprzytomna, szczękając z zimna zębami, to znowu skarżąc się, że w piecach widocznie napalili za dużo, bo taki upał!

- Nikt nie palił w piecu, Wandziuniu! Przecież to koniec maja! Tylko ty masz gorączkę. Poczekaj, zaraz przyniosę ci herbaty. Leż tylko spokojnie i nie zrzucaj kołdry! - prosiła Mania.

Pobiegła do przedpokoju, gdzie się znajdował telefon. Ciszewska, naturalnie, zjawiła się natychmiast na progu i chciwie łowiła każdy wyraz.

- To u państwa ktoś zachorował? Siostrzyczka? - zagadnęła tonem kwaśno-słodkim. - Czy tylko nic zaraźliwego? Bo teraz w mieście tyle paskudnych chorób panuje!

- Nie, nie - odparła Mania - przypuszczam, że nic groźnego. Pewnie się zaziębiła. Właśnie rozmawiałam z doktorem. Przyjdzie niedługo.

- Bo jakby coś zaraźliwego, moja panno Marjo, to radzę do szpitala. W domu prywatnym nawet niewolno trzymać chorych. Zaraza się tylko roznosi. Ja w każdym bądź razie wymawiam sobie...

Panna Lipska wyszła, nie słuchając dłużej. "Ta Ciszewska" - pomyślała z gniewem - ta Ciszewska! Nie dalej, jak tydzień temu znowu nam podwyższyła komorne. Płacę za gaz, płacę za elektryczność, za wszystko... A ona teraz gotowa dać znać do policji...

Omów nie rozplakała się z irytacji. Dostyc biedy, że Wandzia chora, jeszcze się będzie trzeba układać z tą babą przeklętą!

O dziesiątej przyszedł doktor Rudnicki. Był to młody lekarz, bardzo podobno zdolny. W gimnazjum kolegował z Michasiem. Lipski znali go dzieckiem, ponieważ parokrotnie spędzał wakacje w Markowie. Później - stracili go z oczu. Podobno podczas wojny praktykował w lazaretach polowych, później, skończywszy medycynę, osiedlił się w Warszawie. Mania słyszała o nim często od koleżanek z biura. Wszystkie wynosiły go pod niebiosy: "O, Rudnicki, to przyszła sława!" - mówiły.

Szukając w książce pod rubryką: lekarze, Mania przypadkiem natrafiła na to nazwisko. Bez wahania zadzwoniła pod wskazany numer.

- Mam jeszcze kilka pacjentek - odpowiedział miły, niski głos. - Ale postaram się przyjść jak najprędzej. Więc to panna Marja Lipska, z Markowa?

- Tak, tak. Błagam, niech pan nie zwleka. Bardzo się niepokoję o siostrę...

Gdy wszedł do jadalni, wytwornie ubrany, szczupły mężczyzna lat około trzydziestu, o mało nie krzyknęła ze zdziwienia.

- Rudnicki - powiedział dźwięcznie. - Jakże miło mi powitać panią po tylu latach! Jak miło, że pani pomyślała właśnie o mnie. Więc siostra pani?..

- On był w wieku Michasia! - przemknęło Mani przez myśl. Głośno odparła: - Moja siostrzyczka leży w sąsiednim pokoju. Dostała nagle silnej gorączki. Czterdzieści stopni. Tak się boję...

Młody lekarz przerwał jej grzecznie:

- Przepraszam. W jakim wieku jest pani siostrzyczka?

- Skończy w lipcu czternaście lat. Pan jej nie może pamiętać... To było...

- Ach, naturalnie, - odparł, uśmiechając się. - I dlatego, w pierwszej chwili, niebardzo mogłem zrozumieć... Bo, widzi pani, choroba jej siostrzyczki nie leży zapewne w zakresie mojej specjalności. Jestem ginekologiem.

- Ach! - szepnęła Mania. - Doprawdy straciłam głowę! Zauważyłam pańskie nazwisko w książce telefonicznej... My tak mało mamy znajomych, tutaj, w Warszawie. Zwłaszcza doktorów... Nie przyszło mi na myśl...

- Nic nie szkodzi, droga pani. Proszę mię zaprowadzić do chorej. Może się zorientuję, co to takiego. Ukończyłem studja nie tak dawno. Zobaczymy, ile mi jeszcze pozostało praktyki...

Mówił nadzwyczaj uprzejmym tonem, starannie wykańczając wyrazy jakby każdy z nich był drogim kamieniem, który należy odpowiednio oprawić. Mówiąc, jednocześnie przyglądał dłonią piękne, czarne włosy i spoglądał na młodą osobę pięknymi, czarnymi oczami, o dziwnie długich i jakby zafryzowanych rzęsach.

Pomimo głębokiego niepokoju o Wandzię, panna Lipska uczyniła w duchu uwagę: "Więc to jest ta przyszła sława, ten nadzwyczajny Rudnicki? Rzeczywiście, jest nadzwyczajnie piękny!".

Po zbadaniu dziewczynki doktor powrócił do jadalni z miną dość zatroskaną:

- Zdaje mi się... O ile mogę wnioskować... Tak, mam wrażenie, że to będzie szkarlatyna.

Mania uczuła, że raptownie siły ją opuszczają. Musiała się rękami oprzeć o stół i spytała pobladłymi wargami:

- Szkarlatyna? Co też pan mówi...

- O, niech się pani tak nie przejmuję, droga panno Marjo. Choroba może mieć zupełnie lekki przebieg. A zresztą - może się mylę. Chociaż... No, jutro zobaczymy. Pani pozwoli, przyjdę w południe z kolegą. To taki "wewnętrznik" speejalista. Bardzo zdolny lekarz i miły człowiek. On się zaopiekuje pani siostrzyczką, bo co do mnie, to istotnie, pani rozumie? Z największą chęcią podjąłbym się leczenia, gdyby nie fatalna okoliczność, że moja eksperjencja w tej dziedzinie... Doprawdy, po raz pierwszy żałuję, że wybrałem inną drogę.

- Rozumiem. Tak, naturalnie. Bardzo panu dziękuję, bardzo - bąkała Mania, odprowadzając go do drzwi.

Nie zauważyła wcale, że dziwnie długo i mocno trzymał jej rękę w swojej, nie pojmowała prawie treści ostatnich zdań, w których napomknął coś o dawnych czasach - i że mu było bardzo przyjemnie - i że pozwoli sobie skorzystać ze starej znajomości - et caetera et caetera...

Wróciła wolno do stołu, przy którym tak niedawno padło słowo. Powtórzyła je nieśmiało, półgłosem, powtórzyła je mocniej i nagle dreszcz nią wstrząsnął, jakby dopiero teraz pojęła znaczenie tego słowa.

Z sąsiedniego pokoju dało się słyszeć popłakiwanie Wandzi, która wciąż narzekała na nieznośne gorąco.

- Jaki upał! - skarżyła się dziewczynka. - I dym, aż w oczy gryzie. Czy to Olek pali papierosy? Ładny skaut! Maniu, Maniu, chodź tutaj! Nogi mi rosną, wychodzą aż za łóżko... O! to takie okropne!

- Nic, nic, dziecinko - leż spokojnie. Jesteś trochę chora, ale to przejdzie. Doktor powiedział, że przejdzie... - szepnęła biedna Mania, schylając się nad rozpaloną główką, od której buchał żar.

Z sercem ściśniętem podeszła do swego łóżka, nad którym wisiał maleńki obrazek Matki Boskiej nieustającej Pomocy. Klęknęła i poczęła się modlić żarliwie, prosząc o pomoc Uzdrawicielkę chorych i Pocieszycielkę strapionych. A potem modliła się do swojej matki, która przecież tam, zdaleka, czuwa nad nimi...

Powstała z klęczek pokrzepiona, raźniejsza, pełna wiary, że nic złego stać się nie może i natychmiast zaczęła obmyślać plan działania. Zaraz jutro zrana pośle zawiadomienie do biura, że nie będzie przychodzić z powodu choroby siostrzyczki.

Olka trzeba wyprawić z domu bezwarunkowo i niezwłocznie. Ma przecież egzaminy, musi chodzić do szkoły, między kolegów. Ale gdzie go umieścić? U państwa Klimaszewskich są małe dzieci - nie można ich narażać. U któregoś z kolegów?... Niełatwo znajdzie się kąć swobodny... A więc?

Wróciła do jadalni. Chłopak, zaszyty w kącie, uczył się zajadle, chociaż godzina była późna.

- Słuchaj - rzekła Mania. - Musisz się wyprowadzić z domu dziś jeszcze. Zapewne na kilka tygodni. Wandzia, prawdopodobnie, będzie miała szkarlatynę.

- Co ty gadasz? Doktor powiedział?

- Powiedział. Nie słyszałeś?

- Ja się muszę uczyć, więc nie słucham, co koło mnie gadają - odparł. - I powiadasz, że się mam wynieść? Ciekawym, dokąd? do hotelu?

- Otóż to właśnie... Sama nie wiem, co robić...

W tej chwili Wandzia poczęła wołać:

- Maniu! Z kim rozmawiasz? Czy rotmistrz przyszedł? Dlaczego nie przyszedł tutaj? Obiecaliście mi przecież... Ma-a-niu?

- Idę, idę już, kochanie.

Nagle błysnęła jej myśl.

- Pójdź do pana Halickiego. Tam przenocujesz. On cię przyjmie z pewnością, a potem - zobaczymy.

Uściskała brata, który zaczął zbierać swoje zeszyty i książki. Przywykł słuchać we wszystkim tej Mani, która była trochę "ciapa" ale zawsze miała rację i potrafiła w każdej sytuacji znaleźć wyjście. To też, pomrukując pod nosem, że "trzeba mieć pecha, by ta smarkata rozchorowała się właśnie w przededniu jego matury", wygrzebywał z komody jakąś bieliznę, jakieś kołnierzyki i skarpetki, i układał to wszystko w wielki stos na ziemi.

- Czekażże! - zawołała Mania - ja ci to wszystko jutro przygotuję i przyślę, a tymczasem weź co najpotrzebniejsze, ręcznik, szczoteczka, mydło...

I pobiegła do chorej. Dziewczynka siedziała na łóżku z oczyma szeroko otwartymi, nieprzytomna.

- Kto tam? Kto tam chodzi?

- Nikogo niema, Wandziu. To tylko ja rozmawiałam z Olkiem.

-Z jakim Olkiem? - szepnęła Wandzia, a potem dodała powoli, przypatrując się siostrze ze zdumieniem:

- To ty, Maniusiu? A rotmistrz? Przecież dzisiaj niedziela, a on obiecał w niedzielę...

- Jutro niedziela, kotku - skłamała Mania, gładząc ją po głowie. - Jutro pan Halicki przyjdzie z pewnością, zobaczysz. A tymczasem śpij, moje kochanie.

## Rozdział Vii.Ñ

### Ciche dnie

Wyrwawszy się z biura o godzinę wcześniej, Tadeusz siadł do dorożki i pojechał prosto na Koszykową. Drzwi mieszkania były przyozdobione kartką, przypiętą zapomocą tak zwanej "pluskiewki", a zawierającą objaśnienie, że: "Dzwonek nie działa, proszę stukać".

Tadeusz zastukał raz i drugi, bezskutecznie. Począł więc łomotać pięściami w imitację mahoni, a wówczas z głębi mieszkania rozległo się najpierw skrzypienie drzwi, potem odgłos kroków, i wreszcie zapytanie:

- Kto tam?

- Halicki. Przyszedłem się dowiedzieć...

Drzwi uchyliły się, ale tylko tak szeroko, na ile pozwolił gruby łańcuch. W tej szczelinie zamajaczyła sylwetka panny Lipskiej na ciemnym tle tapety.

Ach, proszę pana - oznajmiła, zniżając głos do szeptu, - przed południem był doktor i już stanowczo stwierdził, że Wandzia ma szkarlatynę,

- Ooo - rzekł Tadeusz. W danej sytuacji trudno było wyrazić inaczej swój

osobisty pogląd na tak przykrą wiadomość. Usiłował tylko nadać owemu przeciągłemu "ooo" wszystkie cechy współczucia, żalu, niepokoju i gotowości do rozporządzania swoją osobą. Mania zrozumiała to i dorzuciła pośpiesznie:

- Bardzo panu dziękuję za Olka i - przepraszam. Doprawdy, wczoraj sama nie wiedziałam, co robić. Przyszedł mi do głowy ten pomysł... Wyobrażam sobie pańskie zdumienie: ktoś, prawie obcy nawet nie zapytawszy, przysłała panu współlokatora...

- Jakto, "prawie obcy"? Jesteśmy przecież spokrewnieni, czyż nie? A gdyby nawet tak nie było, mogę tylko czuć wdzięczność, że pani pomyślała o mnie, jak o kimś bliskim i życzliwym - co przecież jest prawdą. I teraz przyszedłem dowiedzieć się, w jaki sposób mogę dopomóc pani - to jest być użytecznym. Pewnie pani ma jakieś sprawy do załatwienia na mieście? jakieś zakupy, lekarstwa, listy? Proszę mną rozporządzać.

- Jaki pan dobry i uprzejmy - szepnęła Mania, - rzeczywiście mam nawet w tej chwili kwit do apteki, tej, wie pan, na rogu Marszałkowskiej.

Moja gospodyni zatarasowała się, razem z naszą wspólną służącą, w swojej części mieszkania, tak, że chwilowo nawet biedziłam się, co teraz robić... Bo narazie trudno mi zostawić Wandzię samą. Biedactwo jest nieprzytomne... Rzuca się niespokojnie, mówi bez sensu. Gdyby pan wiedział, jaki to smutny widok... I nic jej pomóc nie mogę! Doktor, na szczęście, jest dobrej myśli i twierdzi, że jeśli nie przyjdą komplikacje... Ale ja tu stoję, opowiadam, i nawet nie mogę przyjać pana u nas...

- Proszę mi dać kwit, panno Marjo, i wyliczyć, co jeszcze mam załatwić na mieście. Za pół godziny będę zpowrotem po nowe rozkazy.

Przyjęła tę propozycję jednym, prostym słowem: "dziękuję" i pobiegła w głąb mieszkania po ów kwit, a Tadeusz, czekając przy uchylonych drzwiach, pomyślał, że ta dziewczyna od pierwszej chwili wydała mu się dziwnie bliska i że po raz pierwszy, dzięki niej, zrozumiał, co to jest uczucie braterskie. "Tak, to jest moja siostra - szepnął - a Olek to mój młodszy brat, a Wandzia - nasza mała siostrzyczka. Stanowimy razem dobraną, kochającą czwórkę rodzeństwa".

Mania wróciła z kartką:

- Na ten kwit, proszę pana, trzeba odebrać lekarstwo, a tutaj są pieniądze.

- Później, później obrachujemy się, panno Marjo! Tymczasem dowidzenia! Zbiegł po schodach, jak uczeń, przeskakując po parę stopni. Postąpiła jeszcze chwilę, nasłuchując odgłosu kroków, a gdy trzasnęły drzwi na dole, zamknęła i swoje z cichem westchnieniem.

- Jaki on miły!... Wandzia ma słuszną rację, że go tak polubiła od pierwszej chwili. To musi być zacny chłopiec, ten nasz "kuzyn".

Nie minęło i pół godziny, a Tadeusz był już zpowrotem. Przyszedł, tak obciążony paczkami, że Mania przeraziła się.

- Niechno pani spuści ten łańcuch! - krzyknął wesoło - przecież się tędy nie przecisnę z moim bagażem.

Nie dał jej nawet przyjść do słowa i zasypał gradem argumentów, na które nie znalazła repliki:

- Boi się pani, żebym nie dostał szkarlatyny? Sam ją przeszedłem w dzieciństwie. A co do roznoszenia zarazków, to już znalazłem radę: tu, o, w tej paczce jest biały fartuch, wie pani, taki, jakich używają w szpitalach. Przecież i doktorzy chodzą do chorych, a potem wracają do żony i dzieci. No, niechże pani otworzy! Rozpakujemy wszystko w przedpokoju, ubiorę się, jak siostra miłosierdzia, gotów jestem włożyć nawet czepeczek...

Musiała się uśmiechnąć. Po chwili Tadeusz przywdział rzeczony fartuch. Był nieco za krótki i zabawnie wyzierały z pod niego łańskie spodnie z lamпасami. Inne paczki, jak się okazało, zawierały całą wystawę ze sklepu towarów kolonialnych. Były tam i sardynki i jakieś litewskie wędliny i paczka herbaty i całe mnóstwo pomarańcz.

- Co pan wyprawia! Naco było kupować te wszystkie rzeczy? - gderwała Mania.

Za drzwiami, prowadzącymi do apartamentów Ciszewskiej, dał się słyszeć szelest, stłumiony zresztą przez materac, jakim przezorna ta niewiasta

odgrodziła się od sąsiedztwa mikrobów.

- Oho, moja gospodyni pewnie umiera z ciekawości, z kim tak długo rozmawiam w przedpokoju, - zauważyła panna Lipska - Zabarykadowała się i teraz nietylko musi wychodzić przez kuchnię, ale trudno jej podsłuchiwać...

- Musi to być bardzo miła osoba - rzekł Tadeusz, przypominając sobie ową jejmość w przydeptanych pantoflach, która mu otworzyła z miną obrażonej królowej.

- No, miła to nie powiem - odparła uśmiechając się znów mimowoli. - Lubi zrzedzić i jest chciwa na pieniądze. Za nasze dwa pokoje płacę więcej, niż ona za cały lokal. Pomimo to ciągle narzeka i chciałyby się nas pozbyć. Dlatego robi mi różne wstręty na każdym kroku. Naprzykład teraz: zabroniła służącej wchodzić nawet do przedpokoju. Obiecała zawiadomić policję, że w domu jest zaraźliwa choroba. Ale tego nie robi, jestem pewna. Nie, za nic nie oddam Wandzi do szpitala. Biedactwo czułoby się tam opuszczone... Och, proszę pana, tak się boję...

Mimo, że w przedpokoju było ciemnawo, Tadeusz dostrzegł w oczach Mani łzy.

- Chodźmy - rzekł serdecznie - ja teraz posiedzę przy chorej, a pani się położy. Jestem pewien, że pani oka nie zmrużyła przez całą noc.

- Jakżebym mogła usnąć? - odparła ze zdumieniem.

- I obiadu też pani pewno nie jadła? Trzeba się przecież szanować, panno Marjo. Jeżeli pani zamierza pielęgnować chorą - trzeba oszczędzać siły.

Weszli do "jadalni". Przez firanki śnieżnej białości słońce przesiewało złoty blask. Zapach świeżo zaparzonej kawy mieszał się z zapachem spirytusu i ostatnich, spóźnionych narcyzów, więdących w szklanym wazonie.

W sąsiednim pokoju leżała chora dziewczynka. Tadeusz podszedł na palcach. Ujrzał rozczarowaną twarzyczką i oczy przyknięte, ale w tej chwili Wandzia ocknęła się z pół-snu.

- O, przyszedł pan Tadeusz. To dobrze.

I wyciągnęła do niego suchą, rozpaloną raczynę.

Z tą chwilą rozpoczął się dla Tadeusza jakiś nowy okres w jego życiu. Były to dni zrazu smutne i pełne niepokoju, później, gdy już minęło niebezpieczeństwo życia - płynęły jeden za drugim ciche, nieco jednostajne, lecz dziwnie miłe, nawet jasne. Choroba Wandzi trwała kilka tygodni, a przez cały ten czas Halicki codziennie przychodził około czwartej i siedział niekiedy do późnego wieczora, zastępując Manię.

Przynosił lekarstwa i sprawunki, przynosił zawsze kilka świeżych kwiatków, które panna Lipska stawiała przy łóżku chorej, przynosił pozdrowienia od Olka i wieści o rezultatach egzaminów.

Potem, gdy już Wandzia miała się lepiej, zaczął przynosić pisma i książki, albo jakąś zabawkę: zwierzątko z celuloideu, balonik, lub pajaca, zupełnie jak maleńkiemu dziecku. Dziewczynka uśmiechała się, a każdy taki uśmiech rozświetlał twarz starszej siostry.

W tych długich godzinach było miejsce i na gawędy i na głośne czytanie i na roztrząsanie różnych zawiłych kwestyj, naprzykład: dokąd wysłać Wandzię, gdy wyzdrowieje i czy Mania powinna, czy nie powinna starać się o urlop.

- Mój urlop kończy się pierwszego lipca - mówiła Mania - żeby tylko Wandzia do tej pory była zupełnie zdrowa.

- Zdaje się, że w lipcu kuracja dla pani okaże się potrzebniejsza, niż dla tej figi, która wygląda jak róża! - gderał Tadeusz.

Pomimo owego "pani", ton, jakim przemawiał do starszej panny Lipskiej, brzmiał familjarnie. Do Wandzi zwracał się zwykle w trzeciej osobie. Mówił: "niech Wandzia zje kaszkę", lub też poprostu: "A teraz położyć się i spać, bo sznurkiem przywiążę".

Najdłużej i najczęściej mówili o Markowie. To był niewyczerpany temat.

- Już pewno czereśnie zaczynają dojrzewać? - wzdychała Wandzia. - Kto tam teraz objada wszystkie niższe gałęzie, bo dawniej, jak się Olek do nich dorwał...

A Mania mówiła ze smutkiem:

- Podobno ten pan, który od tatusia kupił Markowo, sprzedał je żydowi. Nie mogę temu wierzyć! Nasze Markowo! Nasze kochane Markowo...

I już do końca wieczoru nie można jej było oderwać od najmilszych wspomnień.

- Wstawiałam bardzo wcześnie, zimą o szóstej, a latem to i o czwartej. Cała obora była tylko na mojej głowie. I obora i drób. Ojciec gospodarował w polu, mama w domu, a ja - na podwórku. I - wie pan, - gdyśmy tu przyjechali, z początku nie mogłam się przyzwyczaić... Prostu nie rozumiałam, jak ja wyżyję tutaj bez moich kur, kaczek i gęsi... Bez moich kochanych krówek, które tak mię znały, że wołałam je po imieniu, a one podchodziły do ręki...

- A ty dla nich wykradałaś chleb ze spiżarni - wtrącała Wandzia - i dostawałaś bury od mamusi.

- Wykradałam. I z magazynu wykradałam ziarno dla drobiu. Czasem, jak przyszedł ciężki rok i każde ziarnko było wyliczone, tatuś chował przede mną klucze.

- Raz, to Mania dostała śliczny prezent - roześmiała się Wandzia, odkładając ołówek i papier, cały zabazgrany rysunkami. - Tatuś pyta: "Cobyś ty chciała, Maniusiu, na imieniny?" Powiedz, to kupię, właśnie jadę jutro do miasteczka. A ona na to: "Nie potrzebuje tatuś przywozić, bo ten prezent jest tu na miejscu, w Markowie. No - i dostała korzec pszenicy, w nowym worku, na którym było wypisane atramentem: "Na imieniny Mani - od rodziców w dani. Wszyscy się śmieli z takiego podarunku, a Manusia pewno żałowała w duchu...

- Owszem, żałowałam, że powiedziałam wtedy: korzec, zamiast... dwa korce.

Gawędziły tak, przekomarzając się wesoło, a Tadeusz słuchał pilnie, choć te opowieści nie były nazbyt zajmujące. Zajmująca była natomiast żywa gestykulacja Wandzi, która wierciła się na łóżku i każde zdanie ilustrowała niesłychaną ilością ruchów. Kręciła głową w prawo i w lewo, składała i rozkładała ręce, śmiała się, to znów marszczyła czoło, gderząc na siostrę za jakies niedokładności w rejestrze wspomnień:

- A właśnie to ja pierwsza zobaczyłam, jak się bociany biją o gniazdo.

- A kiedy przecież pan Kłusakowski powiedział przy obiedzie...

- Pan Kłusakowski powiedział, a ja widziałam. On nie mógł widzieć pierwszy, bo cały ranek był w polu.

- To może z rewolweru też nie on strzelił obcym bocianom na postrach?

- No... on, ale to było później. A ja widziałam, jak się biły jeszcze przed pierwszym śniadaniem.

- Dobrze już, dobrze...

- A co? Może nie wierzysz? To ci jeszcze powiem...

Ale Mania przerywała dyskusję westchnieniem:

- Szkoda Markowa! Często myślę, że gdybyśmy się wszyscy jeszcze więcej starali, pracowali jeszcze gorliwiej - uniknęłoby się sprzedaży. Dla mnie to był cios - dokończyła ciszej. - Z początku nie mogłam wyobrazić sobie tego życia w mieście. Teraz już trochę przywykłam, ale zawsze... Biedny tatuś! On cierpiał nad tem jeszcze więcej, niż my. Bo przecież Markowo nigdy nie było w obcych rękach. Dziadek zostawił je ojcu, a dziadkowi - nasz pradziad... Tam, w parafjalnym kościółku, do dziś dnia znajdują się bardzo stare papiery, dokumenty dotyczące naszej rodziny. A na cmentarzu są bardzo stare groby. I nasza mała siostrzyczka tam leży... I babunia, którą jeszcze Wandzia musi pamiętać...

- A jakże. Miała tylko jeden ząb, ale za to bardzo wielki i złoty i strugała o niego rzodkiewkę. A w jej pokoju pachniało zielonym serem, co go zawsze suszyła na piecu i częstowała każdego, czy chciał, czy nie chciał.

- Fe, Wandziu! Jak można tak mówić o babuni. Zresztą - ty byłaś malutka, a babunia już bardzo stara. Ja pamiętam czasy, gdy miała więcej zębów i ubierała się w piękne, staromodne suknie z kaszmiru. Była bardzo pobożna i codziennie uczyła nas nowego pacierza. Michasia i mnie. A potem, gdy umarła, zostało po niej takie mnóstwo książek do nabożeństwa i świętych obrazków, że nie widzieliśmy, co z tem robić.

Tadeusz wysłuchiwał spokojnych opowiadań Mani i czasem myślał: jaka ona dziecinna pomimo swoich dwudziestu czterech lat. A częściej myślał: jaka ona musi być dobra! I usiłował przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek

powiedziała o kimś co złego? Nie. Nawet dla Ciszewskiej znajdowała usprawiedliwienie:

- Zdiera od nas za to mieszkanie, ale potrzebuje pieniędzy. Podobno gdzieś zagranicą ma syna, który dużo wydaje... To nie jest zła kobieta, tylko bardzo osamotniona i dlatego nieco zgorzkniała.

Wandzia była innego zdania:

- Dokucza Mani, więc jej niecierpię. Znienawidziałabym każdego, ktoby był zły dla Mani!

Tadeusz miał wielką ochotę uściskać dziewczynę za te słowa.

Wieczorami, gdy już Wandzia była zmęczona, wychodzili do sąsiedniego pokoju. Tadeusz miał zamiar pożegnać się wkrótce, ale odwlekał tę chwilę. Mania zazwyczaj pytała:

- Napije się pan herbaty?

I Tadeusz uczuwał raptownie wielki pociąg do, herbaty, choć przed minutą jeszcze nie doznawał pragnienia. Siadał na kanapie i czekał, aż się woda w imbryczku zagrzeje. Przez ten czas przypatrywał się Mani; śledził jej ruchy i zawsze doznawał dziwnie błogiej radości, stwierdzając po raz setny, że ona ma w każdym spojrzeniu, w każdym pochyleniu głowy i w każdym geście niewysłowiony wdzięk; miał wrażenie, że od jej palców promienieje ciepło i dobroć, kładąc swe piętno nawet na martwe przedmioty. Zdawało się, że traci pospolitość swą i nabierają szlachetniejszych kształtów pod tem dotknięciem.

- Jaki to ładny kubeczek - myślał wtedy, przypatrując się fajansowej skorupce, którą właśnie brała ze stołu. - Jaki miłutki wazonik! Jak ona to robi, że nawet naftowa maszynka, zapalona jej dłoń, nie kopci i nie syczy, jak każda inna maszynka, w każdym innym mieszkaniu?

- Jest już herbata - mówiła panna Lipska, a Tadeusz budził się z zadumy, zadziwiony intonacją jej głosu, który z tak prostych słów potrafił zrobić coś, jakby fragment pięknego wiersza.

Często też, gdy Mania czytała głośno dla Wandzi, przymykał oczy i wsłuchiwał się w rytmikę wierszy. Niektóre znał i pamiętał z dzieciństwa, inne słyszał pierwszy raz w życiu, ale wszystko, co wybierała do czytania ze starych, zniszczonych książek, było piękne, było harmonijne, jak jej ruchy i głos.

Pewnego dnia wszedł do pokoju tak cicho, że obie siostry nie zauważyły go. Mania siedziała pod oknem, z którego padało światło na książkę otwartą i czytała półgłosem. Wandzia miała oczy zamknięte i równy, głęboki oddech śpiącej. Mania czytała:

"Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało?

Bóg to wie. Krew po sercu ślizga się powoli,

Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało...

Dobre niebardzo cieszy, złe niebardzo boli.

Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,

A książka ich objaśnić, zwalczyć nie pomoże,

Zapłaczesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?

Gdzie wiara..."

Umilkła, przewracając kartkę i wówczas dopiero dostrzegła Tadeusza.

- Ach, to pan! Nie wiedziałam, kiedy pan wszedł tutaj!

- Widzi pani, jak to niebezpiecznie powierzyć komuś klucz od mieszkania. Mogłem obrabować dom, a paniby nie usłyszała...

- Cicho - szepnęła - Wandzia śpi. Proszę poczekać na mnie w tamtym pokoju. Cały ranek była dziś rozdrażniona i grymasiła, jak trzyletnie dziecko. Wreszcie - zaczęłam jej czytać po obiedzie, no - i zasnęła.

- Co to za poezje, można wiedzieć? - spytał, gdy Mania zjawiała się po chwili z tą samą książką w ręku. Słyszałam kilka ostatnich wierszy. Bardzo piękne.

- Nie zna pan? Niemożliwe. Ta książka była chyba w każdym dworku polskim...

I poczęła mówić z pamięci:

"Pod niegminną i niepodłą

Urodziliśmy się gwiazdą:

Herb Dęboróg nasze godło,  
Stary Poleś nasze gniazdo.  
Z dziadów, z ojców w naszym rodzie  
Szlachta drobna, lecz zasobna,  
Krzywo pisze, prosto orze..."

- Wiem już, wiem! "Urodzony" Jan Dęboróg. Zdaje się, że Kondratowicza, albo Syrokomli?

- Tak, albo raczej, obu tych panów w jednej osobie - odparła, śmiejąc się, ale bez cienia złośliwości. - Nic dziwnego, mógł pan zapomnieć. Czytywało się te rzeczy w szkolnych ławkach i rzadko kto do nich powraca. Poprostu czasu brak... A szkoda, bo są tu prawdziwe skarby poezji, a tak pełne prostoty... Ja osobiście przepadam za Dęborogiem. Nie dlatego, że "urodzony" ale, że mi tak bardzo przypomina dziecinne lata... W sąsiedztwie Markowa roiło się od takich Dęborogów. Nawet - nasz tatuś do końca życia "miał swoje uprzedzenia, miał swoje przywary. Naprzykład wierzył mocno w katechizm jedyny, że szlachcic stworzon z innej, a chłop z innej gliny"... Drogi, biedny mój tatuś. Zapłacił za te uprzedzenia drogo... Możeby żył w zdrowiu do dziś dnia, gdyby nie Michaś i nie utrata Markowa...

Potrząsnęła głową i rzekła już innym tonem:

- Ale ja tu plotę, a pan się pewnie śmiertelnie nudzi. Lepiej zaraz przygotuję herbatę. To tak zawsze ze mną, gdy zacznę czytać zadużo wierszy. Roi mi się po głowie Bóg wie co... W każdym słowie, w każdym opisie przyrody odnajduję wspomnienia z dzieciństwa. Zapominam, że tamto jest przeszłością umarłą, pogrzebaną i że należy znajdować piękno tu, gdzie żyję obecnie.

- Czyli w tych murach, w sąsiedztwie madame Ciszewskiej?

- No... choćby nawet. Piękno, tak samo jak szczęście, niema osobnego mieszkania. Człowiek nosi je w duszy swojej i dlatego może znaleźć je wszędzie, w każdej chwili i na każdym miejscu... Były takie dni, może miesiące, a nawet lata, że czułam się tu w mieście, jak w ciasnej klatce. Dusiałam się poprostu w tych murach. Proszę tylko pomyśleć: przywykłam do czystego, ożywczego powietrza, a tutaj mam dymy wszystkich fabryk i swąd ze wszystkich kuchen. Przywykłam do miękkich, piaszczystych drózek, a tutaj mam twarde chodniki; przywykłam do obszarów, nieogarnionych wzrokiem, - tu mam ciasnotę; gdziekolwiek się obrócę, kamienica na prawo, kamienica na lewo i kamienica nawprost. Gdzie niegdzie trochę drzewek zbiedzonych i nieszczęśliwych. Wreszcie - przywykłam do tej ciszy, do tej cudownej ciszy, w której każdy, najdalszy głos rozlega się echem - a tutaj? Stuk, brzęk, turkot od rana do wieczora i od wieczora do rana... Często własnego głosu nie słyhać, a cóż dopiero uderzeń serca! Więc mi było okropnie źle. Sądziłam, że się już nigdy nie przyzwyczaję. A jednak - przyzwyczaiłam się. Przywykłam do mojej pracy, do moich siedmiu godzin nad biurkiem - i do tego kąta, gdzie sobie mieszkamy we trójkę, gdzieśmy przeżyli z Wandzią i z Olkiem tyle dni smutnych i wesołych... Tu, w tym pokoju od czterech blisko lat codziennie sama przygotowywałam śniadanie dla moich malców. Cieszyłam się, gdy mieli apetyt i cieszyłam się, że mogę go zaspokoić. Cieszyłam się, widząc, jak oni rosną z dnia na dzień, jak męźnieją, jak się uczą i jak wreszcie - zaczynają pracować. A po całorocznej pracy mieliśmy zawsze wspaniałą nagrodę: cały miesiąc, spędzony razem na wsi. Nie w Markowie, ale zawsze - na wsi. Dwa lata temu wynajęłam na całe lato mały domek, właściwie chatę od gospodarza, blisko Warszawy. Gdy się skończył mój urlop, wracałam kolejką podmiejską na obiad... Popołudniu chodziliśmy codziennie do kąpieli, albo do lasu na grzyby, bo niedaleko był las. To nie był nasz las, to nie była nasza rzeka, ale woda miała tę samą świeżość, a grzyby i jeżyny ten sam smak... I odtąd jest mi trochę różniej, choć jeszcze oplakuję Markowo. Ale - w tym roku Wandzia pojedzie sama do wujostwa, Olek się pewnie wybierze na wycieczkę z kolegami, a ja - zostanę i będę siedziała całe lato w mieście, bo nie mogę brać bezpłatnego urlopu, a płatny już się skończy niedługo. Smutno, ale cóż robić... Niech tylko Wandzia nabierze sił i zdrowia przez te wakacje...

Nigdy jeszcze nie mówiła tak długo, z takim przejęciem. Tadeusz



przypatrywał się jej zdumiony. Czy to ta sama cicha, słodka Mania, trochę "ciapa", jak powiadał Olek? Wzrok jej się iskrzył, rumieńce wykwitły na policzkach. Nagle przeraziła się własnej gadatliwości: poczęła mrugać powiekami, jak ktoś nagle zbudzony ze snu, wstrząsnęła kilkakrotnie głową i wreszcie rzekła już zupełnie zwykłym tonem, tylko jakby nieco zawstydzona:

- No, i widzi pan, co ja wyrabiam! A to wszystko przez te książki. Czasem jedno zdanie wyczytane w pierwszej lepszej książce otwiera przedemną cały świat wspomnień, zaczynam marzyć, tracę poczucie rzeczywistości. Ot, i dziś... Jeden maleńki obrazek wywołał tyle myśli, a jeszcze więcej gadaniny. Chce pan posłuchać, który?

Chwyliła znowu swojego "Dęboroga" ze stołu i jęła szybko przerzucać kartki.

- O, widzi pan, to:

"Księżyc z za chmury przyświeca mgławo,  
Gdzieś tam ogniska błyszczą o milę,  
A tutaj sterczą w lewo i w prawo  
Drzew i chat wiejskich czarne profile.  
Droga znajoma - ach, i jak jeszcze!...  
Znam każdą trawkę w nocnej pomroce,  
Wiem, jak tutejsza olcha szeleszcze,  
Jak tu pod olchą strumień pluchoce..."

- To zupełnie, jakby się szło z Markowa do kościółka, przez wieś. Pamiętam, kiedyś, przechodząc tamtędy wieczorem, myślałam prawie temi słowami: Czarne profile chat... i drzewa takie znajome... Znam każdą trawkę przydrożną... Tam były także olchy, a pośród nich strumyk, zupełnie taki sam...

Pokręciła głową, jakby z podziwem i znowu zaczęła czytać:

"Tyle wspomnienia! Tu świat mój wszystek -  
Tu moje niebo było przed chwilą...  
A teraz, teraz..."

- A teraz to już naprawdę dosyć na dzisiaj! - rzekła nagle i zamknęła książkę. - Zaraz nakryję do podwieczorku, tylko jeszcze zajrzę, czy się Wandzia nie obudziła.

Wyszła z pokoju, a Tadeusz pomyślał:

- Skąd ja znam ten jej głos? Skąd ja pamiętam te wiersze? Bo przecież kiedyś, w takie same słoneczne popołudnie słuchałem ich, oparty... Ależ tak, naturalnie! Matka moja czytała tę książkę, a ja słuchałem, z głową opartą o jej kolana...

Rozdział Viii.Ñ

Wandzia pisze pamiętnik

9 sierpnia

Akurat miesiąc temu dostałam ten piękny zeszyt (nie powiem, od kogo) i przywiozłam go tutaj, do wujostwa Zdziśiów, do Latoszyna. Miałam zamiar zacząć pisać od pierwszego dnia, ale tak jakoś zeszło...

Właściwie dlaczego nie miałabym się przyznać, że ten zeszyt kupił i przyniósł na stację rotmistrz Tadeusz Halicki, nasz kuzyn. Naumyślnie podkreślam te dwa wyrazy, żeby Hania, Zosia i Stefcia nie pomyślały, gdy im po wakacjach pokażę pamiętnik, że rotmistrz Halicki jest jakimś obcym panem, od którego dostałam również duże pudło cukierków i mnóstwo innych rzeczy. Jak się pisze równierz, to dla mnie pozostanie chyba na całe życie nierozwiązaną zagadką. Może przez żet? Gdyby Mania była pod ręką, zapytałabym jej. Ale ta nieznośna Mania została w Warszawie i pisze do mnie stamtąd bardzo niemądre listy, żebym siedziała jak najwięcej na słońcu, jak najmniej biegała po bagnach, jak najwięcej utyla i żebym przyjechała dwa razy taka, jak pojechałam. Acha! Właśnie przypomniała mi się w tej chwili Sabina Kłusaczkówna, (co za nazwisko!) która waży sześćdziesiąt kilo, wysypia się na lekcjach i naturalnie została w trzeciej klasie.

A ja przeszłam do czwartej, razem z Zosią, Hanią i Stefcia, chociaż miałam szkarlatynę i straciłam prawie cały miesiąc lekcyj.

W tej chwili przypomniało mi się dopiero, że gdyśmy z wyżej wspomnianymi koleżankami (straszenie lubię ten zwrot, bo to zupełnie jak w prawdziwej książce) układały, jak pisać pamiętnik, tośmy się naradziły, żeby zacząć od początku i opisać całą naszą historję od urodzenia. A ja zapisałam już dwie strony gęstem piśmem i jeszcze daleko do początku... Właściwie wcale nie zaczynałam. Coprawda, to nie był mój pomysł, tylko Hania się uparła i naturalnie postawiła na swoim.

Według mnie, pamiętnik, to jakby powieść. A ja naprzykład najbardziej lubię powieści, które się zaczynają od środka, czyli od rozmowy kilku osób. To tak przyjemnie zgadywać kto jest kim i do kogo ten ktoś mówi. I zwykle wszystkie powieści dla dorosłych zaczynają się właśnie od środka, a w dziecinnych książkach, to zawsze: Była sobie dziewczynka, imieniem Helcia, mieszkała na wsi z rodzicami i trojgiem rodzeństwa: Kaziem, Stasiem i Zosią.

Jak przeczytam taki początek, to już tracę połowę ciekawości, bo zgóry wiem, kto jest ta dziewczynka, gdzie mieszka i że nie jest sama jedna, tylko ma aż dwóch braci i siostrę.

Dlatego miałam okropną ochotę i mój pamiętnik zacząć trochę inaczej, ale niech już będzie tak, jak sobie życzy Hania. Wolę jej ustąpić, bo znam jedno przysłowie, które się zaczyna od "mądry" a kończy na "ustępuje". Reszty nie powiem, bo się Hania gotowa obrazić, co zresztą już nieraz robiła, tylko ustnie. Ale ciekawam, jak ona się obrazi na pamiętnik? Bo przecież pamiętnik jest tajemnicą - i jeśli nawet go komu pokażę, to pod wielkim sekretem, więc nie będzie się mógł przyznać, że wie.

Więc zaczynam od początku. Nazywam się Wanda Lipska, skończyłam trzy tygodnie temu czternaście lat i jestem uczennicą czwartej klasy, pomimo szkarlatyny! Niech sobie o tem pomyśli panna Kłusaczkówna, która wcale nie przechodziła szkarlatyny, a została na drugi rok!

Jestem średniego wzrostu i to od niedawna, bo właśnie dzięki tej szkarlatynie. Mania powiada, że urosłam chyba z pół łokcia i musiała mi poprzedłużać letnie sukienki, ale mierzyłam się na drzwiach i okazało się, że "pół łokcia", to zaledwie trzy centymetry.

Włosy mam długie i jeszcze zupełnie jasne (pewnie ściemnieją, tak jak Mani) i narazie zaplatam je w warkocze. O moim wyglądzie trudno mi sądzić. Kiedyś w teatrze usłyszałam, jak jedna pani powiedziała do jednego pana, pokazując oczami na mnie: "Popatrz, jakie ta milutka blondyneczka ma śliczne włosy!" "Milutka blondyneczka" to może nie znaczy "ładna", ale i nie "szkaradna", jak sądzę. Mam sobie oczy ani szare ani niebieskie, usta chyba nie za duże, chociaż pamiętam, że jak dawniej płakałam, to Olek mówił: (wcale nie uprzejmie) "Zamknij tę japę, bo ci wrona wleci do gardła". No, ale Olek! Za to wiem, że mam ładne nogi. Ani za cienkie, ani za grube, tylko trochę za długie, ale z tego zapewne wyrosnę. Olek, naturalnie, powiada, że nie rozumie, jak ja chodzę na takich szczudłach. Prawdę powiedziawszy, to on sam ma jeszcze gorsze szczudła tylko w długich spodniach, więc mu nikt nie wymawia. Och, co jabym dała za to, żeby być chłopcem!!! Ale znowu odeszłam od opowiadania o sobie, czyli o swoich dziecinnych latach.

Zacznę więc od samego urodzenia, niech się Hania cieszy. Urodziłam się, naturalnie, w Markowie, tak samo jak Michaś, Mania i Olek. Tylko Michaś już nie żyje. Markowo, to był nasz majątek, właściwie tatusia...

10 sierpnia

Wczoraj nie mogłam nawet zdania dokończyć, bo ten nieznośny Zbyszek rzucił we mnie jabłkiem przez okno. Trafiał mnie w rękę i z tego pochodzi na zeszycie szkaradny kleks, za który ładna burę otrzymałabym w trzeciej klasie od panny Fijałkowskiej!

Naturalnie trudno pisać poważny pamiętnik w takich warunkach, gdy się jest narażonym na bombardowanie jabłkami w swoim własnym pokoju!!!

Wybiegłam do ogrodu czempredzej, aby przyłapać Zbycha i porządnie

wytarosić mu czuprynę za karę, (on niecierpi, jak go ciągnąć za włosy) ale go nie mogłam nigdzie znaleźć, choć szukałam dobre pół godziny. Za to znalazłam nareszcie w ogrodzie to gniazdko mysikrólików, o którym opowiadał pszczelarz. Było puste, widocznie dwanaście piskląt już wyfrunęło, o ile ich nie zjadł przypadkiem kot gospodyni.

Szukałam jeszcze Zbyszka nad stawem i w stajni, ale przepadł jak kamień w wodzie, a tymczasem zaczęli dzwonić na podwieczorek. No i musiałam wrócić z niczem, bo ciocia Jadwisia nie lubi, jak się spóźniamy i zawsze robi o to wymówki, nawet wujaszкови.

- Sam żadałeś - powiada - aby jedzenie podawano punktualnie, a potem trzeba czekać na ciebie!

Gdy weszłam do jadalni, wszyscy już siedzieli przy stole, brakowało właśnie tylko cioci. Wujaszek Zdziś śmiał się i żartował i powiedział, że zaprowadzi puszkę od kar za spóźnianie. Każdy będzie rzucał do niej "pchełki" w innym kolorze: on zielone, ciocia Jadwisia żółte, Zbych czerwone, a ja niebieskie i po tygodniu zobaczymy, czyich będzie najwięcej. Panna Kamilla i praktykant nie potrzebują nic rzucać, bo oni zawsze przychodzą aż za wcześnie, zwłaszcza praktykant, pan Władysław, ogromnie śpieszy się z pola.

No, i nie mogłam zrobić Zbyszkowi awantury przy wszystkich za to jabłko, a on najwidoczniej był z tego uszczęśliwiony i wyrabiał różne głupie miny. Udawałam, że tego nie widzę i wcale na niego nie patrzę, a on naumyślnie był strasznie uprzejmy, ciągle podsuwał mi to ser, to konfitury i wreszcie zapytał bardzo słodko:

- Cóż to, panna Wanda dziś jakoś nie w humorze?

Nie mogłam wytrzymać i za plecami panny Kamilli pokazałam mu język. A to obrzydłe chłopaczysko powiada na cały głos:

- Chwała Bogu, czerwony.

- Kto czerwony? Co czerwony? - spytała ciocia Jadwisia, która właśnie weszła do jadalni.

Czułam, że sama zrobiłam się, jak pomidor, ze wstydu i ze złości, a tymczasem Zbyszek w jednej chwili wypalił:

- Krawat pana Władysława czerwony, proszę mamci. Bośmy już dawniej zauważyli, że jak pan Władysław włoży brązowy krawat, to będzie deszcz, a jak czerwony, to - murowana pogoda.

Teraz znowu praktykant zrobił się czerwony, jak rak ugotowany i niewiadomo czemu - panna Kamilla także. Ciocia Jadwisia pokazała Zbyszkowi "duże oczy", a wujaszek zakrztusił się bułką i zaraz zaczął mówić ogromnie wesoło:

- Ho ho! Trzeba nam jeszcze ze dwa tygodnie pogody, bo inaczej z tym owsem byłaby bieda. Prawda, panie Władysławie?

Swoją drogą muszę przyznać, że Zbyszek ładnie postąpił za mój język i postanowiłam darować mu to jabłko, a nawet kleks na pamiętniku.

11 sierpnia

Czuję, że Hania okropnie skrytykuje mój pamiętnik, bo odtąd ani rusz nie mogę się wygrzebać z tych lat dziecinnych. I nawet niebardzo wiem, co pisać. Urodziłam się w Markowie, no - i mieszkałam w Markowie do dziewiątego roku życia. Ale właściwie najciekawsze historie mogłabym zapisać poczynszy od naszego zamieszkania w mieście. Markowo jest cudowne i strasznie kochane i nigdy, choćbym żyła sto dwadzieścia lat, nie zapomnę naszego domku i ogrodu i pól i lasu i rzeczki i wszystkiego. Ale w Markowie nie działo się nic nadzwyczajnego... Tylko mój brat broił, ile wlezie. Więc może mam opisywać, jak Olek dokazywał, zanim go oddali do szkoły?

Eh, ani myślę. Wolę już narazić się Hani i zacząć od późniejszych czasów; inaczej czuję, że nigdy nie dojdę do najważniejszego wydarzenia, czyli do dnia, kiedy dostałam szkarlatyny. Dwudziesty drugi maja, a właściwie dwudziesty trzeci (choć zachorowałam w niedzielę, 22-go, w sam dzień imienin Mamusi) to był zdaje się ten punkt kolumnacyjny.

Sądzę, że Hania, a nawet Zosia i Stefcia wiedza, co to oznacza. W naszym

wieku i jak się przeszło do czwartej klasy, trzeba już rozumieć słowa, których używają ludzie dorośli.

Otóż w maju - nie, właściwie jeszcze wcześniej, w początkach kwietnia, miałam nadzwyczajną przygodę: spotkałam przypadkiem na ulicy pana Tadeusza Halickiego, który był kiedyś korepetytorem Olka w Markowie, a teraz jest wojskowym i do tego rotmistrzem ułanów! Przedstawiłam mu się sama (za co oberwałam porządną burę od Mani) ale wcale nie żałuję, że się tak stało (naturalnie, myślę nie o burze, tylko o tem spotkaniu) bo później rotmistrz przyszedł do nas z depozytem dla Mani i z wizytą. A gdy dostałam szkarlatyny, przychodził chyba najczęściej, jak można, to znaczy codziennie.

I dlatego teraz wydaje mi się, że szkarlatyna jest najprzyjemniejszą chorobą, jaką wymyślili doktorzy. Szczególniej, gdy się już nie ma gorączki i wolno jeść różne dobre rzeczy, słuchać głośnego czytania, rozmawiać i nawet - trochę kaprysić.

Ogromnie żałuję, że wyzdrowiałam już po skończeniu lekcji i nie mogłam opowiedzieć moim koleżankom wielu nadzwyczajnych rzeczy. Zosia, która w zimie przechodziła odrę i Hania ze swoim zapaleniem ślepej kiszki nie mogłyby się już tak pysznić. Opuściły coprawda więcej lekcji ode mnie, ale czy można porównać odrę ze szkarlatyną? Na odrę chorują wszystkie dzieci, a z szkarlatyny się często umiera. A Hani nawet nie zrobili operacji, bo zupełnie wyzdrowiała z samego strachu.

Opowiem później, jak to było z moją chorobą. Teraz muszę już kończyć, bo słyszę przez okno, że Zbyszek kazał założyć do linijki. Gotów pojechać bezemnie, a obiecał...

Dziś rano pokłóciliśmy się porządnie o to, czy kasztan ma białą półkoszkie na lewej przedniej nodze i na prawej tylnej, czy też odwrotnie. Ja twierdziłam, że na pewno na lewej przedniej. No i Zbyszek musiał opuścić nos na kwintę, bo jakeśmy poszli do stajni, okazało się, kto ma lepszą pamięć. Na przeprosiny zaproponował linijkę. O, już turkocze! Biegnę...

12 sierpnia

Dostałam znowu dużą pocztę dziś rano: dwa listy od koleżanek (Stefcia nie pojechała nad morze, widocznie sklep jej tatusia znów gorzej idzie) jeden od Mani i... kartkę od rotmistrza.

Nie posiadam się ze złości, chociaż właściwie powinnam się cieszyć, że pan Tadeusz Halicki raczy o mnie pamiętać. Ale on mię traktuje, jak małą dziewczynkę! Na pierwszej kartce był ogrodniczek z polewaczką, a teraz znowu małe bobo, karmiące kurczęta. Żebym miała siedm, ośm, no... dziesięć lat; może stosowne byłyby takie obrazki. I ten styl! "Kiedy przymknę oczy i pomyślę o pewnej miłej Wandzi, widzę taką scenę, jak na pocztówce... Pewnie dziecko jest grzeczne, opaliło się, jak cyganiatko i nabrało sił do nauki. Niech przyjedzie zdrowe jak rybka, a przedtem napisze do swego starego przyjaciela - T. H."

A właśnie, że nie napiszę. Nic nie napiszę. Niech sobie nie wyobraża, że mię obchodzą jego dziecinne pocztówki!

Mania, po zwykłej porcji rad i morałów, (naturalnie!) donosi, że była w teatrze na bardzo ładnej sztuce. To już drugi raz w ciągu tygodnia. A w niedzielę pojechała do Wilanowa. Także z kuzynem Halickim. Widocznie mają bardzo dużo czasu...

Ale co ja plotę! Jestem ohydą egoistką. Zamiast się cieszyć, że ta kochana, biedna Mania, która cały rok pracuje na nas, ma czasem rozrywkę - zaczynam się irytować...

Tego wszystkiego narobiła Zosia swoim głupim listem. Pisze - że pisze już pamiętnik, ale namyśla się, czy go nam po wakacjach pokaże, bo się zakochała zupełnie serjo i na śmierć w koledze swego brata, który przyjechał do nich na wakacje.

Ta Zosia! Nawet nie jestem ciekawa, co ona pisze w tym pamiętniku, ale jeżeli tak - to ja też ani myślę czytać swojego nikomu. Chyba Stefci, bo co

do Hani, to po pierwsze - ona zawsze udaje, że jest najmądrzejsza i zupełnie dorosła, po drugie - zawsze krytykuje, a po trzecie - nie napisała do mnie jeszcze ani razu od początku wakacyj.

Niemądre te dziewczynki. Gdyby one wiedziały, co ja wiem! Wcale mi nie imponuje ten kolega brata Zosi, bo to pewnie takie same chłopaczysko, jak Zbych, co ledwie-ledwie do szóstej klasy przelazł (choć ma blisko siedemnaście lat!) i musi zdawać po wakacjach poprawkę z matematyki. Wcale mi to nie imponuje, bo ja się także k... - ale w kim! Nie, tego nie powiem nikomu na świecie. Nawet Mani.

Zrozumiałam to dopiero dziś rano, po otrzymaniu poczty. Ach, jakie to bolesne, gdy osoba, którą się k... traktuje nas pogardliwie... Może nie pogardliwie, ale jak smarkatę. A ja czuję, że przez ten rok, właściwie od maja... nie, od kwietnia - zmieniłam się ogromnie. Och, czuję, że ten pamiętnik będzie moim jedynym przyjacielem, któremu się przyznam do okropnej rzeczy: jestem bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwa. Tylko niestety mam taką wstrętą naturę, że naprzykład śmieję się z byle czego i wtedy zupełnie zapominam o moim smutku i że w mojej duszy toczy się... walka!

16 sierpnia

Wczoraj, w dniu Matki Boskiej, pojeżdżało się mnóstwo osób z sąsiedztwa. Ponieważ popołudniu lunał deszcz, a ja niebardzo lubię gości, więc poszłam pisać pamiętnik. Tymczasem - zaczęłam rysować swoje "gargule" (jak powiada Olek) i ani się opatrzyłam, aż tu dzwonią na kolację.

Niedobrze wiem, co to znaczy: gargule i Olek też pewno niebardzo, bo jak go przycisnę, to się wykręca i powiada, że osoby w moim wieku tego wiedzieć nie mogą... Oho, on zawsze tak mówi, jak czegoś nie potrafi wytłumaczyć. A te "gargule" - to sama nie wiem, skąd mi się biorą.

Czasem, jak zobaczę kawałek czystego papieru i ołówek, - zaczynam tak, bez żadnej myśli rysować esy floreesy. A z tych esów floreesów robią się właśnie gargule, bardzo zabawne. Jedna ma głowę na cienkich nóżkach, inna całe mnóstwo rąk, a jeszcze inna tylko jedno oko pośrodku czoła, ale za to wielkie i patrzy niem tak groźnie, że sama się boję.

I już jak zaczęłam rysować - przepadło. Kilka razy przez te "gargule" zapomniałam odrobić lekcje i Mania powiedziała, że chyba pochowa przede mną papier i kredki.

Otóż wczoraj rysowałam i rysowałam i znowu nie napisałam nic w pamiętniku, a dziś, przed obiadem wpada do mego pokoju Zbyszek i mówi:

- Chcesz zobaczyć coś bardzo ciekawego?

- Naturalnie, że chcę.

- To idź zaraz - powiada mi - przez małą furtkę, aż pod starą lodownię. Tylko podchodź bardzo ostrożnie, a jak wrócisz, to mi opowiesz, co widziałas, dobrze?

No i poszłam. Skradałam się jak kot między krzakami ligustrum, bo myślałam, że jaki ptak, albo może nawet - lis? A tymczasem - słyszę przyciszoną rozmowę. Wysunęłam trochę głowę z za krzaka i co widzę? Stoi pan Władysław a obok niego panna Kamilla, gospodyni. To mi dopiero ciekawe! Głupi ten Zbych...

Już się miałam zawrócić na pięcie, aż tu nagle słyszę coś takiego, że przykucnęłam zupełnie pod krzakiem:

- To tak! - powiada panna Kamilla. (Dopiero teraz spostrzegłam, że ma okropnie śmieszny, czerwony nos.) - To to tak? Będziesz ty widział te kurczęta z sałata, te salcesony, te... A jak jeszcze raz ją spotkam blisko oficyny, to zobaczysz! Oczy szelmie wydrapię! Już ty się nie bój, ja potrafię wam takie piekło urządzić, że popamiętasz... Choćby na własne nieszczęście, na wstyd, a panu powiem. I pani. Całemu światu rozgłoszę!...

Na to pan Władysław chrząknął i odezwał się krótko, ale za to bardzo niegrzecznie:

- Głupiasz, jak but, moja Kamilciu. W twoim wieku zdałoby się trochę rozumu.

Wtedy zaczęła wykrzykiwać głośno i bardzo piskliwie:

- W moim wieku? W jakim wieku? To ty mi teraz wiek wymawiasz?

Ktoś nadchodził od strony czworaków, więc umilkli oboje, a ja cicho wymknęłam się i uciekłam.

Przyznam się, że zgłupiałam. Jakie kurczęta, jakie salcesony? Komu panna Kamilla chce oczy wydrapać? I jeszcze - mówią do siebie "ty"!!!

Przy obiedzie naumyślnie uważałam na każde słowo, ale nic. Gospodyni milczała jak zaklęta, (nos tylko miała jeszcze trochę zaczerwieniony) a pan Władysław patrzył w talerz i jadł jak zwykle bardzo brzydko, ale za to bardzo dużo. Dopiero pod koniec obiadu panna Kamilla powiada bardzo słodziutko do Marcysi:

- Panu praktykantowi kawy nie podawaj, bo już dzwonili i pan praktykant musi w pole...

A Zbyszek zaraz łypnął oczami w moją stronę i uśmiechnął się. Idjota.

Po obiedzie naumyślnie wymknęłam się cichaczem, żeby do mnie nie zagadywał. Poszłam na renklody do sadu. Ale ten Zbych dogonił mnie i zaraz zapytał:

- No i co? Byłaś?

- Gdzie?

- Koło starej lodowni.

- Byłam.

- No i co?

- No i nic.

- Jak to? Nic nie spostrzegłaś?

- Owszem.

Pochylił się ku mnie z ogromnym zaciekawieniem.

- Więc cóż spostrzegłaś?

- Że mię chciałeś wziąć na kawał, ale ze mną nie radzę zaczynać takich żartów - odparłam i odeszłam z wielką godnością.

19 sierpnia

Trzeci dzień nie rozmawiam ze Zbyszkiem. On się trochę obraził o tę lodownię, bo widocznie był pewny, że mu opowiem jakieś nadzwyczajne rzeczy. A ja znowu jestem na niego zła. Nie rozumiem, co znaczy ta rozmowa, którą podsłuchałam przypadkiem, a niecierpię, gdy czegoś nie rozumiem, co widocznie inni ludzie wiedzą doskonale, albo się zaraz domyślają.

Niech się Zbyszek daś. Ja potrafię jeszcze dłużej. Zobaczymy, kto kogo przetrzyma. Wzięłam się do roboty (haftuję poduszkę dla Mani, bo przecież za trzy tygodnie jej imieniny) i całe popołudnie przesiaduję z ciocią Jadwisia. Zdziwiło ją to z początku, bo zapytała:

- Cóż to, pogniewaliście się ze Zbyszkiem?

- E, nie, proszę cioci...

- O co wam poszło?

- Et, o nic, proszę cioci. Tylko ten Zbyszek, to zawsze...

No i ciocia jakoś przestała pytać. Za to bardzo często wypytuje teraz o Manię: a czy bardzo zapracowana, a czy jej to zajęcie na poczcie nie męczy, a kto u nas bywa...

Kiedy chodzi o Manię, mogę opowiadać bez końca. Opowiadałam więc cioci, jaka ona strasznie kochana i dobra, jak mię pielęgnowała w chorobie i - ni stąd ni zowąd wypsnęło mi się... o kim? No naturalnie o r. T.H.

(Przysięgłam sobie, że nie będę wypisywała tego nazwiska, chyba pierwsze litery. Jeżeli już stało się nieszczęście, że się w nim k... to niech przynajmniej nikt nie wie, o kim myślę.)

Ledwie wymówiłam to nazwisko, ciocia Jadwisia odłożyła robotę, spojrziała na mnie bardzo uważnie i zapytała:

- Któż to taki?

Opowiedziałam wszystko, pokolei. O tem spotkaniu na ulicy, o tem, jak przyszedł pierwszy raz i że przyniósł depozyt dla Mani i że dostał spadek po panie Leokadji i że przychodził do nas, jak miałam szkarlatynę. Czuję

przytem, że jestem czerwona - już nie jak burak, ale jak nie wiem co. To moje okropne nieszczęście! Nie mogę nic poradzić, a najgorzej, że jak raz zacznę się czerwienić, to potem z każdą chwilą gorzej i gorzej. I plątałam się w tem opowiadaniu i ciągle zerkałam na ciocię Jadwisię: widzi, czy nie widzi?

Raptem ciocia przerywa mi:

- Więc ten pan często u was bywa?

- O, tak, dość często... Właściwie codziennie. Jak tylko dostałam tej szkarlatyny...

Na szczęście przyszło mi do głowy dodać czempredzej:

- Ale i teraz przychodzi także! Był z Manią kilka razy w teatrze i raz w Wilanowie... On bardzo lubi Manię...

- Spodziewam się, - rzekła ciocia, a ja do tej chwili nie mogę się połapać, czy ona to powiedziała przez żarty, czy zupełnie poważnie. Bo czemu uśmiechnęła się tak dziwnie?

21 sierpnia

Od dziś za tydzień wyjeżdżam z Latoszyna. I smutno mi - i trochę się cieszę. Bardzo lubię Latoszyn, chociaż, naturalnie, wołałam sto razy Markowo. Tutaj jest zawsze trochę... jakby to powiedzieć? Ot, jak w niedzielnym ubraniu, co to trzeba uważać, żeby go nie zaplamić, albo nie podrzeć. W markowskim domu było wszystkiego dziewięć pokoi, a tu jest dziewiętnaście. Nawet nie wiem, co wujostwo robią z takim mieszkaniem w zimie, kiedy niema nikogo, nawet Zbyszka. Panna Kamilla mieszka na górze, ciocia z wujem na dole, a praktykant w oficynie. Brr... Jak tu musi być zimno i ciemno w tych trzech salonach i w jadalni, gdzie są takie ponure ściany z czarnego dębu! Latem - to jeszcze! Przez okno wpada bardzo przyjemne, zielone światło od liści, co się prawie wciskają do okien, - i jest przyjemny chłód. Ale w zimie!!!... Jak zamknę oczy, doskonale wyobrażam sobie wszystkie meble, stojące równiutko pod ścianami. Nikt ich nie potraça, bo przecież wujostwo nie gonia się ze sobą, jak ja ze Zbychem. No, teraz to i my się nie gonimy, chociaż widzę, że Zbyszek ma okropną ochotę pogodzić się ze mną. Oho! Niech trochę poczeka!

Miałam znowu list od Mani, a nareszcie i kochana Haneczka raczyła się odezwać. Mania pisze, że jest zdrowa, tylko się trochę przeziębila na statku i dostała kataru. Mania na statku? Co ona znowu tam robiła? Aha, pewno nie była sama, tylko znowu z...

Dziś rano, przeglądając pocztę, zobaczyłam list do cioci Jadwisi, adresowany ręką Mani. Przy obiedzie ciocia powiedziała mi, że Mania prosi, abym wróciła w ostatnich dniach sierpnia i pyta, czy Zbyszek by mię nie odwiózł, bo on też jedzie do Warszawy.

- Cóż ty na to? - spytała ciocia i widziałam doskonale, te oboje z wujaszkiem uśmiechnęli się, a ten nieznośny chłopiec powiedział bardzo grubym głosem:

- Pewnie panna Wanda, jako samodzielna osoba, wzgardzi mojem skromnem towarzystwem?

Śmieszna ta Mania. Czy ja jestem małe dziecko, żeby mię trzeba było odwozić - i jeszcze kto? Zbyszek, który sam chodzi do szkoły!

25 sierpnia

Zapisałam takie mnóstwo stron i jeszcze właściwie nie zaczęłam pamiętnika. Jeśli tak pójdzie dalej, to kiedy ja dojadę do szkarlatyny i opiszę pokolei każdy dzień, gdy ktoś przynosił kwiatki, zabawki, (naturalnie, jak grzecznej dziewczynce) i przesiadywał przy mojem łóżku, no, nie powiem całe dnie, ale długie godziny.

Ach, co to były za nadzwyczajne czasy! Wścieknie się Hania, do której przychodziły koleżanki, i nie potrzebowały się bać, bo ślepa kiszka nie

jest zaraźliwa. A do mnie nikt nie przychodził, oprócz jednej osoby, która się niczego nie boi - i ta osoba nie jest żadną koleżanką, tylko prawdziwym wojskowym!

Ale teraz nie będę o tem pisać. I tak nie zdążyłabym. Za trzy dni wyjeżdżam - niestety, pewno ze Zbyszkiem. Jeśli on myśli, że w wagonie powiem do niego chociaż jedno słowo - z nudów - to się grubo myli. Właśnie będę milczała przez całą drogę. Wezmę ze sobą książkę i koszyczek jabłek - to mi chyba wystarczy na tych kilka godzin.

26 sierpnia

Wczoraj znowu nie mogłam pisać dłużej, bo w domu wybuchła awantura. Zresztą - wszyscy się tego spodziewali! Przy podwieczorku wujaszek Zdziś odezwał się do Zbyszka:

- Bądź łaskaw przyjsć do mego gabinetu o szóstej. Mam z tobą do pomówienia.

Oho! Już my dobrze wiemy, co to znaczy, jak wujaszek ma "do pomówienia" ze Zbyszkiem. Poszłam naumyślnie do czerwonego saloniku, ale tam są takie grube portjery, że słyszałam tylko, jak mówili bardzo głośno. Potem drzwi się otworzyły raptownie - wypadł z nich Zbyszek z bardzo głupią miną. A biegł tak prędko, że nawet mnie nie zauważył.

Poleciałam za nim do ogrodu, ale zdaleka, żeby sobie nie pomyślał, że chcę z nim rozmawiać.

Zatrzymał się nad stawem i długo chodził po brzegu. A potem zaczął rzucać do wody płaskie kamyki, czyli "kaczki".

Zawsze mu zazdroścę, jak on ślicznie rzuca te "kaczki"! Odbijają się najmniej siedm, ośm czasem i piętnaście razy - a mój kamyk jak trzy razy od wody, odskoczy, to już jestem zadowolona.

Taka mię ochota wzięła na te "kaczki", że sama nie wiem, kiedy i jak rzuciłam także kamyk. Nie był dosyć płaski i chlupnął ciężko do wody, ale Zbyszek odwrócił się, zobaczył mnie i rzekł:

- Wiesz? Miałem przeprowadę z ojcem.

- Phi! Nie pierwszy raz...

Ale Zbych się odrazu zaperzył:

- Wiecznie to samo! Czego oni chcą ode mnie? Wielka rzecz, jeśli nawet nie zdam poprawki! A choćbym i szkoły nie skończył! Przecież i tak żadnym uczonym nie zostanę, ani adwokatem, ani doktorem - tylko będę gospodarował w Latoszynie... Daliby mi raz spokój z temi morałami...

Milczałam, chociaż mogłam mu wypalić bardzo długie kazanie, że do gospodarstwa też się trzeba przedtem dużo uczyć. Ale niech sobie nie wyobraża, że mam ochotę z nim gadać. A on powiada nagle:

- Wandziu?

- Co?

- Gniewasz się jeszcze na mnie?

Nic nie odpowiedziałam.

- Bo widzisz - zaczął Zbyszek po chwili głosem pokornym - z tą lodownią to było rzeczywiście głupio... I niepotrzebnie wypytywałem później... I ty byłaś mądrzejsza... więc... więc... przepraszam cię!

A, jak tak, to co innego. Rzuciłam mu się na szyję i uściskaliśmy się serdecznie, a Zbyszek zaraz nabrał humoru:

- Co tam poprawka! Co tam szkoła! Głupstwo! A jak dorosnę, to i tak się ożenię i będę gospodarował...

- Oho! I z kim to się myślisz ożenić?

A on bez namysłu odpowiada:

- Z tobą.

No - zbaraniałam. A to dopiero! Patrzcie państwo! I zaraz: "ożenię się". Nawet nie spyta, czy ja sobie tego życzę... Zrobiłam surową minę i mówię:

- Możesz sobie szukać kogo innego, bo ja nie myślę wychodzić za męża, a tem bardziej za ciebie...

- Czemuż to taka niełaska, specjalnie dla mnie?



- Żadna niełaska, tylko nie - i już.
- Et, bo jesteś jeszcze smyk. Jak trochę podrośniesz, to zobaczysz, że zmienisz zdanie. Nawet się we mnie zakochasz, niech tylko zechcę.
- Nieprawda! Nieprawda! Nigdy się w tobie nie zakocham!
- O, jak się zaraz zarzeka! I czemu, jeśli łaska?
- Bo...

O mały włos nie powiedziałam: "Bo się już k..." ale ugryzłam się w język.

- Bo co "bo"? - nalegał Zbyszek.
- Ech, nie nudź! Ledwieśmy się pogodzili, a ty znowu zaczynasz!
- Przepraszam, to ty zaczęłaś; poco przyszłaś nad staw? - odrzekł obrażony.
- Przyszłam, bo mi się podobało. Czy mi zabronisz chodzić po ogrodzie? Ale wcale nie szukałam ciebie. I... możemy z sobą nie rozmawiać.
- Sama na tem stracisz. Właśnie ci chciałem pokazać coś ciekawego...
- Pewnie znowu pannę Kamillę i praktykanta! - zawołałam. - Dziękuję ci...
- Aha! Więc jednak wtedy, koło lodowni, widziałaś...

I zaczął się śmiać... Ruszyłam ramionami i odeszłam z pogardą. Naprawdę - nieznośny ten Zbyszek! A jednak nie mogę powiedzieć, że bym była na niego bardzo zła... Ciekawam, co powie Zosia, gdy jej oznajmię... Właściwie, to Zbych mi się oświadczył. Niestety, biedny chłopiec... Musiałam mu dać "kosza" bo się przecież k... w r.T.H.

Nie! Zosia i Hania pękna chyba z zazdrości!

28 sierpnia

Jutro jadę. Naturalnie - ze Zbyszkciem. Pogodziliśmy się, a on obiecał, że mi w drodze opowie jakieś nadzwyczajne rzeczy.

Dziś obleciałam cały park i podwórze. Byłam nawet w lesie. A po obiedzie zaniósłam koniom cukier do stajni. Panna Kamilla ma dzisiaj znowu strasznie czerwony nos i widziałam na własne oczy, jak popłakiwała, pakując suszone gruszki, które mam zabrać do Warszawy. Ciekawam, czy ją tak wzrusza, że wyjeżdżamy, czy też znowu pokłóciła się z praktykantem o jakieś salcesony?

Ciocia Jadwisia powiedziała do mnie dziś rano:

- Nie zapomnij oddać Mani tego listu, uściskaj ją serdecznie ode mnie i powiedz, że pragnęłabym jak najprędzej otrzymać od niej zaproszenie...

Zaproszenie? Ciocia Jadwisia? Mania ma zaprosić ciocię do nas? Co to znowu takiego?

Jakie oni mają dziwne zwyczaje, ci dorośli! Czasem mi się wydaje, że porozumiewają się jakimiś znakami, których ja nawet nie mogę zauważyć.

29 sierpnia

Zbych wyszedł na stację przynieść dla mnie herbaty, bo już jesteśmy w Radomiu. Korzystam z tego i piszę parę słów w pamiętniku.

Dowiedziałam się rzeczywiście nadzwyczajnej rzeczy: że panna Kamilla i praktykant się kochali, a teraz znowu praktykant zdradza pannę Kamillę z Marcysią. Zbych przysięga, że to prawda, bo sam podpatrzył... Ciekawam, jak to można podpatrzeć, że ktoś kogoś kocha, albo go zdradza! A w takim razie, jeśliby kto podpatrzył, że ja się k..... w r. T.H.?...

O, Zbyszek idzie z herbatą! Trzeba kończyć. Tak się cieszę, że już niedługo zobaczę moją najdroższą Manię!

15 września

Przeszło dwa tygodnie ani zajrzałam do pamiętnika, a przez ten czas stało się tyle rzeczy, że doprawdy nie wiem, od czego zacząć...

Zacznę chyba od powrotu do Warszawy. Przyjechaliśmy o czwartej po

południu. Mania, naturalnie, była na stacji, a także pewna osoba, która przyniosła mi pudełko cukierków. Zbych zrobił wielkie oczy, prawie tak, jak ciocia Jadwisia i widziałam, że był zdumiony i zaraz nabrał szacunku dla mnie. Na samym wstępie Mania krzyknęła:

- Boże, jak to dziecko wyrosło!

...E, nie chce mi się opowiadać wszystkiego pokolei, bo to bardzo nudno i nigdy nie zdążę napisać najważniejszych rzeczy. Szkarlatyna - to teraz nic w porównaniu do tego, co się stało. A stało się - że nietylko jestem w czwartej klasie, jak Zosia i Hania, (Stefci rodzice pewnie się przeniosą do innego miasta i nie będzie chodziła z nami do szkoły) ale mam serce złamane!!!

Tak, niestety... To okropna prawda. Już teraz wiem na pewno i potrosze zaczynam godzić się z losem!!!

Dopisek: Przychodzi mi na myśl, że jednak pokażę Hani i Zosi niektóre ustępy z pamiętnika, naturalnie tylko te, gdzie r. T.H. nie jest wymieniony po nazwisku. Niech wiedzą, że ja noszę w sercu daleko cięższe rany, niż naprzykład Zosia, która nawet pisuje do kolegi brata i dostaje od niego listy.

A ta wiadomość o r. T.H. i Mani spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Z początku niczego się nie domyślałam. Mania chodziła, jak zawsze, do biura (Olek jeszcze nie wrócił od kolegi, bo jego kursy rozpoczynają się dopiero w październiku), ja zaczęłam chodzić do szkoły, a r. T.H. przychodził do nas codziennie około piątej i zwykle zostawał na cały wieczór. Rozmawialiśmy, opowiadałam o Latoszynie, a on opowiadał mnóstwo bardzo zabawnych historyj ze swoich szkolnych czasów i z wojska. Taki jest teraz wesoły - jeszcze miłszy, niż dawniej! Jak zaczniesz mówić, to niby poważnie, a wkońcu zaśmiewamy się obie z Manią.

Aha, prawda - zauważyłam od razu, że Mania jest bardzo wesoła, chociaż okropnie schudła przez lato. Powiada, że to te upały tak ją zmęczyły. (Właśnie, upały!) Dwa razy byliśmy w kinie, ale tylko raz siedziałam pomiędzy Manią a r...

Po podwieczorku musiałam brać się do lekcji. Strach, co w tej czwartej klasie zadają! Szczególnie profesor od algebry. (Nie pamiętam jego nazwiska, bo to nowy) więc wynosiłam się do naszej sypialni, a oni rozmawiali ze sobą półgłosem, żeby mi nie przeszkadzać. Czasem słyszałam wszystko, a czasem zaczynali szeptać. I wtedy po raz pierwszy zaczęłam podejrzewać, że oni mają przede mną jakieś sekrety.

Dopiero tydzień temu, w same imieniny Mani, dowiedziałam się wreszcie... I to z jej własnych ust...

A było tak: R. T.H. przyszedł o czwartej z takim wielkim bukietem, że ledwie zmieścił się we drzwiach. Słyszałam potem, jak Ciszewska mówiła do Franusi, że to grzech i rozpusta i obraza Boska, bo te kwiaty kosztują pewnie z pięćdziesiąt złotych i że onaby się wstydziła przyjmować takie prezenty. (Wstrętna baba! Na pewno skakałaby z radości, żeby to było dla niej!)

Niestety - i tego dnia musiałam się uczyć, ale odmieniałam tylko werby francuskie, więc od czasu do czasu wpadłoby mi w ucho coś z rozmowy, ale jak na złość zaczęli szeptać jeszcze ciszej, niż zwykle. Dopiero raptem słyszę, jak Mania się odzywa:...tego ode mnie żądać nie możesz! Zajęcia nie rzucę, póki Wandzia chodzi do szkoły. Potem, zobaczymy... Niech mam przynajmniej satysfakcję, że wypełniłam chociaż ten obowiązek do końca...

Pan T.H. coś jej tłumaczył bardzo gwałtownie, ale tak cicho, że nie mogłam uchwycić ani sylaby. Aż mi puls bił w policzkach z ciekawości.

Aż tu Mania znów się odzywa wyraźniejszym szeptem:

- Ale Wandzia będzie mieszkać z nami?

- Naturalnie! - odpowiedział r... zupełnie głośno.

Chociaż tak lubię, gdy on do nas przychodzi, tym razem nie mogłam się doczekać, by sobie poszedł. Nareszcie o jedenastej wieczorem, gdy Mania zamknęła nasze drzwi na klucz, zapytałam:

- Może mi raczysz objaśnić, z kim to mam mieszkać i gdzie?

A Mania zaczerwieniła się, potem przybladła, potem zrobiła minę

zakłopotaną i wreszcie zaczęła ścisnąć mnie i całować i mówić bardzo dużo bez ładu i sensu. (Napisałam sens przez ę, to na pewno dlatego, że nawet w tej chwili, pisząc o tem, jestem okropnie przejęta!) Więc mówiła, że ona mnie strasznie kocha, że jestem jej jedyną, najdroższą siostrzyczką, że nigdy nie rozstałaby się ze mną, ale na szczęście zaręczyła się z takim nadzwyczajnym człowiekiem, który ją zupełnie rozumie... Więc pewnie wkrótce zostanie panią Halicką (masz tobie! - napisałam całe nazwisko!) - i wreszcie zapytała, czy jej dam swoją aprobatę i czy mi się mój przyszły szwagier podoba?...

Dobra sobie ta Mania. Zaręczyła się w sekrecie, mówią do siebie "ty", uradzili, że będę z nimi mieszkała, a teraz pyta, niewiniątko, czy nie mam nic przeciwko temu!.. A właśnie... miałabym... Tylko właściwie co ja na to poradzę!... Ach, mój Boże! Czy to nie okropna i prawdziwa tragedia, że właśnie do tego człowieka serce moje zapalało dozgonnym uczuciem m.....!

21 września

W szkole panuje świnka, więc zrobili nam tydzień wakacyj i mam aż za dużo czasu na rozmyślanie i na pisanie pamiętnika.

Naturalnie, myślę o r. T.H. i Mani. Oho! Teraz zupełnie inaczej patrzę na nich - i dużo widzę i rozumiem. A przede wszystkim rozumiem już, po czym Zbyszek poznaje zakochane pary. Okropnie czule patrzą na siebie i mówią sobie "ty", gdy myślą, że nikt nie widzi i nie słyszy.

Mania z r. T.H. także mówili sobie "pan" i "pani" przy ludziach, ale teraz, odkąd są narzeczeni, już nie udają przed nikim. T.H. mówi do Mani "Marychno", co strasznie śmiesznie brzmi, bo jak Mania Manię, nikt jej nie nazywał inaczej. I rodzice i Olek i ja i wszyscy krewni. A do mnie mówi r. T.H. "Wandeczko" i ciągle prosi, żebym go nazywała Tadzkiem, albo choć Tadeuszem, bo przecież on niedługo zostanie moim szwagrem...

Nie! nigdy się do tego nie przyzwyczaję. I do "Tadeusza" i do szwagra...

Byłabym nieszczęśliwa bez przerwy, gdyby nie to, że teraz często zachodzi do nas Zbyszek. Kłócimy się, ale zaczynam przemyśliwać, czyby go nie zrobić moim powiernikiem. Jestem już prawie zdecydowana powiedzieć mu, jaka straszna tajemnica kryje się w mojej duszy.

Wieczorami, gdy Mania rozmawia z rotmistrzem (o czym oni mogą tak długo gadać?) wyobrażam sobie, jaką minę zrobi Zbyszek, kiedy mu oznajmię...

To na pewno będzie wyglądało tak: Zbyszek przyjdzie o siódmej (on zwykle przychodzi o siódmej, bo Mania daje teraz do herbaty konfitury, a Zbyszek za nimi przepada). Przywitam go ze smutkiem w oczach, będę bardzo poważna i milcząca. Wtedy Zbyszek nie wytrzyma i spyta:

- Co ci jest Wandziu, że od pewnego czasu widzę jakiś ciężar na twojej piersi?

A ja westchnę głęboko i najpierw nic nie odpowiem, a potem szepnę głucho:

- Pamiętasz naszą rozmowę w Latoszynie nad stawem?

Będzie pamiętał, bo chyba nie zapomina się prędko, jak się oświadczyło i dostało kosza. Wtedy westchnę znowu i szepnę:

- Oznajmiłam ci, że nigdy nie wyjdę za mąż. Powodem tego postanowienia jest straszna tajemnica... Oto oddawna kocham beznadziejnie człowieka, który nietylko nie może się ze mną ożenić, - ale przeciwnie...

Ech, głupia jestem. Przecież Zbyszek od razu zgadnie, że ten "człowiek", to r. T.H. Trzeba to jakoś inaczej obmyśleć...

29 września

Świnka skończyła się, chodzę znowu do szkoły, a wczoraj Mania zgodziła się oznaczyć dzień ślubu. Tylko jeszcze nie wiedzą, gdzie będą mieszkali. U panny Leokadji zostało dwóch sublokatorów, z którymi trzeba się dopiero procesować, bo powiedzieli, że nie ustąpią, chyba im rotmistrz zapłaci odszkodowanie. A znowu Ciszewska robi wszystko, co może, żeby Manię

wyprowadzić z cierpliwości. Podobno wstrętna ropucha otrzymała list (tak twierdzi Franusia), że jej synek zagranicą przepuścił wszystkie pieniądze i wraca do kraju, więc pewnie ta wiedźma chce nas się pozbyć, żeby tu ulokować swego gagatka.

Dziś rano, idąc do szkoły, myślałam sobie o tem, ile rzeczy może się zmienić w przeciągu pół roku! Przecież pół roku temu do głowy by mi nie przyszło, że można kogoś poznać na ulicy, zaprosić go do nas, że ten ktoś przyjdzie i raptem zakocha się w Mani i zaręczy się z nią! I że już w styczniu będzie ślub!

R..... zapytał Mani wczoraj, czyby się nie zgodziła oddać mnie na pensję, dopóki nie znajda większego mieszkania. Ale pocziwa Maniusia ani słyszeć o tem nie chce. Powiedziała, że raczej odłoży ślub, a nie rozstanie się ze mną. Wtedy on przysiągł, że choćby się miał na głowie postawić, mieszkanie znajdzie, - byleby Mania nareszcie oznaczyła datę ich ślubu. No - i Mania powiedziała: "To może zaraz po Nowym Roku?"

Słyszałam wszystko z drugiego pokoju, choć drzwi były przyknięte. Oni się teraz wcale nie krępują, mówią ciągle o tym ślubie i układają, kogo zaprosić, komu złożyć wizyty, a komu tylko posłać zawiadomienie.

Och, jak mi strasznie smutno! Już nie dlatego, że się k..... w r. T.H. (zdaje się, że teraz trochę mniej, odkąd wiem, że chciał mnie oddać na pensję) ale że jestem taka strasznie samotna... Mania ciągle przysięga mi, że mię kocha zawsze jednakowo, ale ja niebardzo w to wierzę... Przecież dawniej w sercu Mani byliśmy tylko dwoje: Olek i ja. A teraz wcisnął się ten... narzeczony i zdaje mi się, że zajął najwięcej miejsca.

Zbyszek powiedział któregoś dnia głośno, że Mania bardzo wyładniała, odkąd ma pełne oczy swojego rotmistrza. Ten Zbyszek ma zawsze głowę pełną konceptów!...

Ale go lubię i na złość komuś zrobię go moim przyjacielem i powiernikiem.

## Rozdział IX.Ñ Tajemnica

Sprawa ustalenia listy gości, zaproszonych na "uczcie" weselna, okazała się w praktyce nudną i żmudną robotą. Roztrząsanie zawiłej kwestji: zaprosić, czy nie zaprosić, - zajęło narzeczonym sporo czasu, który i tak dziwnie się kurczył; do dnia ślubu brakowało już tylko dwóch tygodni, a tyle jeszcze formalności, tyle kłopotu z metrykami i różnymi papierami, jakie się okazały niezbędne, że nawet Tadeusz tracił chwilami głowę, a Mania załamywała ręce, mówiąc:

- Zobaczysz: nie wydażymy ze wszystkim!

- Musimy zdażyć! - odpowiedział tonem tak stanowczym, że prawie szorstkim, a biedna Mania wzdychała cichutko, pocieszając się uwagą: chwała Bogu, że ślub należy do wyjątkowo rzadkich uroczystości, - inaczej życie byłoby jednym pasmem udręczeń.

Istotnie - komu, jak komu, ale Mani te ostatnie tygodnie wydawały się bardzo przykre i męczące. Nietylko chodziła, jak zawsze, do biura, nietylko zajmowała się domem, ale musiała jeszcze robić sprawunki, naradzać się z krawcową i - prowadzić życie "towarzystwie". Przez kilka lat ostatnich nie złożyła i nie przyjęła tylu wizyt, co w ciągu tych kilkudziesięciu dni, poprzedzających jej zamażpójście. Wszystkie koleżanki z biura, wszystkie znajome panie uważały za święty obowiązek przypomnieć jej, że powinna wraz z narzeczonym złożyć wizytę każdej z osobna i zaprosić, jeśli już nie na wesele, to choć na ślub.

Niespodziewanie dla młodej pary znalazły się nawet wśród grona znajomych trzy, czy cztery osoby w stopniu niezbyt bliskiego, ale zawsze - pokrewieństwa.

- Takbym chciała - wzdychała Mania - żeby to był zupełnie cichy, skromnusiński ślub, bez żadnych przyjęć...

Ale Halicki koniecznie pragnął pochwalić się narzeczoną przed ludźmi, to

też tłumaczył:

- I tak mamy nieliczną rodzinę, właściwie ja jej prawie nie mam, prócz garstki przyjaciół...

Owa "garstka" właśnie urosła do pokaźnej liczby kilkudziesięciu osób, spisanych alfabetycznie na dużym arkuszu papieru, przyczem lista wydłużała się z dniem każdym.

Pewnego razu Tadeusz, który od niejakiego czasu wskutek nawału zajęć tylko na chwilę zachodził do narzeczonej, - wpadł do pokoju, jak bomba.

- Lista! - krzyknął od progu - na miłość Boską, dawajcie mi zaraz listę!

I chwyciwszy papier, począł przebiegać oczyma litanję nazwisk:

- Adamski... Boguszewski... Czernik... Dolscy... Drewnowski... Głębocki... Naturalnie! Zapomnieliśmy o Dencku. Denckowie są już w Warszawie.

- Jacy to Denckowie? - spytała Mania.

- Roger Denck, mój kolega i przyjaciel z dzieciennych lat.

- A... jego żona?

- Nie znam jej nawet - odparł Tadeusz trochę zdziwiony specjalnym akcentem, jaki nadała tym słowom panna Lipska. - Roger ożenił się przed dwoma laty. Dowiedziałem się o tem dopiero zeszłej wiosny.

- Jedna z moich koleżanek wyszła przed dwoma laty za barona Dencka - rzekła Mania.

- Co ty mówisz? Jeżeli baron - to chyba właśnie on, Roger! Czekażże... Jak się nazywała ta twoja koleżanka?

- Marja Wiskowska. Ponieważ w naszej klasie było aż sześć Maryj, każda miała swoje spieszczenie. - Wiskowską zwano Marysienką.

- Marysienka... Ryśka... Roger mówił o niej: Ryśka! To na pewno ta sama! - zadecydował Tadeusz. - Wątpię, aby się w Polsce znajdował drugi Roger Denck i to "baron" jak ci mówiono. Widzę, że twoja koleżanka lubi się popisywać tytułem męża. A jaka ona jest? Czy rzeczywiście taka nadzwyczajna? Roger mówił mi o niej cuda...

- Nie wiem doprawdy... Poza szkołą widywałyśmy się tak rzadko... Znałam ją prawie dzieckiem... - bąkała Mania z widocznym przymusem. - Zresztą Marysienka wyszła z szóstej klasy. Pojechała podobno kończyć nauki zagranicą.

- I tam ją poznał Roger. Ale co za dziwny zbieg okoliczności, pomyśl, Marychno: on, mój przyjaciel i kolega, ona - twoja koleżanka i...

- Och, przebywałyśmy razem tak krótko... Załedwie roku! I było nas w klasie trzydzieści, więc...

- Widzę, że usiłujesz wyprzeć się tego koleżeństwa za wszelką cenę. A ja się tak cieszyłem! Bo pomyśl - Roger jest jednym z moich najlepszych przyjaciół. Teraz właśnie, gdy Denckowie wrócili do Warszawy, moglibyśmy nawiązać z nimi serdeczne stosunki. W każdym razie - przypuszczam - nie masz nic przeciw temu, że ich zaproszę na nasz ślub? Roger nigdyby mi nie darował... Ale co ty właściwie czujesz do tej jego żony?

- Ja? Nic. Przeciwnie, to bardzo miła osóbką, wesoła... W piątej klasie miała nawet z tego powodu przewisko. Nazywałyśmy ją tak zabawnie: Pasikonik.

- Czy ona rzeczywiście ma tak oryginalną urodę? - spytał Tadeusz, którego trochę korciło, że Mania mówi o Denckowej z rezerwą i prawie niechętnie.

Znał już charakter panny Lipskiej. Wiedział, że nie lubi mówić o kimś źle - że raczej w takich wypadkach wybiera milczenie. Lakoniczne i jakby wymuszone odpowiedzi świadczyły więc i tym razem, że Mania albo rzeczywiście bardzo mało znała swą koleżankę, lub też wolała nie wygłaszać o niej własnego sądu.

- Wogóle Mania jest bardzo zamknięta w sobie - myślał tego dnia, wracając do domu. - Może to być zarówno zaleta, jak wada... Przecież właściwie przed kim, jak przed kim, ale przede mną nie powinna ukrywać swych myśli... A ona zwykle mówi dopiero wtedy, gdy ją pociągną za język - i to mocno.

W tej chwili uprzytomnił sobie, że właściwie do dziś dnia, to on mówił i za siebie i za nią. Gdy pytał - odpowiadała natychmiast tym swoim ślicznym, spokojnym głosem, który tak w niej uwielbiał. Ale sama, z własnego impetu

mówiła niezmiernie rzadko. Można było na palcach porachować te chwile. Raz, czy dwa razy podczas choroby siostry, Mania poczęła się przed nim "wynętrzać" - mówić o sobie. Potem... Tak może jeszcze ze dwa razy słyszał jej własne myśli, wypowiedziane głośno. A przecież "rozmawiali" tak wiele! Tyle godzin spędzili razem, roztrząsając tysiące kwestyj ważnych i drobnych, tyczących ich przyszłego życia. Gdy Tadeusz się jej oświadczył, odpowiedziała spokojnie, głosem nieco zciszonego: "Tak". To krótkie słowo zawierało wprawdzie najpożądańszą treść, ale dopiero dzisiaj, przebiegając myślą cały okres narzeczeństwa, Tadeusz obliczył, że oprócz tego jednego "tak" padło z ust Mani bardzo niewiele słów, rozwijających ową cudownie piękną i niezapomnianą scenę.

Czasem, w tych cichych i słodkich momentach, które spędzali razem, na przechadzce, lub w mieszkaniu panny Lipskiej, - uczuwał gwałtówne pragnienie usłyszenia natychmiast, z jej własnych ust wyznania, które było już tylko potwierdzeniem. Pytał więc, cicho i tajemniczo, z sercem bijącym:

- Kochasz mnie?

Dłoń narzeczonej dotykała wtedy jego dłoni i na pytanie otrzymywał pytającą odpowiedź:

- Ja?

To mu nie wystarczało. Szeptał goręcej, prosił, błagał ją prawie:

- Powtórz raz jeszcze, w tej chwili. Powiedz: kocham cię!

Wówczas Mania mówiła z powagą:

- Naturalnie, że cię kocham.

- Bardzo?

- Czyż inaczej mogłabym związać się z tobą na całe życie? Bo przecież małżeństwo, to już na całe życie, Tadziu...

Oczy jej na chwilę stawały się ogromne i błyszcząły gwieździcie. A potem uśmiechała się, potrząsała głową i dodawała:

- Mój Boże, jaki z ciebie dzieciak! Koniecznie musisz słyszeć to wielkie słowo. A mnie wystarcza świadomość. Bo czuję, że cię kocham i wierzę, że ty mnie kochasz. Więc poco powtarzać bez końca to, co jest przecież istotą naszego życia. Uczucia nie potrzebują słów. Może nawet... może nawet nie istnieją słowa dość piękne?...

I to były najpiękniejsze słowa miłości, jakie od niej usłyszał.

W ostatnich tygodniach nie mieli już nawet czasu na takie pogawędki. Gdy tylko przyszedł do Lipskich, rozpoczynała się cała litanja spraw, niecierpiących zwłoki. A to niezłałatwione, a tamto trzeba załatwić, a tutaj pójść, a tego dopilnować...

- Oj, żebyś ty już raz wyszła za ten mąż - mówiła z westchnieniem Wandzia, która silnie odczuwała gorączkową atmosferę, przesiadując w domu znacznie więcej, niż Olek.

Dziewczynka bywała teraz często chmurna i niezadowolona. Na Tadeusza patrzyła krzywem okiem, z naciskiem mówiła do niego "pan" - czego zresztą nie zauważał, pochłonięty pilniejszymi sprawami - i nieraz czyniła o nim uszczypliwe uwagi półgłosem, aby nie robić Mani przykrości.

Nagle jednak, jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, zmieniło się to usposobienie. Wandzia nietylko przestała dogryzać Halickiemu, ale w entuzjastycznych słowach wynosiła go pod niebiosy.

Ów nagły zwrot nastąpił pewnego pięknego popołudnia w okresie świątecznym. Dziewczynka wróciła do domu zarumieniona, z policzkami wyszczypanymi przez mróz, wesoła jak szczygieł i pogwizdująca, jak szpak na wiosnę.

- Gdzie byłaś tak długo? - spytała Mania. - Musiałam ci obiad zostawić, bo Olek bardzo się śpieszył. Boję się, że zupa już ostygła.

- Byłam na spacerze, jak zawsze - odparła dziewczynka, ostentacyjnie podkreślając ostatnie słowo.

Na szczęście - starsza siostra, pochłonięta własnymi myślami, nie zauważyła tajemniczego uśmieszku, jaki pojawił się na ustach Wandzi - inaczej spostrzegłaby odrazu, że się "coś święci". Rzekła więc dopiero po chwili:

- Moja droga, proszę cię, przestań gwizdać. To bardzo nieładnie, gdy

panienka w twoim wieku...

- Oho, jest i "panienka" i "wiek" - szepnęła Wandzia - tylko ciekawa jestem, dlaczego "nie wypada" gwizdać osobie, która ma serce przepełnione radością, a śpiewać nie może, bo jej Pan Bóg odmówił głosu...

I znowu "serce, przepełnione radością" uszło uwagi Mani. Natomiast, układając na półkach bieliznę, powiazaną w paczki, ozwała się nawpół do siebie:

- To dziwne. Tadeusz wczoraj nie zaszedł, a i dziś go jakoś nie widać...

- Myślisz, że on nic nie ma na głowie! Aha, właśnie! Tyle spraw... A w dodatku jeszcze... Wandzia ucięła nagle i dokończyła innym tonem: - Zresztą zaraz tu przyjdzie, więc się nim nacieszysz...

- Przyjdzie? Spotkałaś go może? Skąd wiesz, że przyjdzie zaraz?

- Takie mam przeczucie - odparła dziewczynka, uśmiechając się filuternie.

W tej samej chwili zadzwoniono dwa razy. "To on" - wykrzyknęła i pobiegła otwierać. Długą chwilę szeptali w przedpokoju z Halickim, aż wreszcie Manię zastanowiło ich dziwne zachowanie się.

Cóż to za konszachty? - pomyślała - najwidoczniej ukrywają coś przede mną.

Ale snąc ów "sekret" był przyjemnej natury, bo Tadeusz wszedł do pokoju rozpromieniony, jak nigdy - i zaczął zaraz Manię całować w obie ręce, przeprasząc, że tak zaniedbuje najmilsze obowiązki.

- Ale rozumiesz sama... tyle spraw... - dodał, a panna Lipska zauważyła, że zamienił szybkie i porozumiewawcze spojrzenie z Wandzią.

- Co wy tam spiskujecie przeciwko mnie? - spytała.

- Naturalnie, że przeciwko tobie - roześmiał się Tadeusz. - Czyż nie wyglądamy, jak para złoczyńców? Ale, ale, przyszedłem tu z czymś ważnym. Jutro popołudniu musimy pójść do Dencków.

- Oj - westchnęła Mania.

- Koniecznie. Spotkałem Rogera u rejenta i musiałem mu solennie obiecać...

- A coś ty robił u rejenta? - spytała mimowoli.

- Ja? - zdziwił się Halicki.

I znowu wydało się Mani, że wzrok jego podążył w stronę dziewczynki, która poczęła kiwać głową z politowaniem, jakby chciała powiedzieć: "Oj, ty paplo! Dobrze trzymasz język za zębami!".

Panna Lipska zniecierpliwiła się wkońcu.

- E, jesteście nieznośni oboje! Macie takie miny, jakbyście ukrywali przede mną ważny wypadek...

- Chyba nie wypadek, a raczej... - odezwała się Wandzia, ale teraz zkolei Tadeusz zgromił ją spojrzeniem i przerwał:

- Co za przywidzenia! A jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego dziś byłem u rejenta...

- Ależ ja wcale nie chciałam nic wiedzieć! Spytałam najzwyczajniej w świecie, a wy dziś ze wszystkiego robicie jakieś tajemnicze sprawy... - odparła Mania, wzruszając ramionami.

Tadeusz pożegnał się wkrótce, bo miał jeszcze pisać jakieś "ważne" listy. Przypomniał tylko na odchodnym:

- Więc pamiętaj, Marychno! Jutro o piątej zabieram cię do Dencków!

Po wyjściu Halickiego Wandzia odezwała się surowo:

- Ale ty dziś jesteś przyjemna, Maniu! Odezwałaś się do niego takim tonem! Do niego, który jest tak strasznie, tak przeraźliwie dobry...

- Wiem, że jest "przeraźliwie" dobry, tylko...

- Ale bo ty nic nie wiesz! - przerwała jej dziewczynka.

I nagle, bez dalszych wyjaśnień, rzuciła się siostrze na szyję.

Rozdział X.Ñ

Pani Ryśka

Gdy nazajutrz Tadeusz zjawił się punktualnie o piątej, Mania była już

gotowa, w kapeluszu i nowej granatowej sukni jedwabnej.

- Czy koniecznie musimy tam iść? - spytała. - Pogoda tak śliczna, mróz... Wolałabym sto razy przejść się trochę, naturalnie - z tobą. Dziś niedziela, wróciłbyś do nas na herbatę... a u tych Dencków pewnie będzie mnóstwo gości.

- Oj, ty mój drogi dzikusku! - odparł Halicki, śmiejąc się. - I ja bym wolał spędzić kilka godzin we dwójkę, ale trudno. Te wizyty są przecież konieczne, jeśli się żyje między ludźmi. Ale to już niedługo. Zobaczysz, Marychno, wkrótce przecież będziemy zawsze razem i aż się boję, czy ci się to nie sprzyrzy...

- Mnie? - zawołała z takim zdumieniem w głosie, że chwycił jej rękę i pocałował bez pamięci.

- Moja droga, moja kochana! Moja żona jedyna, moja najmilsza!

A potem pochyliwszy się ku niej, szepnął w samo ucho:

- Pomyśl... Za dziesięć dni...

- To... Możebyśmy już poszli do tych Dencków? - rzekła Mania, wzruszonym głosem i poczęła śpiesznie wciągać rękawiczki.

Pojechali dorożką. Mieszkanie Rogera znajdowało się na przeciwległym końcu miasta, w nowym, pięknym domu, wtłoczonym między odrapane rudery. Już na dole słyhać było dźwięki fortepianu, a gdy otwarły się drzwi na drugim piętrze, buchnął z za nich taki gwar głosów zmieszanych, wykrzykników i śmiechów, że Mania chwyciła Tadeusza za rękę:

- Tam jest chyba jakieś wielkie przyjęcie... Źle trafiliśmy! Wracajmy lepiej...

- Ależ co znowu! Proszę cię, Maniu, wejdz, bo służąca na nas patrzy - szepnął Tadeusz.

W tej samej chwili pojawił się na progu mężczyzna wysoki, smukły, o wielkiem, nieco za wypukłym czole, sennych oczach i karminowych wargach.

- Jak się masz! - zawołał Tadeusz i zwrócił się do Mani:

- Pozwolisz... To jest właśnie Roger Denck, mój przyjaciel.

- Jakże miło mi... - rzekł tamten, składając ukłon głęboki. Resztę zdania stłumiła nowa kaskada śmiechu.

- Ależ tu dziś wesoło! - zauważył Halicki.

- To Ryśka robi z siebie błazenka, ku uciesze przyjaciół, którzy zwykle schodzą się do nas w niedzielę. Znasz ich, Tadek. To sami swoi. Pani pozwoli, że uprzedzę żonę...

Gdy panna Lipska przestąpiła próg salonu, uderzył ją widok malowniczej grupy, zebranej w dyskretnie oświetlonym kąciku. Z za kilku postaci męskich wyłaniał się róg kanapy, zasypanej wprost niezliczonym mnóstwem poduszek. Wśród tych poduszek, jako najjaśniejszy punkt, przyciągający spojrzenie, widniała głowa kobieca tak złota, że zda się - od niej spływał ten żółtawy, łagodny blask na zebranych.

Roger Denck zawołał: "Ryśko, proszę cię na chwilę!" - i w tej samej chwili złocista główka znikła, stłoczone wkoło postacie jęły się rozstępować, a naprzeciw nieśmiałonej Mani wybiegła istota szczupła, wiotka, i tak maleńka, że nie sięgała jej nawet do ramienia.

Pani Ryśka trzymała w jednym ręku kieliszek, w drugim nadgryzione ciasteczko, ale nie czując się tem skrępowana, rozchyliła ramiona jak najszerzej i podniosła ku górze buziak różowy, o czarnych, jak węgielki oczach i ustach, złożonych do pocałunku.

- Wieki! Wieki nie widziałyśmy się! Ile to lat! Oj, lepiej nie liczyć, bo się okaże, że obie jesteśmy już bardzo sędziwe! - zaszcebiotała, przełknawszy wreszcie ciasteczko - Rożku! łap to! Muszę przecież uściskać tę pocziwą Manię!

I rzuciła mężowi kieliszek, szczęściem pusty, poczem nagle wyciągnęła dziecięcą łapkę do Tadeusza, mówiąc:

- A, to pan chwyta mi koleżankę w małżeńskie sidła? Cieszę się, że wreszcie na własne oczy mogę obejrzeć tego potwora, który mi sporo krwi napsuł...

- Ryśko, Ryśko - mitygował zcicha mąż, pieszczotliwie zwany przez nią "Rożkiem".



- A co? Mało się nasłuchiwała? A to to, a to tamto... A tak postępuje z kobietą prawdziwy mężczyzna... Nie bój się, Maniu, to sięga czasów odległych, gdy jeszcze ciebie nie poznał... Ale czego my tu stoimy? - Chodźcie, siadźcie, rozgośćcie się... Poczekaj, Maniu, zaraz przedstawię ci całą menażerję.

"Menażerja" zbliżyła się sama w osobach Adamskiego, Taffa, doktora Rudnickiego, Munia Łady i jeszcze kilku kolegów przeważnie wojskowych.

Po prezentacji (panna Lipska nie знаła nikogo, prócz Rudnickiego) towarzystwo rozpięzchnęło się znów po salonie. Łada zasiadł przy fortepianie i jał sentymentalnie, a zarazem hucznie wybrzdąkiwać jakieś improwizacje o znanych motywach.

Pani Ryśka usadowiła się naprzeciw Mani, podwinęła minjaturowe nóżki pod siebie, - ale tak, że widać było całą lilipucia stopę, obciśniętą w trzewiczek z jasnej skórki, i jęła paplać z miną rozpieszczonego dziecka, błyskając co pewien czas ciekawym oczkiem w strony młodych ludzi, do których przyłączył się Tadeusz.

- I co? I co? Opowiadaj! Więc naprawdę wychodzisz zamaż? Nie żal ci swobody? Ja bo jak sobie pomyślę... - Rożku, nie słuchaj! - że dałam się dobrowolnie zamknąć w tej klatce... Ale powiedzno, Maniu, czy to prawda, że ta wysoka Regina (pamiętasz ją?) - wyszła za swego nauczyciela śpiewu i po miesiącu puściła go kantem? Musiał cienko śpiewać, biedaczek, jeśli nie zostawiła mu nieco groszu na otarcie łez...

- Nie wiedziałam nawet, że Regina wyszła zamaż! - odparła Mania. - Straciłam z oczu wiele moich koleżanek, od paru lat...

- Zerwałaś z niemi? Masz słusność, to były przeważnie strasznie głupie gęsi. Ja się czasami spotykam u fryzjera z Machnicką. Ta ma rozum; odpaliła wszystkich konkurentów i wstępuje na scenę... Pomyśl, jakie to zabawne, że właśnie Luńka Machnicka...

Do rozmawiających podsunął się porucznik Taff i z miną rozradowaną oświadczył:

- A pani Marysienka przegrała zakład! Przegrała, przegrała, o!

- Wcale nie, mój panie, to była siła wyższa, rozumie Kocio? - odparła Denckowa, wygrażając mu przed nosem paluszkami tak małym i różowym, że podobny był raczej do cukierka.

- Cóż to za zakład? - spytała Mania.

- Ech, głupstwo, moja kochana. Oni twierdzili, że nie potrafię zjeść jednego petit four'a z miną poważną, nie powiedziawszy ani słowa i nie roześmiewszy się ani razu. Kończyłam właśnie próbę, kiedyście weszli...

- I nie skończyła pani! A to już siódme ciastko! Munio zastrzegł w warunkach umowy, że tylko do siedmiu razy sztuka. Więc?

- Więc... niemądry pan jest i koniec! - krzyknęła, dając mu klapsa po rękę, co przyjął z widocznym zachwytem.

- A zresztą - dodała pani Ryśka, zrywając się z taboretu - mogę was w tej chwili przekonać, że zjem dziesięć biszkoptów jeden po drugim i ani okiem nie mrugnę! Czego się napijesz, Maniu? Herbaty czy kawy?

- Proszę o kawę.

- W tej chwili ci ja przyniesie nasz caballero servante, rozkoszny chłopiec! Adziu! Hop, hop! Czy mogę cię prosić, byś mnie zastąpił w roli uprzejmej gospodyni domu? Ja muszę się odegrać, bo pan Taff zbyt natarczywie dopomina się o... przegraną.

Adamski wysunął się z koła rozmawiających, podszedł do stolika z zastawą i po chwili przyniósł Mani na małej tacce kawę, cukierniczkę i koszyk z ciasteczkami.

- Podziwiałam, jak pan zręcznie nalewał kawę - rzekła, śmiejąc się. - I teraz, nie widzę ani kropli na spodeczku...

- Rutyna, proszę pani, rutyna. Do wszystkiego można się przyuczyć. Ja nabrałem wprawy w pewnym domu, gdzie były wprawdzie aż cztery młode panny, ale tak leniwe, że nie ruszyły się z miejsca, by usłużyć gościom. Wyręczał je zwykle któryś z młodych ludzi, a służba każdego z nas była ciężka i trwała co najmniej sześć niedziel, to jest jeden sezon karnawałowy... W takiej szkole nabrałem wprawy. Umiem też robić zgrabne tartinki,

przyrządzać coctail, a nawet - usmażyć sznycel po wiedeńsku.

- Widzę, że Adzio zaczyna roztaczać przed panią skarby swych licznych zalet - odezwał się Rudnicki, podchodząc - pani pozwoli, że przerwę ten interesujący monolog, któryby mógł trwać nieskończenie długo, bowiem niema na świecie rzeczy, którejby nie potrafił Adamski.

- Co ty mówisz? Zawsze sądziłem, że nie potrafię ciebie prześcignąć w wypowiedaniu krągłych frazesów, ale jeśli i na tem polu ty sam uznajesz moje pierwszeństwo... - odciął się "Adzio".

Tymczasem doktor Rudnicki zwrócił się do Mani i począł mówić wolno, swoim cudownie dźwięcznym, miękkim, pieściwym głosem:

- Tak pragnąłem panią odwiedzić, panno Marjo! Niestety, okoliczności złożyły się inaczej... Miałem ogromnie dużo pracy, potem wyjechałem na odpoczynek do Orłowej, a po powrocie dowiedziałem się od wspólnych znajomych, że pani jest zaręczona. Czy to prawda?

- Owszem odparła Mania, trochę zdziwiona tonem, jakim przemawiał do niej ten człowiek, niemal obcy. - Wkrótce wychodzę zamaż.

- Naturalnie! - westchnął głęboko Rudnicki.

- To takie moje szczęście! Gdy tylko która kobieta podoba mi się wyjątkowo, natychmiast ktoś inny zagospodaruje się w jej sercu i muszę pogodzić się z myślą, że ona już stracona dla mnie... A właśnie zawsze marzyłem o takiej kobiecie, jak pani...

Mania, nie przywykła do tego gatunku rozmowy, czuła się jakoś nieswojo. Czuła, że się głupio rumieni i zrozpaczonym wzrokiem jęła szukać narzeczonego. Ale Tadeusz, odwrócony od niej plecami, z przejęciem rozmawiał z panią Ryską, a raczej słuchał razem z innymi kaskad perlistych jej śmiechu. Na szczęście w tej samej chwili Adamski zaintonował basem: "I ty mu wierzysz, biedna dziewczyno!" tak przytem zabawnie przewracając oczami, że zarówno "biedna dziewczyna", jak młody eskulap roześmieli się, poczem Rudnicki odpowiedział z komicznym patosem:

- Oto, jak ucho profana bezcześci słowa, z serca płynące!

I zaraz dodał, krzywiąc się:

- Mój drogi, czy ja ci kiedy przeszkadzałem w rozmowie z piękną kobietą, którą znałeś od lat niemal dziecięcych?

- Nie, ale kobiety, które ty znasz od tak dawna, dawno nie rozmawiają z tobą - odparł "Adzio" z zupełnym spokojem i sięgnął po ciastko.

- Pozwoli pani, że rozprawę z tym osobnikiem odłożę do sposobniejszej pory, gdy się znajdziemy sam na sam - a tymczasem spytam, czy mi będzie wolno odwiedzić czasem jej dom, który już wkrótce...

- Przepraszam! - wtracił znowu Adamski. - A w jakim charakterze? Domowego lekarza, czy... przyjaciela domu? Bo trzeba pani wiedzieć, panno Marjo, że to człek niebezpieczny. Kolega Rudnicki, chociaż się szczyli przyjaźnią z ludźmi tak statecznymi, jak np. porucznik Taff i Munio Łada, ma zgoła osobliwą reputację, zwłaszcza u kobiet. Przeprowadziwszy ankietę wśród znajomych pań (a są ich legjony!) możnaby stwierdzić, że uczuciowo dziela się na dwie kategorie: tych, które przepadają za nim, i tych, które go nienawidzą. Ponieważ zaś tak krańcowe sądy dowodzą...

- Nie, ten człowiek wziął się, by mnie przed panią oczernić! - jęknął Rudnicki. - Wobec tego... uchodzę z placu boju.

- Jako zwyciężony?

- Nie. Tym razem ucieczka jest tylko manewrem strategicznym. Powrócę, gdy nieprzyjaciel wystrzela zapas jadowitych ładunków, które mię nie dosięgną w łaskawych oczach pani, bo nie od dziś znam jej anielską dobroć...

To mówiąc, powstał z ukłonem tak głębokim, że Mania dostrzegła dyskretnie zamaskowaną w gęstwinie kruczych włosów - łysinkę na czubku głowy.

Z każdą chwilą gwar rósł w salonie, do tego stopnia, że Zygmunt Łada wstał wreszcie od fortepianu i zamykając wieko, oświadczył:

- Nie! Tutaj niepodobna słyszeć samego siebie!

I wyciągając z kąta stolik do kart, począł zwoływać partnerów:

- Koledzy, jak myślicie? Jedną partyjkę, choćby z dziadem...

Lecz "dziad" okazał się zbyt uczynny, bowiem natychmiast znalazło się trzech zwolenników bridge a.

Mania słuchała z roztargnieniem opowieści o jakimś raucie, którą "Adzio" rozpoczął głosem powolnym i cichym. Wzrok jej coraz częściej kierował się w stronę Tadeusza; usiłowała magnetyzować go spojrzeniem, ale Halicki, jak na złość, ciągle był odwrócony plecami, tak, że od czasu do czasu tylko widziała piękny jego profil, rysujący się jasną linią na tle kwiecistych tapet.

- Nieznośny! - szeptała w duchu, pieszcząc oczyma tę kochaną głowę - obiecał, że posiedzimy tu najwyżej pół godziny, a teraz tak się zagadał...

Naprzeciw Tadeusza, wśród stosu poduszek, siedziała pani Ryśka. Wyglądała na tem tle, jak figurka złocona, lub jak jedna z tych zabawnych laleczek, widywanych czasem na wystawie modnych magazynów z kapeluszami: wspaniała szopa złocista mieniła się i drgała własnym światłem.

Zdawałoby się, że od tej bujnej czupryny właśnie padają na złotawą suknię jasne refleksy, a nawet - odbijają się w skrawku podłogi, nie zasłoniętej dywanem. Nagie ramionka, ramionka zupełnie lalczyne, tylko kształtniejsze i wiotsze, były w ustawicznym ruchu, wykonywując gesty zabawnie kanciaste, to znowu miękkie, powolne, prawie kocie. I co chwila z czerwonych usteczek padały jakieś urocze widać słowa, przeplatane śmiechem, - budząc w zasłuchanych widzach wszystkie gamy uczuć: od ciekawości do uwielbienia.

Obdarzona bardzo dobrym wzrokiem, Mania Lipska widziała dokładnie - mimo półcienia, panującego w salonie - grę każdej twarzy i nagle, przez krótką, jak błysk, chwilę, doznała uczucia głębokiej przykrości, że Tadeusz znajduje się w tem gronie, że śmieje się razem z innymi i razem z nimi stanowi "otoczenie" złocistej pani Denckowej.

Jednak - w tym samym momencie opanowała to dziwne uczucie - jakby żalu, gniewu i politowania - i poczęła czynić sobie wyrzuty: "Jaka ja jestem niemądra! Przecież nie przyszliśmy tutaj, aby prowadzić w skupieniu rozmowę na tematy poważne... Dlaczego mię to korci, że Tadzio... - mój drogi Tadzio! (ogarnęło ją rozrzewnienie) - śmieje się razem z innymi, patrząc na tę istotkę, która jest w swoim rodzaju - urocza. Przecież jej własny mąż śmieje się bodaj że najgłośniej, a w każdym razie najczulej na nią patrzy... Doprawdy, odwykłam widocznie od ludzi normalnych, rozbawionych świątecznie, skoro mię ta wesołość razi..."

I byłaby dłużej karciała się w duchu za zdziwienie, brak wyrozumiałości, egoizm etc. - gdyby nie wyrwało jej z zamyślenia ostatnie zdanie Adamskiego:

-...a pani jak sędzi?

- Ja?..

Na szczęście w tej samej chwili Tadeusz powstał z krzesła, więc Mania zerwała się również i podając "Adziowi" rękę, rzekła prędko:

- Niestety, muszę już iść... Śpieszę się do domu... Bardzo mi było przyjemnie poznać pana...

- Co? Już idziecie? To chyba żarty! - zawołał Roger, a pani Ryśka potrząsnęła złotą głową bardzo energicznie:

- Ani mowy niema, byśmy was przed północą puścili! Niedługo będzie kolacja...

- Mówi się: "mewy niema", pani Ryśko! Znowu przegrała pani zakład! To już trzeci, nie licząc piątkowego! - zawołał porucznik Taff, klaszcząc w ręce z wielkiej uciechy.

- E, dość mam tych pańskich zakładów! - odparła - właśnie będę mówiła, jak mi się "rzewnie" spodoba i nie przekreślę ani jednego słowa na złość panu!

Jednakże "przyszli państwo Haliccy" nie dali się uprosić, Mania wymawiała się zmęczeniem, mnóstwem zajęcia i tem, że zostawiła w domu siostrzyczkę. Tadeusz potwierdził jej dowodzenia, więc Denckowie nie nalegali dłużej, tylko Roger powiedział, pomagając Mani w przedpokoju wkładać wysokie kalosze:

- Mam nadzieję, że będziemy się teraz często widywali!

- Ja myślę! - krzyknęła pani Ryśka, opierając główkę o kant drzwi i rzucając na Tadeusza prześliczne spojrzenie swych czarnych ślepiat.

Gdy tylko wyszli z bramy, Halicki spytał.

- Jakże ci się podobają moi koledzy? Widziałem, że Adamski ci asystował... To miły chłopiec, prawda?

- Owszem - odparła Mania - bardzo sympatyczny.

Szli przez chwilę w milczeniu, nagle Tadeusz ozwał się półgłosem:

- Ależ z tej Denckowej kokietka i flirciarka! Pierwszy raz widzę taki "skondensowany" typ.

- Szkoda - szepnęła Mania, - że twój przyjaciel tak się nią bawi, jak lalką...

- Bo też to i laleczka - odparł.

- Tak, może dla innych. Ale dla męża to przecież także żona... - rzekła, podnosząc na Tadeusza wzrok pełen powagi.

## Rozdział Xi.Ñ

Veni Creator Spiritus...

Pomimo, że Mania przygotowała, zda się, wszystko zawczasu, piętnastego stycznia panował w małym mieszkanku sądny dzień.

Wprawdzie Ciszewska, udobruchana pewnością, że pozbędzie się wreszcie lokatorów, w przystępie wspaniałomyślności ofiarowała swoje trzy pokoje do rozporządzenia, ale w tych trzech pokojach kręciło się przeciętnie piętnaście osób. Biegała tam i zpowrotem Wandzia, Marcinowa i jakaś "serdeczna" przyjaciółka Mani, panna Henryka, którą licho przyniosło o ósmej rano, choć ślub miał się odbyć dopiero o dwunastej; biegali Olek i Zbych Latoszyński z bukietami kwiatów i paczkami, przynoszonymi przez posłańców; biegali wreszcie posłańcy w pogoni za adresatką i napiwkami - i stróż, który wynosił resztki, "zapomnianych w pośpiechu" rzeczy "panicza Olka", do mieszkanka pana młodego... Od jutra miał je właśnie zająć szwagierek, jako niezależny już mężczyzna - student politechniki.

Najbardziej jednak gorączkowała się Wandzia.

Z głową rozczochraną i wypiekami na twarzy, wybiegała, czujna na każdy dzwonek, do przedpokoju, opowiadała każdemu, kto chciał i nie chciał słuchać, o jakiejś "nadzwyczajnej" rzeczy, którą przygotował rotmistrz Tadeusz Halicki, jej przyszły szwagier, dla swojej przyszłej żony - jej siostry!

Ciotkę Latoszyńską, która przybyła w przeddzień wieczorem, powitała radosnym krzykiem, rzucając się jej na szyję:

- Wie ciocia! Mania wychodzi za anioła!

- Czekaj, udusisz mię! - broniła się ciocia Jadwisia z uśmiechem, wywołanym nietylko objawami takiej czułości, ile skojarzeniem wyobrażenia anioła z postacią Tadeusza, a zwłaszcza jego małych wąsików, ciemniejących pod nosem.

- Bo ciocia nie wie! Ciocia jeszcze nic nie wie! - wykrzykiwała dziewczynka, ściągając z pani Latoszyńskiej futro tak energicznie, iż zacna dama zaniepokoiła się o jego całość.

- Czego nie wiem? Cóż to się stało, że pan Halicki dostąpił nagle w twoich oczach aż tak wysokiej godności i stał się naraz... aniołem?

- Och, ciociu! Tego nie mogę za nic powiedzieć, bo przysięgłam... Ale ciocia zobaczy! Wszyscy niedługo zobaczą, co to za nadzwyczajny człowiek... - paplała Wandzia, kręcąc się teraz ciekawie koło pakunków, które za matką wniósł Zbyszek.

Państwo Latoszyńscy ofiarowali Mani na prezent ślubny srebro stołowe, prześliczny komplet staroświeckich łyżek, łyżeczek, widelców, widelczyków i noży wszelkich rozmiarów.

- Chcieliśmy, moja kochana, dać ci w tym uroczystym momencie twego życia coś praktycznego, coby jednocześnie przypominało ci, że pochodzisz z dobrej starej rodziny. Te srebra są po twojej prababce - stare i cenne nietylko jako pamiątka. Dlatego - nie kazałam zmieniać monogramów, które zresztą są takie same, jak twój: L.M. Twoja prababka, jak wiesz, miała na imię Leontyna.

Taką mniej więcej przemowę wygłosiła ciocia Jadwisia, podczas, gdy Wandzia ze Zbychem rozwijali paczkę za paczką, pojawienie się każdej nowej sztuki witając okrzykami, godnemi dzikiego plemienia środkowej Afryki.

- Doprawdy, ciociu... Tyle dobroci... - mówiła Mania, całując wypieszczone ręce osoby jeszcze młodej i pięknej. To też pani Jadwiga wyrwała je szybko, mówiąc:

- Dajże pokój! A teraz, moja kochana, powiedz mi trochę o sobie. Przedewszystkiem - gdzie będziecie mieszkali?

Srebrny widelec wyslizgnął się z rąk Wandzi i z brzękiem upadł na podłogę, a Mania odparła, nieco zakłopotana:

- Otóż... niech ciocia sobie wyobrazi, że... nie wiem! Tadeusz zaręczył, że znajdzie mieszkanie, ale dotychczas nie mogłam się doprosić, by mi je pokazał. Wiem tylko, że coś znalazł, inaczej nie miałby takiej pewnej siebie miny. A i Wandzia, zdaje się, miała by niejedno do powiedzenia w tej sprawie.

- Skąd wiesz? A zresztą - naco ci ta wiadomość? Jutro się dowiesz! - odparła dziewczynka, siląc się na ton obojętny. - Nie myślałam, że z ciebie taka ciekawska!

- A z ciebie taka krętacha. Bo ty coś kręcisz, Wandziu, za memi plecami...

- A jakby nawet - no to co? Czy mi nie wolno mieć swojej tajemnicy? - odparła hardo, ale ze śmiejącymi oczyma. - Już ty sobie tylko nie wyobrażaj, że ja choć słowo pisnę... Wszyscy w szkole znają mię z tego, że jestem dobra do sekretu i lepiej umiem trzymać język za zębami, niż niektórzy uczniowie szóstej klasy! - dorzuciła, posyłając Zbyszkowi znacząco-pogardliwe spojrzenie.

- Widzę, że się nic nie zmieniło? Wandzia ze Zbyskiem zawsze mają na pieńku - zauważyła pani Jadwiga z uśmiechem.

- Ja ze Zbyskiem nie mam na niczem, proszę cioci i - wogóle nie mamy z sobą nic wspólnego.

- Odkąd to?

- Od tygodnia.

- Przepraszam, bo dopiero od czwartku! - wtrącił niespodziewanie młodzieniec, z którym Wandzia "nie miała nic wspólnego", co nie przeszkadzało obojgu widywać się codziennie i przysyłać sobie ważniejsze wiadomości za pośrednictwem osób trzecich.

Było to trochę niewygodne, zwłaszcza dla Mani; biedaczka od kilku dni ledwie trzymała się na nogach, to też gdy Wandzia zakomunikowała jej grobowym tonem: (Zbyszek właśnie wszedł do pokoju) "Jeśli by ktoś zapytał, powiedz mu, że w niedzielę nie przyjdę na ślizgawkę!" - Mania zniecierpliwiała się wreszcie i rzekła:

- Moi drodzy, możebyście tak zapomnieli o waszych kłótniach, przynajmniej na dzień jutrzejszy, bo już doprawdy...

- Ja się nie kłócę. - odparła Wandzia.

Ale po chwili, niby niechcący, przechodząc koło Zbyszka, lekko trąciła go w ramię.

- No więc? - zapytał chłopiec.

- Możemy się przeprosić - odparła z godnością, - ale robię to tylko dla Mani.

- W takim razie zrób jeszcze jedno "dla Mani" i przyjdź w niedzielę na ślizgawkę! - poprosił Zbyszek tak rozbijającym tonem, że wszyscy obecni roześmiali się, nie wyłączając samej Wandzi, która po dobrej chwili dopiero odpowiedziała surowo:

- Zobaczymy. Tymczasem mam na głowie sprawy pilniejsze!

I pobiegła do kuchni zobaczyć czy "dusza" już się dostatecznie rozgrzała, był to bowiem ostatni czas na przeprosowanie odświętnej sukienki.

Gdy nazajutrz Tadeusz w nowym mundurze, przyozdobionym orderami, zjawił się w mieszkaniu narzeczonej, - wśród zebranych rozległ się szmer uznania i podziwu. Koleżanki panny Lipskiej poczęły szeptać:

- Bardzo przystojny!

- A greczny! Przywitał mię, jakbyśmy się oddawna znali!

- Ho ho! Ta Mania to cicha woda! Siedziała w kącie, trusia, aż nagle złapała chłopca, jak malowanie!...

- Ładna para, tylko ona wydaje się przy nim jeszcze niklejsza - zauważyła któraś, zniżając głos.

- Ja tam nie uważam, żeby Mania była przystojna - odparła szeptem stojąca obok koleżanka w futurzanym kapelusiku. - Brak jej... czy ja wiem? Kolorytu...

- Phi! Niejedna z naszych dobrych znajomych fabrykuje sobie ten "koloryt" przy pomocy różu i pomadki do ust - mruknęła złośliwie pierwsza, wodząc kosem spojrzeniem po rumianej twarzy "przyjaciółki".

Rozmowy ucichły, bo weszła pani Latoszyńska w prześlicznej toalecie barwy lawendowej, za nią Wandzia w sukience z "prawdziwego" półjedwabiu, a wreszcie - panna młoda w ślubnym stroju, z twarzą tak błąda, że prawie bielszą od kwiatów pomarańczowych, zdobiących włosy.

- Proszę państwa, czas jechać! - rzekła pani Jadwiga, która w tym rozgardjaszu objęła laskę marszałkowską i wydawała rozkazy ze spokojem wielkiej damy, przywykłej do posłuchu.

Pojechali wujostwo z Manią, Tadeusz z Wandzią i panną Henryką, reszta gości, jak kto chciał i mógł.

Kościół był oświetlony rzęsiście, pomimo godziny tak wczesnej. Przez kolorowe szybki ołtarza przesączał się gdzieś niegdzie nieśmiały promyczek zimowego słońca. Po obu stronach nawy głównej stali już rzędem wszyscy znajomi, tworząc długi szpaler aż do stopni ołtarza.

Wzrok Mani błąkał się w przejściu po tych twarzach półprzytomnie, nie widząc ich i nie poznając. Miała wrażenie, że w kościele jest duszno, a jednocześnie czuła przejmujący do szpiku kości chłód kamiennej posadzki. "Boże mój, Boże!" - szeptała cichuteńko, łajac się w duszy za to dziecinne rozsądki i nieśmiałość wrodzona, kto wie, czy nie wyrwałaby się z tej ciżby i nie uciekła, kędy oczy poniosą, jak najdalej... A przecież - kochała Tadeusza i już nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego.

- Czy ja potrafię? Czy ja zdołam zapewnić mu szczęście? Czy ja wogóle mam dość zrównoważony charakter, by z całym spokojem złożyć tak ważną przysięgę? Przecież tu chodzi o życie - o całe nasze życie...

Obejrzała się prawie z rozpaczą. Halicki szedł tuż za nią pewnym krokiem, prowadzony pod ręce przez Wandzię i pannę Henrykę, która potrafiła się wkręcić, jako drużna. Rozjaśnionym i pełnym dumy wzrokiem wodził po tłumie ludzkim.

- Jaki on piękny! - pomyślała Mania ze zdumieniem. - Nigdy nie zauważyłam, że on jest aż taki piękny! Ale nie dlatego kocham go... Kocham go, bo to mój Tazio... mój mąż...

Stanęli przed ołtarzem. Niziutki, siwiuteńki ksiądz wyszedł z zakrystji.

- Wkrótce już będzie po wszystkim - westchnęła Mania i jeszcze raz spojrzała na Tadeusza. Oczy ich się spotkały.

- Pomyśl... - szepnęła Halicki - ale w tej chwili ozwały się organy. "Veni Creator Spiritus - zabrzmiały głosy śpiewaków na chórze.

Tłum zafalował, państwo młodzi powstałi z klęczek. Mania uczuła nagle dziwny, błogi spokój. Wszystkie jej niepokoje rozwiały się. Cichym, lecz pewnym głosem powtórzyła za księdzem: "A iż cię, nie opuszczę aż do śmierci", - i znów spojrzała na kochanego człowieka; oczy jej jaśniejące powtórzyły przysięgę: nie opuszczę cię, aż do śmierci...

W kilka minut później wracali od ołtarza, zatrzymywani przez znajomych, którzy składali życzenia. Kilkadziesiąt kobiet jęło obcałowywać Manię - miała wrażenie, że niektóre z nich widzi pierwszy raz w życiu. Musiała skupić całą uwagę, by sobie przypomnieć, że to przecież koleżanki z biura i siostry koleżanek, jakies dalsze i bliższe przyjaciółki, jakies kuzynki... Ktoś szarpnął ją za suknię - obejrzała się:

- Daj mi kawałek welonu! - szepnęła panna Henryka z oczyma błyszczącymi - to przynosi szczęście!...

Przy wyjściu stali Denckowie. Drobnutka pani Ryśka zawisa poprostu na Maninej szyi, wołając:

- Winszuję, moja droga! Udał ci się twój mąż!  
- Uf! - rzekł Tadeusz, gdy się znaleźli w karecie. - Nareszcie chwilę odetchniemy. Czy się źle czujesz, kochanie? Taka jesteś blada...  
- To nic! Jestem szczęśliwa! - odparła Mania.  
- A ja! Ale dopiero za kilka godzin skończy się ta mitręga. Musimy jeszcze przetrwać obiad i toasty... Co za nudziarstwo!  
- Sam chciałeś...  
- A pewnie! Musiałem przecież pochwalić się tobą przed ludźmi...  
Konie ruszyły, Mania posłała jeszcze pocałunek w stronę zbitej gromadki, wśród której stała Wandzia z miną bardzo smętną. Jakiś przechodzień, czekając, aż go kareta wyminie, nucił półgłosem:  
- Veni Creator... Veni Creator... Veni Creator...  
- Prawda, że w kościele ładnie śpiewali? - zagadnął Tadeusz - mam przyjaciela w operze. To on zorganizował taki chór... Wogóle musisz przyznać, że ślub był pierwszorzędny...  
Uśmiechnęła się, jak do dziecka:  
- O tak. Chociaż, z pompą, czy bez pompy - sakrament pozostaje ten sam!

## Rozdział Xii.Ñ "Biedronka"

Nie był to właściwie ani dworek wiejski, ani podmiejska willa w pretensjonalnym, a nieokreślonym stylu. Był to poprostu maleńki domek, nakryty czerwonym dachem, z pod którego przeblyskiwały białe ściany niziutkie. Do tych ścian tulił się ogródek, otoczony drewnianym płotem, trochę krzywym, a dalej był sad i pole - całe pięć morgów gruntu, które ochraniał drut kolczasty.

Z tyłu za domkiem mieściły się "zabudowania" złożone ze stajenki równie lilipuciej, z kurnika, chlewa i szopy. Pośrodku podwórza, zarosłego murawą, wznosiła się ocembrowana studzienka z pompą żelazną i korytem do pojenia "inwentarza".

Całość tego gospodarstwa robiła raczej wrażenie zabawki dla dzieci, niż ludzkiej siedziby. W sadzie rosły drzewa maluśkie, karłowate jabłonie, grusze i śliwy tak wątłe, że gdyby nie drewniane podpórki, lada wiatr mógłby je z łatwością wyłamać. Jednakże ów "sad" rodził owoce, a nawet - jak twierdził poprzedni właściciel - te owoce właśnie stanowiły główny dochód z osiedla.

Istotnie, trudno było uwierzyć, aby mógł dawać dochody warzywnik z ziemią marną, w dodatku zachwaszczoną. Za to na łączce rosły trawy bujne i soczyste, dobrze odżywione przez pobliski strumyk, przepływający przez grunta sąsiedzkie.

Prześliczne położenie domku, bliskość Warszawy, a potrosze i ów strumyk, przypominający Markowo, skłoniły Tadeusza do kupna. Śledząc pilnie ogłoszenia wolnych mieszkań, wyczytał pewnego dnia w Kurjerze, iż "jest do sprzedania na bardzo dogodnych warunkach dom z ogródkiem i kawałkiem ziemi, w okolicy podmiejskiej, pięć minut od stacji kolejki".

Nie namyślając się długo - pojechał tam któregoś popołudnia i - wrócił rozczarowany.

"Stacja" kolejki podmiejskiej okazała się lichym przystankiem z budką od wody sodowej, zastępującą domek dróżnika. Było to jesienią i owe "pięć minut" zmieniło się w kwadrans człapania po błocie, wzdłuż drogi pełnej wybojów. Na dobitkę - ogródek przedstawiał się również niepokojąco: z burej, zmokłej ziemi sterczał gdzieś niegdzie uschły badył, schylały ciemne główiny ostatnie przegniłe astry, a szare, żółte i brunatne liście walały się po ścieżkach, podobne nietyle do złotych dukatów, ile do śmiecia, zgarniętego w okazałe sterty pod krzywym, walącym się płotkiem.

Poprzez ogołocony z liści sad przeświecało pole, równie bure i kawałek nieba, niewiele odeń barwniejszy. W całej tej szarzyźnie jeden domek stanowił plamę weselszą: spuścisty i fantastycznie połamany dach patrzył na

świat parą drobno pokratkowanych okienek, wyzierających zeń, jak bystre, świecące oczka z dobrodusznej, czerwonej twarzy. Domek, nad którym kilka wysokich drzew groźnie zwiesiło powykęcane konary, miał w sobie coś z krasnoludka, przyczajonego na ziemi.

Właściciel tego "folwarku" (jak szumnie nazywał swą posiadłość przysadkowaty człowieczek, oprowadzający Tadeusza po "gospodarstwie") jął się rozwódzić szeroko i długo nad pięknnością okolicy. Opowiadał - bogato ilustrując gestami ten poetyczny opis, - że tutaj właśnie trawa jest wyjątkowo zielona, niebo wyjątkowo błękitne, sad wyjątkowo pomyślnie się rozwija dzięki operacji słonecznej i umiejętnemu rozsadzeniu drzewek, a w strumyku, - choć leży poza ogrodzeniem, - można się nawet kąpać.

- O ile - dodał - lato nie jest zbyt upalne, bo wówczas, niestety woda wysycha...

Pomimo tych wszystkich ponęt - Tadeusz wracał prawie zniechęcony do sielankowego zakątka. Jednakże już w wagonie "kolejki", śledząc przez zapotniałe okienko szeregi drzew obskubanych i ogromne kałuże, rozlane po drogach, pomyślał, że prawdopodobnie listopad nie jest porą odpowiednią do podziwiania "wsi spokojnej, wsi wesołej" - i postanowił powrócić tu w lepszych warunkach atmosferycznych. W międzyczasie szukał znów dachu nad głową, obchodził brudne i odrapane kamienice wedle spisu mieszkań "do odstąpienia". Szukał - i nie znajdował, bo za możliwy, znośny lokal właściciele wymieniali zawrotną sumę w dolarach, tańsze zaś mieszkania były to przeważnie ohydne nory bez światła i powietrza, o ścianach wilgotnych i brudnych schodach, wiodących na zakurzone strychy.

W okresie tych wędrówek coraz częściej i coraz wdzięczniej rysował się w pamięci Tadeusza ów domek za miastem i - dziwna rzecz: nawet zeschnięte badyle nabrały przez oddalenie uroku.

- Kto wie - pomyślał - czy nawet tak maleńkie gospodarstwo nie stanie się szczęściem dla Mani?

I wyobrażał ją- sobie na tle białych ścian domku, w roli skrzętej gosposi, sypiącej ziarno ptactwu, przycinającej młode pędy drzewek, krzątającej się cicho po tem ciasnem, ale własnem królestwie. W dodatku wierzył głęboko, że Mania potrafiłaby nawet z tego zakątka stworzyć raj ziemski, że za dotknięciem jej ręki opiekuńczej - kto wie? - drzewa poczną rodzić słodsze owoce, pod oknami zakwitną grzędy barwnych kwiatów, - ba, nawet krzywy płótek wyprostuje się dumnie!

Po tygodniu odwiedził go właściciel "folwarku" proponując, przy ewentualnej decyzji, rozłożenie rat dalszych na kwoty tak drobne, że prawie nieuciążliwe.

- Bo widzi pan, jabym tego nigdy nie sprzedał, tylko muszę wyjechać. Otrzymałem posadę w Wielkopolsce, więc - pan rozumie? Żał mi, poprawdzie, domku, bo to i punkt doskonały i ziemia w cenę pójdzie z pewnością... Ale cóż robić? Więc jakże? Decyduje się pan? Z serca radzę. Nie będzie pan żałował tego kupna. Ja sam nigdybym z dobrej woli...

I znowu wyjechała posada, konieczność zaliczki oraz suma zadatku ("wyjątkowo dla pana").

Ostatecznie szalę decyzji przechyliła - Wandzia. Halicki powiedział jej, pod pieczęcią wielkiej tajemnicy, o swoich planach. Dziewczynka już w zasadzie była zachwycona projektem, ale gdy przybyli na miejsce, zachwyt jej przemienił się poprostu w entuzjazm.

Na samym wstępie czekała Tadeusza przyjemna niespodzianka. Nie wyobrażał sobie, że miejscowość, oglądana przed kilku tygodniami, może tak nagle i tak niewiarygodnie wypięknąć. Już sama stacyjka wydawała się jakąś okazalsza. Na dachu "budki od wody sodowej", leżała gruba pierzyna, zlekką tylko przybrukana dymem z lokomotywy. O kilkanaście kroków dalej rozpościerała się już niepokalanie biała płaszczyna, poznaczona gdzieś niegdzie kępą drzew osędziałych.

Ledwie zrobili pół drogi, tym razem po ziemi stwardniałej, dzwoniącej pod stopami, jak żelazo, - oczom ich ukazał się widok niezwykły: oto, zakopany w śniegu domek łyśkał czerwienią spadzistego dachu; podobny był w tej chwili do monstrialnej poziomki, osypanej cukrem. Konary lipy świeciły w



słońcu, jak fantastyczny diadem z brylantów na błękitnym atłasie niebieskiego puzdra. Śnieg wokoło domu iskrzył się również, przyprószony deszczem diamentów. Cienie od drzew kładły się mocnym kobaltem na wydeptanej ścieżce.

- Boże! Jak tu cudownie! - krzyknęła Wandzia i z wielkiej uciechy poczęła skakać, aż nagle, poślizgnawszy się, zapadła w zaspę śnieżną po pas. Halicki zawołał "Brawo, niech żyje zgrabność!" więc rzuciła weń wielką pecynę śniegu - za karę. Rozpoczęła się bijatyka zawzięta, bo rotmistrz nie został dłużny - i gdy wreszcie zmęczeni, zasapani i rozbawieni weszli za ogrodzenie, wyglądali podobnie jak drzewa przydrożne, koślawy płotek i domostwo: na plecach, na ramionach i czapkach bielwały śnieżne grudki, a włosy Wandzi i małe wąsiki Tadeusza osrebrzył szron.

- Boże! Jak tu cudownie! - powtórzyła znowu dziewczynka. - Przecież tu zupełnie tak, jak w Markowie... Proszę spojrzeć: ta ścieżka, ta ścieżka przed domem, wysadzona chochołami róż! I te dwa klony po bokach! I śnieg...

Nagle klasnęła w ręce:

- Wyobrażam sobie ten domek w lecie... Już go widzę! Już wiem, jaki jest! Lipy, okryte liśćmi, rzucają cień na dach - dach jest cały pokryty czarnymi plamkami... W słoneczny dzień musi wyglądać jak biedronka, naturalnie ogromna, schowana w zieloności... Bo tu będzie cudownie zielono, tu, gdzie w tej chwili jest biało. Och, widzę to, widzę!...

Umilkła, trochę zawstydzona i z pod oka spojrzała na Tadeusza, ale się nie śmiał. Patrzył z uznaniem na osóbkę, która tak dobrze "widziała" rzeczy narazie nieistniejące. Ktoby się był domyślił! Oczywiście, mała ma słuszość! W lecie musi tu być bajecznie zielono, a stare lipy rzucają cień na dach... Naturalnie! Domek wtedy napewno przypomina biedronkę - Naturalnie! Ten dach, nakrapiany cieniem lipowych liści...

- Więc - zaczął Tadeusz po chwili, - więc uważasz, że tu naprawdę ładnie?

- Ładnie? Tu jest poprostu cudownie!

- I Mania byłaby zadowolona?

- Jakto - zadowolona? Ona chyba zwarjuje ze szczęścia!

- Hm... To może lepiej nie kupować domku. Jeżeli Mania mogłaby aż zwarzować ze szczęścia...

- Ech, to się przecież tylko tak mówi! - odparła Wandzia, wzruszając ramionami.

Poszli teraz obejrzeć wnętrze domu. Gospodarz oprowadzał ich po niewielkich pokoikach, czysto utrzymanych i jasnych, mimo śnieżnego wału pod oknami. Z ust Wandzi raz po raz padały okrzyki zachwytu i radości. Paplała bezustanku, biegając tam i sam!

- Tu będzie jadalnia... A tu salonik, prawda? A tutaj chyba pokój Mani... To jest, wasz pokój - poprawiła z zakłopotaniem. - A dalej... Boże drogi, ile tu tych pokoi?

- Siedm - odparł z dumą właściciel. - Jeden znajduje się na górze, okna wychodzą na dach.

- Siedm pokoi! Siedm pokoi i kuchnia! Co wy zrobicie z takim dużym mieszkaniem?... Och, proszę tylko pomyśleć, jak się Mania strasznie ucieszy! Ona w tej chwili sądzi, że jestem na ślizgawce, a ja oglądam taki śliczny domek dla niej... Och, jaki pan dobry! Jaki... jaki... kochany! Och, ja doprawdy nie wiem...

Gospodarz patrzył i uśmiechał się przyjacielsko, a Tadeusz pomyślał: Gotów mi bestja podnieść cenę. A zresztą - pal sześć! Kupię ten domek!

Gdy Halicki w drodze powrotnej oznajmił, że zaraz jedzie do rejenta, Wandzię ogarnął niepokój:

- A może ten pan się rozmyśli?

- Nie rozmyśli się.

- A jeśli mu się zrobi żal?

- Nie robi mu się żal.

Uspokojona trochę, westchnęła:

- Żeby mi była na jego miejscu, toby mi było strasznie żal... A jak się ten domek nazywa?

- Jak się nazywa? Nazywa się "Biedronka" - wypalił Tadeusz bez namysłu.

- Doprawdy? Och, to cudownie! Bo ja właśnie łamałam sobie głowę,.. Biedronka! Jak ślicznie! I - wie pan - Biedronka przynosi przecież szczęście?

Tadeusz pomyślał, że on też do sądneho dnia łamałby sobie głowę nad wyszukaniem nazwy tak właściwej.

Rozdział Xiii.Ñ  
Wandzia pisze pamiętnik

22 stycznia

Wieki nie zaglądałam do pamiętnika, ale mi się zawieruszył w tych wszystkich przeprowadzkach. Bo tak: najpierw wynieśliśmy Olka na nowe mieszkanie. Zajmuje teraz taki wspaniały apartament po r. T.H. (mogłabym równie dobrze napisać: po moim szwagrze!) Uf! Co to była za mordęga! Olek - to specjalista od nieporządku. Nie rozumiem, jak on potrafi naprzykład tak zrobić, żeby wszystkie skarpetki były nie od pary, chociaż Mania zawsze pilnuje, jak z prania przychodzą i układa w porządku. Ostatecznie Olek zabrał na swoje gospodarstwo siedm par nowych i wycerowanych, a pięć sztuk starych samotnych powędrowało do worka ze starzyzną. I każda była innego koloru! Nawet Mania straciła wreszcie cierpliwość:

- Ty chyba na ulicy gubisz skarpetki? - powiada, a Olek tylko ramionami wzruszył.

Oj, co ja wypisuję, co ja wypisuję! Widzę już pogardliwą minę Zosi, która w swoim pamiętniku co druga strona umieszcza wiersze Słowackiego i Staffa. Phi! Jabym także potrafiła przepisać całego Ojca Zadzumionych, gdyby mi przyszła ochota. Ale mam to w książce - więc poco?

Ale Zosia, odkąd się kocha, okropnie się stała poetyczna. Na lekcjach czyta ukradkiem jakieś listy i zagryza czekoladą Fuchsa. Pełne ma kieszenie tej czekolady, ale w kominie można zapisać, jak kogo poczętuje.

Wogóle daleko mi się Zosia mniej podoba, niż przed wakacjami. Utyła (choć czytałam gdzieś, że panny schną z miłości) i strasznie zagadkowo mówi o swoim ukochanym. Ostatecznie mało mi to obchodzi, z ciekawości nie umrę, a jakby tak przyszło wyliczać, kto więcej ciekawych rzeczy przeżył w ostatnim tygodniu, toby się pokazało...

Właśnie o tych rzeczach chciałam pisać. Bo dziś, akurat dziś, minął tydzień od ślubu Mani. Ciągle jeszcze mieszkam w pensjonacie z ciocią Jadwisią (wuj musiał wrócić do Latoszyna zaraz po weselu) i nie powiem, żeby mi tu było źle! Tylko za Manią trochę mi tęskno.

Coprawda niebardzo rozumiem, czemu ciocia tak nalegała, żeby mię zabrać do siebie, dopóki będzie w Warszawie, czyli na jakie dwa tygodnie.

- Ty teraz - tłumaczyła Mani - zajmiesz się urządzeniem domu... Będiesz miała więcej zajęcia... I zresztą lepiej, żebyście choć te pierwsze tygodnie spędzili sami.

Właśnie! Już kto jak kto, ale jabym Mani najwięcej pomogła... Szkoła się kończy o drugiej... Mogłabym przyjechać wcześniej, nakryć do stołu, zobaczyć, co tam Marcinowa pitrasi w kuchni... Ale z Mani, to także ziółko! Poznałam zaraz po jej minie, że bardzo jej się uśmiechnął projekt cioci. Napewno tylko przez grzeczność spytała mnie o zdanie: "A jak tybyś chciała, Wandeczko?". Więc, naturalnie, odpowiedziałam, że bardzo jestem cioci wdzięczna i chętnie przeniosę się do pensjonatu. A Mania:

- Zobaczysz, jaką ci niespodziankę przygotujemy...

Nie dbam o niespodziankę. Już ja dobrze widzę, jak się Mania zmieniła... Oddawna widzę! Najpierw były przysięgi, solenne przyrzeczenia, że zawsze, że nigdy... - i tak dalej - a teraz przez cały tydzień ani zajrzała. Ho ho! wiem, czemu: bo pociąg odjeżdża o czwartej piętnaście, więc Mania pędzi, jak szalona, żeby się ze swoim Tadziumkiem spotkać na dworcu. I do Olka także nie zaszła: czasu nie ma, biedaczka... Coprawda, jest o piątej

następny pociąg, ale gdzieżby Mania godzinę wytrzymała bez swojej "Biedronki!"

24 stycznia

Wczoraj ciocia zabrała mnie do teatru wieczorem, bo dziś święto, więc mogłam się wyspać. Siedzieliśmy w łoży: ciocia, Zbyszek, ja i jeden Pan, który ciągle gubił binokle, a w antrakcie przyniósł duże pudełko cukierków. Pomimo to wściekła byłam na niego. Ciągłe rozmawiał półgłosem, zamiast słuchać. Nawet w tej scenie, gdzie Radamus śpiewa: "O boska Aido!"

Przedstawienie było śliczne, tylko sama Aida strasznie gruba. Patrząc na nią, przypomniałam sobie Sabinę Kłusaczkównę i o mały włos nie parsknęłam śmiechem. Wyobraziłam sobie nagle, co by to było, gdyby zamiast tej Aidy zjawiła się Sabina i zaczęła czulić się swoim baranym głosem do Radamesa...

Ciekawam, co się dzieje z Sabiną? Podobno pani Kłusaczkowa (oj, to nazwisko) obraziła się na przełożoną, że takie "zdolne, tylko nieśmiałe dziecko" zostawili w trzeciej klasie - i oddała Sabinę do innej szkoły. Z tą nieśmiałością było rozmaicie. Przecież to ona wobec całej klasy pokazała profesorowi geografji język, że ją odesłał od tablicy, bo nie wiedziała, gdzie się znajduje Poppokatepetl! Coprawda, profesor właśnie zapisywał w dzienniku dwóję i nie widział, jaki piękny i długi język ma ta tłuściocha!...

31 stycznia

Wiem już, kto jest ów "tajemniczy" i "nadzwyczajny" kolega brata Zosi, w którym się zakochała podczas wakacyj... Jak sobie przypomnę, to jeszcze teraz śmiać mi się chce! Było to tak: wracając ze szkoły, zaszłam do Olka powiedzieć mu, że ciocia kupiła dla niego bilet na premierę jakiejś nowej sztuki. Stróżka na dole dała mi klucz i powiedziała, że "pan student tylko patrzeć, jak nadejdzie, ale panienska może poczekać".

Dobra sobie! Właśnie ja będę pytała o pozwolenie. Ale - poszłam na to czwarte piętro i czekam. Mieszkanie, coprawda, nie osobliwe: wszystkie graty, co gorsze i bardziej zniszczone, leżą tutaj na przechowaniu, a do tego pociejowa Olek jeszcze dodał całe sterty zakurzonych i brudnych papierzyków, które walają się na biurku, na łóżku, na podłodze i nawet na umywalce. Kurz w całym pokoju taki, że palcem można pisać. Żeby Mania zobaczyła te porządki, toby się złapała za głowę. Rozglądałam się więc, aż tu widzę - na poręczy krzesła wisi marynarka Olka (i to ta lepsza!) ale w jakim stanie! Dół zakurzony, kawałek podszewki odstaje... Pomyślałam sobie: trzeba zrobić niespodziankę i zaszyć. (Mania napewno by mię pochwaliła.) Wzięłam więc marynarkę oglądam, - aż tu za podszewką podartej kieszeni coś szeleści; myślałam, że może pieniądze - Olek często po kieszeniach pieniądze rozkłada, - ale nie. Ta był jakiś list złożony w kilkoro. Przysięgam, że anibym spojrzała, tylko pismo wydało mi się znajome. Więc tak, troszeczkę, rozwinęłam - i zaraz rzuciło mi się w oczy:

"Twoja do grobowej deski, a nawet i na tamym świecie Zofja".

Już nie mogłam wytrzymać - przeczytałam wszystko... Naturalnie, list od kochanej Zosi! Takie śpiczaste litery tylko ona jedna stawia w całej klasie, bo się uczyła kaligrafji w klasztorze - (u nas jest moda na pismo okrągłe).

A ten list! Nawet urywki ze Słowackiego przepisała, te, co i w pamiętniku. A poza tem - same czułości: "Kiedyż cię znów zobaczę, mój najukochańszy? Serce moje tęskni i woła do ciebie... Dzisiaj zupełnie na lekcji nie uważałam". - Aha, wiemy coś o tem! - "bo ciągle myślą byłam przy tobie... Ach, jak to okropnie, że tłum ludzki rozdziela nas... Moje koleżanki, to dzieciaki, z którymi nie mam nic wspólnego..." - Właśnie! - "...Czuję się taka samotna, a życie zdala od ciebie wlecze się, jak karawan..."

Więcej nie pamiętam, ale cztery bite strony zapisała samymi westchnieniami.

No proszę! To te wszystkie miny i wiersze i czekolada - odnosiły się do Olka! Tegobym się nigdy nie spodziewała nawet po Zosi, chociaż zawsze podejrzewałam, że mocno przesadza.

A jaka skryta! Wiedziała przecież, że to mój brat - i słówka nie pisnęła. A ile nam naopowiadała o jego twarzy "nieziemsko pięknej" i "bujnej czuprynie poety". - Ha ha! A to wszystko Olek, ten poetyczny Olek, który zjada na obiad cztery kotlety i jeszcze narzeka, że nigdy się porządnie nie najadł!

Wogóle im dłużej żyję na tym świecie, tem więcej przekonuję się, że wszystko inaczej wygląda w myśli, inaczej w opowiadaniu, a jeszcze inaczej - kiedy się dzieje naprawdę. Chociażby naprzykład moje "gargule", jak o nich myślę wieczorem, przed zaśnięciem - to widzę nadzwyczajne postacie, czasem tak piękne, albo tak szkaradne, że aż serce zamiera. Kiedy o nich opowiadam Hani, lub Zosi śmieją się, a kiedy je narysuję, nie są ani zanadto piękne, ani zanadto wstrętne, ani nawet śmieszne. Robią się z nich wtedy poprostu gryzmoły, które Mania chowa niewiadomo poci.

I naprzykład z tą miłością też jest tak samo: jak się k....łam w r. T.H. - wyobrażałam sobie, że to jakiś nadzwyczajny człowiek! A teraz, kiedy ożenił się z Manią i kiedy się już w nim nie k....., (to byłaby przecież zbrodnia!) wydaje mi się prawie taki sam, jak inni ludzie. Niezupełnie, ale prawie. Och, zdaje mi się, że ja jeszcze chwilami... niestety... !!!

Coby powiedział Zbyszek, któremu przysięgłam uroczyście, że zrobię, co w mojej mocy, by wyrzucić z serca resztki tej wielkiej M.....!!!

2 lutego

Dziś widziałam Manię. Przyszła prosto z biura. Nie zmieniła się wcale, ale to wcale. A mnie się zdawało, niewiem dlaczego, że jak zostanie panią Halicką, to będzie jakaś... jakaś... Jednym słowem, że się z niej zaraz zrobi dama. Tymczasem Mania przyszła najzwyczajniej, nawet w tem samym podniszczonym palcie, - bo deszcz padał - i najzwyczajniej wypytywała: "A jak się uczysz? A czy nie dostałaś kataru? A czy się cioci nie naprzykrzasz?"

Ciocia wyjeżdża za kilka dni, pojutrze przenoszę się do "Biedronki", Tak się cieszę! Jednakże Mania - to Mania i nawet jej bury wydają mi się najmiłsze. Ciocia Jadwisia naprzykład nigdy mi bur nie sypie, ale czasem, jak robi te swoje okropne "duże oczy" - to czuję, że się staję purpurowa. Wyobrażam sobie, coby to było, gdybym tak naprzykład siadła przy niej z nogami na krześle, albo - zagwizdała! Oczy cioci zrobiłyby się chyba, jak koła młyńskie, tak jak w tej bajce Andersena...

12 lutego

Siedzę przy własnym stole, na własnym krzeselku, we własnym pokoju! Czy to możliwe? Jeszcze nie mogę uwierzyć w takie szczęście. A przecież - to chyba prawda.

Ach, jacy oni dobrzy oboje! Nigdybym się nie domyśliła takiej właśnie niespodzianki...

I ta droga, kochana Mania! Ile ona musiała się napracować, żeby poustawiać wszystko tak właśnie, jak ja lubię, w tym ślicznym pokoiku, którego drzwi wychodzą na strych, a okno na dach "Biedronki".

Jak mię tu wprowadzili - poprostu osłupiałam. Więc te śliczne mebelki z jasnego drzewa - to moja własność? I ten budzik przy łóżku? I to cudowne pudło z akwarelami, otwarte na stole? Tadzio (mówię mu "Tadziu" - od tygodnia!) upewnił mię, że ta naprawdę dla mnie i dodał:

- Trzeba ci wiedzieć, że takimi farbami malują prawdziwi, wielcy artyści. Sam Fałat napewno innych nie używa!

Och! do dziś dnia ochłonać me mogę i wydaje mi się, że to wszystko sen...

13 lutego

Wszystko tu jest najprzyjemniejsze, oprócz jednej rzeczy... Brr!... to wstawanie pociemku! O ósmej trzeba już być na stacji, żeby się nie spóźnić do szkoły. Nowy budzik terkoce bardzo głośno... Zrywam się, jak oparzona, siadam na łóżku i przecieram oczy: w pokoju ciemno i zimno, za oknem wiatr wyje... Brrr...

W takiej chwili mówię sobie, że dziś chyba za żadne skarby świata nie wstanę. Nie pojedę do szkoły, niech się dzieje, co chce. I właśnie wtedy słyszę na dole głos Mani:

- Wandeczko, śpisz?

Naturalnie, odpowiadam, że już wstaję, bo inaczej biedaczka musiałaby się taszczyć do mnie po schodach... No - i trzeba wstawać natychmiast, inaczej byłabym podłym kłamczuchem.

W duchu podziwiam Manię. Kładzie się spać ostatnia (oni tam nie wiedzieć poco godzinami wysiadują w jadalni przy kominku), a pierwsza jest na nogach, nawet przed Marcinową. Sama przygotowuje drugie śniadanie dla mnie, dla siebie i dla rotmistrza - wydaje Marcinowej ostatnie polecenia, budzi męża, - (szczęśliwiec wyjeżdża dopiero w godzinę po nas, bo mu się tak nie śpieszy!) i jeszcze ma czas wypytać mię przy śniadaniu z geometrii, albo z fizyki.

Jazda kolejką jest zabawna: zawsze ci sami ludzie wsiadają na tych samych stacjach. Znam już doskonale siwego pana z teczką pod pachą i dwóch chłopaków, którzy czekając na pociąg, grają w "klipę", - i śliczną, młodą panią, która codziennie odprowadza na stację swego męża - i jeszcze sporo osób. Zakładamy się z Manią, czy zasapany jegomość w jasnym palcie znowu się spóźni i wskoczy do ostatniego wagonu, czy też nie zdąży się już ucześcić i będzie biegł zdaleka, machając rękami, jak wiatrak.

Mamy już nawet nasz ulubiony wagon: naprzeciwko siedzi zwykle młody ksiądz. Przez całą drogę trzyma oczy spuszczone i jeśli się nie modli z książki, to cicho odmawia różaniec. Po drugiej stronie - za przejściem, - siedzą dwie panienki. Jedna bardzo blada, druga bardzo rumiana. Blada patrzy w okno - potem na swoje paznokcie - potem znowu w okno i wzdycha. A czerwona łąpie oczami na wszystkich i ciągle się do kogoś uśmiecha - nawet do księdza!

Za nami siedzi bardzo wysoki pan z nosem utkwionym w gazecie. Czasem - zapala papierosa. Wtedy jego najbliższa sąsiadka, obrzydliwa tłusta baba (przypomina mi trochę Ciszewską) odzywa się surowym głosem:

- To przedział dla niepalących.

- Och, przepraszam, znów zapomniałem! - mówi wysoki pan, chowa papierośnicę i znowu pogrąża się w czytaniu gazety.

Wracając ze szkoły, spotykam tylko chłopców od klipy i czerwoną panienkę. Inni pasażerowie jadą razem z Manią a niektórzy nawet jeszcze później. Okropnie lubię myśleć o tych ludziach i wyobrażać sobie ich życie. Ta śliczna pani, co odprowadza męża, musi być bardzo dobra, ale pewnie bardzo delikatnego zdrowia. Kaszle trochę. a w słotne dni nie wychodzi nigdy na stację... Ciekawam jaki jest ich dom - mniejszy od naszego, czy większy? A może mieszkają w jednej z tych brzydkich willi drewnianych?

Lubię bladą panienkę, chociaż jest smutna. Nie wiem dlaczego, wyobrażam sobie, że ma w domu macochę, która ją wypędza do roboty i jeszcze się gniewa, jak panienka przywiezie zamało pieniędzy.

A ten wysoki pan z teczką mógłby być ministrem... A ta tłusta pani, która niecierpi dymu, na pewno ma sklep z wędliną za rogatkami...

Wczoraj zapomniałam na śmierć, że to nie moi znajomi i wszedłszy do wagonu powiedziałam księdzu: "dzień dobry". Odkłonił mi się natychmiast i znowu zaczął szeptać swoje pacierze...

3 marca

Dziś rano wiatr był zupełnie ciepły i pachniało taką wiosną, ale to taką prawdziwą wiosną, że Mania powiedziała do Marcinowej:

- Trzeba przetrzepać wszystkie ubrania na strychu, bo się mole mogły zagnieździć.

Ciekawam, skąd tu mole? Chyba, że przyjechały w kufrach z Warszawy.

Cieszę się, że wiosna nadchodzi, ale mi żal kominka i tych wieczorów, takich okropnie miłych...

Siedzimy w trójkę, bo Olek przyjeżdża w sobotę, a Zbych w niedzielę i to niezawsze... Siedzimy więc, rotmistrz głośno czyta, Mania szyje - a ja maluję "gargule" nowymi farbami. Potem - mój szwagier składa książkę i zwraca się do żony:

- Zagrałabyś partyjkę szachów?

- Ciekawam - uśmiecha się Mania - kto zaceruje ten stos bielizny?

Wtedy rotmistrz pyta mnie:

- Jeśli chcesz, to cię nauczę.

Zaczyna się nauka, w pięć minut przegrywam jedną partję, w dziesięć drugą - ogarnia mię wściekłość i wołam:

- Et, dosyć!.... To obrzydliwe nudziarstwo!

Zamiast szachów zaczyna się gawęda. Naturalnie, o czemby, jak nie o "Biedronce"! Mania ma tysiąc pomysłów - jak je zacznie wyliczać, to końca nie widać. A to się zrobi - a to się dokupi - naturalnie, będziemy hodowali drób, bo w pobliżu miasta drób się doskonale opłaca. Wkrótce kupi się drugą krowę...

- Tylko to już ja załatwię, bo się znam na tem - mówi Mania.

Nieraz rozpoczyna się sprzeczka, bo Mania chce inaczej, Tadeusz inaczej, a ja także wtrącam swoje trzy grosze...

O, kłócimy się porządnie, ale zawsze kończy się na śmiechu. O dziesiątej Mania przypomina, że dla "niektórych osób" ostatni czas na spanie...

Naturalnie, to do mnie pite. Och, kiedy ja nareszcie skończę szesnaście lat! Wtedy będę dorosła - bo przecież nawet mogłabym wyjść zamaż, gdybym chciała...

Ciekawe, czy ja kiedy wyjdę zamaż? Czasem sobie o tem myślę... Tylko za kogo? Ze wszystkich znajomych jeden Zbyszek oświadczył mi się już masę razy, ale Zbych się przecież nie liczy...

12 marca

A to jakaś feralna niedziela! Najpierw - ja pokłóciłam się z Olkiem na śmierć i życie - o Zosię! Już nawet nie pamiętam, od czego się zaczęło, dość, że Olek nazwał mnie smarkatą, a Zosię "głupią gęsią". Wtedy już nie mogłam wytrzymać i wypaliłam:

- Ślicznie! Tygodniami nosisz po kieszeniach czułe listy od Zosi, a potem mówisz o niej "gęś!"

- A, więc to panna Wanda zajmuje się szperaniem w moich rzeczach? Winszuję! Przypomnij sobie tylko z łaski swojej przysłowie, że ciekawość - pierwszy stopień do piekła!

- Ja wcale nie przez ciekawość! Ani mi się śniło... Co mię obchodzą cudze listy...

- Ale je czytasz pokryjomu...

- Wcale me czytam! Nieprawda! To tylko jeden raz, niechcący...

Zaczęliśmy się kłócić. Nadeszła Mania, na wszelki wypadek zburczała Olka, potem zaczęła wypytywać, o co nam chodzi. No, i wszystko wyszło najaw. Opowiedziałam i o Zosi i o marynarce i że Olek takie listy pisuje, a Zosia odbiera je na poczcie poste-restante, boby ją przecież wyrzucili z internatu...

- To bardzo źle, Wandziu, że się mieszasz do cudzych spraw - rzekła Mania spokojnie, ale tak, jak to ona potrafi.

Rozplakałam się i wybiegłam z pokoju. Olek bardzo długo sprzeczał się z

Manią i wreszcie oznajmił uroczyście, że na obiedzie nie zostanie, bo ma już dość awantur, że baby są wogóle nieznośne, a "pensjonary", które żarty biorą na serjo i z zabawy robią tragedje - to już najgorsze ze wszystkiego.

Obiad jadłyśmy tyko we dwie. Całe szczęście, że Tadeusz miał jakieś interesy w Warszawie i przyjechał dopiero nad wieczorem. Ale Mania była smutna, skarżyła się na ból głowy i oczy miała jeszcze zaczerwienione - więc zaraz się domyślił, że coś zaszło.

- No - i proszę ja kogo! Zamiast pocieszyć Manię, sam zrobił jej awanturę! Wszystko jej wymówił: że zmizerniała, że się zapracuje, że przez to jest zdenerwowana i z igły robi widły.

Na zakończenie dodał takim tonem, jak to on czasem potrafi:

- I proszę cię stanowczo, żebyś rzuciła biuro!

Manię, która jest zawsze taka cicha i zgodna, coś skorciło zapytać:

- A cóż ma jedno do drugiego? - Przecież bez pracy żyćbym nie potrafiła...

Wtedy ten szkaradny rotmistrz skoczył do Mani, (aż się zląkłam, bo myślałam, że ją chce udusić):

- Nie będę dłużej patrzył, jak się zamęczasz pracą nieodpowiednią! Tu masz swój dom, tu masz swój warsztat, innego ci nie potrzeba! Chwalić Boga, mamy z czego żyć i chyba moje żądanie nie jest dziwactwem, a gdyby nawet tak było, to - proszę cię - abyś ze względu na mnie spełniła je!

Właściwie, to miał rację, ale czemu tak się rozgniewał na Manię właśnie dziś, gdy biedaczka miała uszy spuchnięte od krzyków? Ci mężczyźni są dziwni...

I nie wiem, co ma biuro do Olka? Z tem wszystkim jestem wściekła na Zosię. Właściwie ona była powodem całej tej historii. Jeżeli myśli, że jej podpowiem chociaż jedno słowo - to się myli. Od dziś - niech sobie radzi, jak może!

2 kwietnia

Mieliśmy furę gości. Aż czterech panów przyjechało samochodem. Zostali na podwieczorku, (Marcinowa nagwałt upiekła kruche ciasteczka) a potem oglądali Manine gospodarstwo i strasznie wszystko wychwalali. Rotmistrz chodził dumny, jak paw, zupełnie, jakby to była jego zasługa, że w Biedronce jest teraz tak ładnie i wesoło!

Ale prawda! Mamy piętnaście cudownych kurczątek, żółciutkich - a wkrótce będzie więcej, bo jeszcze dwie kury siedzą na jajach.

Mamy teraz drugą krowę i trzy prosiaki. Mania powiada, że z tych prosiaków już na jesieni będą wspaniałe świnie, a ona się na tem zna! A na przyszłą wiosnę będziemy sprzedawali prosięta.

Mamy też psa - owczarka i chłopca - ogrodniczka. To wszystko dzieło Mani! Od pierwszego nie jeździ do biura, ale zato powiedziała Tadeuszowi, że będzie ostatnią niedołągą, jeżeli za rok Biedronka nie przyniesie co najmniej tyle pieniędzy, ile płacili urzędnicze dziewiętej klasy...

Już się więcej nie kłóca. Mania jest teraz bardzo wesoła. Co wieczór obmyśla ze swoim mężem, czego jeszcze brakuje w gospodarstwie. Namysłają się, radzą i okropnie często szepcą coś sobie na ucho.

Za jakie dwa, trzy tygodnie będziemy mieli na sprzedaż rzodkiewki. Mania obiecała, że ja je zawiozę do znajomego sklepu. A potem się zaczęły truskawki. Teraz ich nie tak wiele, tylko trzy grędy, ale Mania powiada, że za dwa lata będziemy sprzedawali moc truskawek, szparagów, malin, kalafjorów i Bóg wie czego.

Tadeusz się uśmiecha, jakby niedowierzał. A przecież, jeżeli Mania mówi - to święte.

Zresztą - wszyscy jej pomagają, jak kto może. Nawet Olek całe popołudnie sobotnie grzebie się w ziemi, a Zbych własnoręcznie wykarczował wszystkie krzaki agrestu, który nie daje owocu i tylko miejsce zabiera.

Zbych tak polubił "Biedronkę", że nawet prosił Manię, aby go wzięła "na praktykę".

- Ja i tak - powiada - nie skończę szkoły, bo mię prędzej, czy później wyrzucą. A zanim się ożenię i zacznę gospodarować...

Przy tem "ożenieniu" zawsze na mnie okiem łypnie. A to dlatego, że kiedyś (byłam tego dnia jakaś rozmazgajona) odpowiedziałam na jego zwykłe oświadczyzny: Zobaczę jeszcze... Może wkońcu z rozpaczy wyjdę za ciebie...

Więc on teraz wyobraża sobie Bóg wie co...

7 maja

Nie mam czasu pisać. Wszystkie wolne godziny spędzam w ogrodzie. Och, jak tu teraz cudownie! Czereśnie już wspaniale zakwitły, kwiaty jabłunki tylko patrzeć, jak się zupełnie rozwina... Kasztany mają już ogromne liście. "Biedronka" tonie w zieloności.

Mania teraz zupełnie do miasta nie zagląda. Gdy ją rotmistrz namawia, żeby z nim pojechała do teatru "rozerwać się trochę" - wzrusza ramionami i śmieje się:

- POCO? Czyż to nie najpiękniejszy teatr? W dodatku - dekoracje codziennie nowe!

Za pięć tygodni nasza buda się zamyka. Wakacje! Wakacje! Ciekawa jestem, czy Zosia dostanie poprawkę? Przedwczoraj znów się "sypnęła" z algebry. Co to jest, że ja się dosyć dobrze uczę, chociaż się wcale prawie nie uczę? Podobno profesorowie powiedzieli na sesji, że jestem pierwszorzędnym leń, ale że mam zdolności... Pewno i Zbyszek ma także zdolności, tylko niecierpi szkoły.

Zeszyt mi się kończy. Jakie to dziwne: dziesięć miesięcy temu, gdy go dostałam od rotmistrza, nie mogłam sobie wyobrazić, że zapiszę tyle kartek. A zapisałam - i to samymi głupstwami. Mój Boże, jak to trudno pisać prawdziwy pamiętnik, żeby wszystko było pokolei, żeby był jakiś ład i skład. Dopiero teraz widzę, że Hania miała słuszność: trzeba było zacząć od najwcześniejszych lat...

Tylko że Hania ze swoim pamiętnikiem jeszcze nawet nie wstąpiła do szkoły: opisuje dopiero freblówkę i ma siedm lat. A ja ciągle myślą wybiegam naprzód i bardzo często widzę dzień, w którym skończę szkołę i - czy ja wiem, co wtedy będzie? Ale to jest właśnie najciekawsze: domyślać się.

Mój Boże! Na początku tego pamiętnika byłam taka nieszczęśliwa, tak się beznadziejnie kochałam w r. T.H.! (Teraz już mogę napisać to słowo, bo przecież to było dzieciństwo!!!) Ach, gdyby on się kiedy dowiedział, ile westchnień posłałam w jego stronę! Można spłonać ze wstydu!

Tylko niech sobie Zbyszek nie wyobraża, że jak jedno wielkie uczucie wygasło na zawsze w mojem sercu - (kochać się w rodzonym szwagrze, to przecież śmieszne i dziecinne!) to zaraz zakocham się w kim innym. Owszem, przy najbliższej sposobności dam mu do zrozumienia, że pogardzam młodymi ludźmi, którzy nie umieją skończyć ośmiu klas gimnazjalnych bez poprawek z matematyki...

Ci mężczyźni są strasznie zarozumiali. Raz im powiedziec dobre słowo, to sobie zaraz wyobrażają nie wiem co...

Rozdział Xiv.Ñ

"Złote niebezpieczeństwo"

Rotmistrz Tadeusz Halicki szedł wolno szerokim chodnikiem jednej z najruchliwszych ulic. Był tak zajęty własnymi myślami, że nie dostrzegał nawet uroczych spojrzeń, rzucanych zukosa przez młode strojne kobiety, dumne ze swych letnich kostjumów "dernier eri" i pięknie ukarminowanych usteczkach.

Rozwagał właśnie sprawę mieszkania po ciotce Leokadji. Trafiała się nadzwyczajna okazja: jeden z dawnych sublokatorów nieboszczki otrzymał



jakieś wysokie stanowisko, zaręczył się z bogatą panną i zaproponował Tadeuszowi kupno całego lokalu. Suma ofiarowana była nietylko bardzo wysoka, lecz - i to właśnie zwiększało pokusę - płatna gotówką w dolarach.

- Prosiłbym o rychłą decyzję - zaznaczył ów jegomość - ponieważ zależy mi na czasie i w razie odpowiedzi odmownej będę zmuszony obejrzeć się za innym mieszkaniem.

Otóż to właśnie. Halicki czuł lekką awersję do podobnych transakcji; w gruncie rzeczy potępiał je nawet, jako specjalny gatunek łatwego, a niezbyt uczciwego zarobku i był pewny, że Mania, której nie wtajemniczył jeszcze w tę sprawę, przyznałaby mu słuszność. Z drugiej zaś strony - całkowicie umeblowane mieszkanie było przecież jego niezaprzeczalną własnością. Dotychczas nie miał zeń wprawdzie korzyści, nie mogąc pozbyć się ostatniego sublokatora. Teraz - o ile szczęśliwy narzeczony wyprowadzi się - "pięć pokoi z łazienką, elektrycznością, kuchnią gazową i wszelkimi wygodami" - zaświeci pustką a wynając je, znaczyłoby to samo, co oddać meble ciotczyne w dzierżawę niemal wieczystą, bo nieokreśloną żadnym terminem.

Więc chyba sprzedać? Dziesięć tysięcy złotych - suma ofiarowana - to nietylko pokrycie ostatnich rat za "Biedronkę", ale także trochę nadprogramowej gotówki. Halicki miał wprawdzie część spadku ulokowaną w przedsiębiorstwie, które miało widoki znacznych dochodów, ale narazie kapitał był unieruchomiony.

- Dziesięć tysięcy złotych - szepnął do siebie - to będzie w dolarach... zaraz... To będzie w dolarach po kursie giełdowym...

Z tych obliczeń wyrwał go głos znajomy:

- Tadek! A stójże, u Boga Ojca! Dokąd tak pędzisz, że ludzi roztrącasz? Podniósłszy głowę ujrzał Adamskiego i Zygmunta Ładę, który rozkrzyżował ramiona tak długie, że zagroziły drogę nietylko Halickiemu, lecz i paru obojętnym przechodniom.

- Serwus, chłopie! Kupę czasu nie widzieliśmy się! Co porabiasz? Dokąd tak spieszysz? Zakopałeś się żywcem w tej swojej "kolonji" i starych przyjaciół nie poznajesz na ulicy - wykrzykiwał Munio, Adamski zaś z powagą wycedził:

- Jeśli masz chwilę czasu, chodź z nami do cukierni. Pogadamy przy kawce.

- Z chęcią - odparł Tadeusz. - Nawet przy tej okazji chciałbym się z wami naradzić... Muniek, ty przecież jesteś adwokatem... Chciałbym się ciebie poradzić...

- Rozwodzisz się może? Wiesz, toby było na czasie, ale niestety nie dla mnie, bo ja jestem "kryminalistą"... Będiesz w licznym towarzystwie, bo wszyscy albo już się porozwodzili, albo są tego bliscy... - zaśmiał się Łada. - Jeden tylko Komornicki do reszty stracił głowę i chce wlec przed ołtarz swoją dziewczynkę...

- Dajże pokój, Muniek, co ty pleciesz! - reflektował go poważnie Adamski, a Tadeusz wybuchnął śmiechem:

- Rozwieść się? Ja? Ależ mój drogi, widzisz przed sobą najszczęśliwszego człowieka, który dzień i noc błogosławi niebiosom...

- Wszyscy tak kiedyś mówili - odparł Munio z najniewinniejszą miną. - Ale dajmy temu pokój. Zresztą, jeśli jest tak, jak mówisz - tem lepiej. Przynajmniej mamy pewną rozmaitość. Chodźmy na kawę!

- Chodźmy na kawę.

- Doskonale. Wiecie, - zaczął Tadeusz, gdy skręcali w stronę modnej, uczęszczanej cukierni - wiecie, że się za wami stęskniłem! Dopiero teraz czuję...

- Pewno. Nie miałeś na to czasu, żując obrok szczęścia rodzinnego. W takich okolicznościach nawet przyjaciele tracą rację bytu - rzekł Adamski. - Prawdę mówiąc, trochę ci zazdroszczę. Tu nietylko jest nudno, ale zaczynają się dziać rzeczy straszne...

- Przesadzasz - mruknął Munio.

- Ja nigdy nie przesadzam. Raczej... niedosadzam, jeżeli można użyć takiego wrażenia. To aż zadziwiające, żeś ty jeszcze nie złożył wizyty w konsystorzu...

- I nie złożę jej, możecie być pewni. Więc co się dzieje? Czy

rzeczywiście przez tych kilka tygodni... Zaraz, kiedy to ja rozpocząłem urlop? Piętnastego lipca? Więc od piętnastego lipca szczęśliwe małżeństwo stało się mitem w Warszawie?

Stanęli właśnie przed cukiernią.

- Proszę cię - Adzio uprzejmym gestem wskazał Tadeusowi stolik pod ścianą.  
- To nasze zwykłe miejsce. O tej godzinie żaden żydowin nie ma prawa go zajmować.

Znalazły się tylko dwa wolne krzesła. Zygmunt Łada udał się na poszukiwanie trzeciego. Tadeusz spytał po chwili:

- Czy i Denckowie się rozchodzą?

- No... jeszcze nie - odparł Adamski powoli, odmierzając każdą sylabę na aptekarskiej wadze namysłu. - Ale i to pewnie wkrótce nastąpi.

- Co ty mówisz? ona, co? Flirt? Romans? Przejadła się swym Rożkiem? Zaczęła szukać nowych wielbicieli?

- Wszystko potroszeczką. Jakbyś zgadł. I flirt i romans... (zresztą, może się mylę?) i jeszcze pewnie kilka subtelniejszych odcieni tego samego.

- Co ty powiadasz! Wiesz, to mnie zaskoczyło!... Roger ją poprostu uwielbiał. A i ona, o ile słyszałem...

- Mój kochany - rzekł Adamski jeszcze ciszej, wolniej i spokojniej - są kobiety, które tak lubią zmianę, że wyrzekną się trwałego szczęścia dla niepewnej chimery. Mam wrażenie, że pani Ryśka należy do tej właśnie kategorii. A oto jeden z paziów w jej królewskim orszaku...

I wskazał oczyma Ładę, który wciąż jeszcze upędział się za wolnym krzesłem po olbrzymiej, dusznej i zadymionej sali.

- Szkoda - szepnął Tadeusz. - Od pierwszej chwili byłem pewny, że to flirciarka, jakich mało... Ale żeby znowu, jak powiedziałaś...

- Et, mój drogi, przedewszystkiem, nie przesadzajmy. Należy wystrzegać się przesady, zwłaszcza w tych sprawach. Pokaż mi dzisiaj kobietę - za wyjątkiem twojej żony - któraby się nie ubiegała o zdobycze łatwe, a przecież dodające jej - przynajmniej we własnych oczach - czy ja wiem czego? splendoru, błyskotliwości, przewagi nad rówieśnikami... Pani Ryśka nie jest ani o wiele gorsza, ani lepsza pod tym względem od innych. Lubi zawracać głowy, a że je łatwo zawracać potrafi, bo szelma umie wyzyskiwać swój wdzięk (ma go istotnie dużo) - więc wielbiciele, niczem strute muchy, padają u jej minjaturowych stóp... Nie biorę już w rachubę takiego Taffa, ani nawet Munia Łady, choć jego zapał do Nanety zgasł jak zdmuchnięta świeca, z pojawieniem się na horyzoncie tej złotej gwiazdy... Ale pani Ryśka jest wyrafinowanym myśliwym, zwykły kot-szarak jej nie wystarcza. Tęskni za inną zwierzyną. Uśmiecha się jej polowanie na głuszce, które nadzwyczaj trudno podejść, ale gdy się raz zatokują... Nie, to nie jest pospolita flirciarka salonowa, to nie jest zwykła kokietka! To jest kokietka par excellence wyrachowana, świadoma swoich celów i nie przebierająca w środkach. Bywam u nich dość często i napatrzyłem się, jak zręcznie manewruje. I - muszę przyznać, bierze się do dzieła ze znanstwem, zadziwiającym w jej wieku. Ona nie zadawała się tem, że ma powodzenie, ona poprostu nie znosi, aby ktokolwiek oparł się jej urokowi. Uważa to niemal za zuchwalstwo, które należy przełamać coute que coute i - że tak powiem - ukarać zupełnym pogębieniem śmiałka.

- A - cóż na to wszystko Roger?

- Roger?

- No tak. Przecież on chyba widzi to wszystko...

- Widzi, albo nie widzi, lub... nie chce widzieć. Są mężczyźni, którzy wierzą kobiecie przez głupotę i niedoświadczenie, albo właśnie dlatego, że mają mądrość życiową i - doświadczenie. Otóż - Roger ma duże doświadczenie, trochę mądrych teoryj i - trochę z głupca, który zapomina, że każde doświadczenie stosuje się do odnośnej sytuacji, a nie do żadnej nowej, co razem wzbudza we mnie przekonanie, że ma, lub wkrótce będzie miał rogi, jako nieodzowny skutek swej polityki bierno-odpornej...

Tadeusz się uśmiechnął:

- Analizujesz może i ściśle, ale czy sam nie wpadłeś już w ten potrzask, który, jak słyszę, rozkoszne to stworzenie zastawia na każdego?

- A, przepraszam! Ona zastawia sidła tylko na tych, których nie zdoła pokonać w pierwszym złożeniu. Trupy pozostawia w spokoju, rannych od czasu do czasu zaszczyca troskliwym zainteresowaniem. Ja - pozwalam jej wierzyć, że jestem zdobyczą, aż nadto łatwą. Tout court, - schlebiam jej na każdym kroku i... mam spokój.

- Więc to tak niebezpieczna osoba i tak wszechmocna? Ha ha! Przypuszczam, że jednakże natrafia czasem i na "wyjątkowo" odporne typy. O ile nie jest w czymś guście...

- Ech, ona potrafi być w "guście" każdego!

- Śmiej się. Ja naprzykład...

- O tobie w tej chwili nie myślałem. Ty masz wyjątkową żonę - skarb i znając cię, wiem, że potrafisz to cenić.

- Tak - szepnął Tadeusz - masz słuszność. Zawsze o takiej marzyłem.

- Tem bardziej pilnuj skarbu.

- Ostrzegasz mię, bym zbyt nie ufał sobie? - zawołał Halicki, szczerze rozbawiony tą myślą.

- Nie. Ja chciałbym tylko do twoich słów wprowadzić małą poprawkę. Nie mów: "zawsze o takiej marzyłem" - powiedz: o takiej zawsze marzę.

- Cóż to za różnica?

- Spełnienie marzeń ma jedną niebezpieczną stronę - grozi przesytym.

W tej chwili zbliżył się Łada:

- O czym mówicie? Doleciały mię jakieś groźne słowa: przesyt... marzenie...

- Zmieniłeś ich porządek - mruknął Adamski, zabierając się do ostygłej kawy.

- Ale, ale - zawołał Munio - wyobraźcie sobie, że są tu także Denckowie... Właśnie musiałem obiecać pani Ryśce, że was do nich sprowadzę...

- To dlatego w całej kawiarni nie było wolnego krzesła! - ozwał się Adzio z tak dobrodusznym wyrazem twarzy, że trudno było doszukać się w tych słowach lekkiej ironji.

- Więc jak? Idziecie? Pani Ryśka zapowiedziała, że mi uszy oberwie, jeżeli nie wrócę z tobą i z Adamskim. Zwłaszcza z Adamskim, bo co do ciebie, Tadek, ma jakieś zastrzeżenia. Dąsa się. Powiedziała, że nie byliście u nich z poślubną wizytą... powiedziała, że nie chce znać takich "przyjaciół", powiedziała, że...

- Możebyś nam także powiedział coś, czego nie powiedziała pani Ryśka - mruknął znowu Adamski, wstając.

Munio wzruszył ramionami.

- Tego znów jakiś giez ukąsił. O co ci chodzi, że się tak drożysz? Idziesz, to dobrze, a nie, to nie...

- Idziemy! - zawyrokował Halicki i dorzucił z odcieniem złośliwości - muszę przecież stanąć oko w oko z tym "złotym niebezpieczeństwem"... Inaczej, jakiby ze mnie był żołnierz?

Pani Ryśka siedziała w najdalszym kącie sali, mając za sobą lustro, przed sobą marmurowy stolik, zastawiony ciastkami, a po bokach - dość pochmurnego Rożka i rozpromienionego Kocia Taffa; ten ostatni ustawicznie nachylał się ku niej, pragnąc zajrzeć w "cudne oczęta, które ten kapelusz tak zazdrośnie ukrywa!"

- Nareszcie! - odezwała się, wykrzywiając zabawnie różową buzię. - Myślałam, że ten brzydki zazdrośnik już uknuł zemstę przeciwko mnie za to, że powiedziałam... Jak to ja powiedziałam, panie Kociu?

- Powiedziała królowa: dawajcie tu w tej chwili Adamskiego, bo umrę z nudów i z tęsknoty! - pośpiesznie objaśnił porucznik Taff. - A to wcale nieładnie, skoro ja tutaj jestem...

- Pan się przecież nie liczy! - odparła, osłaniając uroczym uśmiechem tych kilka słów niezbyt pochlebnych.

Serdecznie wyciągnęła przez stół łapkę do Adamskiego, potem z rezerwą - do Tadeusza, a następnie zaczęła szczebiotać rozkosznie tonem dziecięco-kapryśnym i już wyłącznie zajęta Adziem.

Denek ożywił się nieco i rzekł, wskazując Halickiemu miejsce koło siebie:

- Jesteś nareszcie! Myśleliśmy, że już wogóle wzięłeś rozbrat z Warszawą... Tak dawno nie pokazywałeś się nigdzie... Nie wspominam już nawet o tem, żeś o nas zupełnie zapomniał.

- Wierzaj mi... - zaczął Tadeusz.

Pani Ryśka przerwała potrójny flircik i odezwała się zniechęcona:

- Wiemy, rozumiemy, wybaczymy! Niech pan się nie tłumaczy, bo to zawsze niezręcznie brzmi... Miodowy miesiąc trwa nadal?... Zaraz, ile to czasu minęło?...

- Ryśka! - wtrącił Roger półgłosem.

- Cicho bądź, nudny jesteś. Czy powiedziałaś co złego? Nasze miodowe miesiące trwały przeszło dwa lata i - także się skończyły... Tout passe, tout casse... - dokończyła z komicznym patosem.

- Ależ, Ryśko...

- Może nie? Mój drogi, wszystko się kończy. Inaczej byłoby nawet zbyt monotonicznie na świecie... Panie Muniu! Proszę dla mnie zamówić jeszcze jedną porcję lodów. Tylko żeby nie cytrynowe, bo niecierpię. Co za upał! I pomyśleć, że ja przez tego potwora jestem skazana na przebywanie w dusznym mieścisku...

- Byłaś przecież miesiąc nad morzem, kochanie...

- Miesiąc? Być może. Nie pamiętam. W każdym razie wszyscy najmiłsi znajomi tam jeszcze zostali... Tylko pani Deneckowa musiała wracać, bo jej... zabrakło pieniędzy...

- Ryśko! Czy ty naprawdę...

- Oj! Oj! Straszne rzeczy!... Pan Tadeusz pewnie się gorszy, że takie poziome sprawy poruszam... Prawda, że się prawie nie znamy, właściwie - ja mało pana pamiętam... Nic dziwnego! Trudno pamiętać wszystkich znajomych, których się nie widuje przez pół roku... Bo do przyjaciół dziwnie mi pana zaliczyć. Przyjaciele odwiedzają nas częściej...

I uważając widocznie dyskusję na ten temat za wyczerpaną, zajęła się już tylko Adamskim.

- Ty naprzykład, Adziula, jesteś chłopak zacności. Kocham cię za to!

- Odkąd to państwo są na "ty"? - wtrącił Taff, urażony.

- O, to zależy... Od dziś, jeśli mi się podoba. Zresztą musi pan wiedzieć, panie poruczniku, że Adzio ma wyjątkowe prawa. A poza tem - on ze wszystkimi kobietami jest na ty, prawda, Ada?

- Mniej więcej... - odparł, skłaniając głowę.

- Miałbym do ciebie wielką prośbę - szepnął Roger do Halickiego. - Tylko, mój drogi, odpowiedz zupełnie szczerze.

- Słucham cię.

- Otóż... Chciałem zapytać, czy nie moglibyście przygarnąć mojej żony... na jaki tydzień? Ona się, biedactwo, rzeczywiście zanudza w tem mieścisku, a mnie trzymają interesy...

- Ależ z radością! Mamy nawet dwa pokoje gościnne... tymczasem. Bo później... rozumiesz... Jeden z nich ma swoje przeznaczenie...

- A! - rzekł Roger. - Rozumiem i wieszuję ci serdecznie... Więc tak naprawdę, szczerze mówiąc - Ryśka nie zrobiłaby wam kłopotu?

- Ależ bynajmniej! Mania się bardzo ucieszy. Czy tylko twoja żona zaakceptuje ten projekt?

- Co wy tam spiskujecie? - zapytała złotowłosa figurynka, zatrzymując w połowie drogi łyżeczkę niesioną do ust. - Ręczę, że to przeciwko mnie?

- Zgadła pani. Knujemy zamach na jej wolność.

- Ten wojskowy zamierza porwać cię ze sobą, moja kochana. Sam się waham, czy godzien jest zaufania i czy mógłbym powierzyć mu ciebie na jaki tydzień?

- A co? Nie powiedziałaś - krzyknęła, udając desperację - że nasze miodowe miesiące już się skończyły! Własny mąż chce się mnie pozbyć! Wstyd, Różku!

- Sama przed chwilą narzekała na upał w mieście, na nudy... Skarżysz się przecież bezustannie, od dnia powrotu z Gdyni...

- Ja się skarżyłam? Ja się skarżę? - jęknęła, wodząc zdumionymi oczami po swoich wielbicielach. - Powiedzcie, skarżyłam się? Ale dobrze! Jeżeli pan

Halicki jest aż tak wielkim przyjacielem Różka, że chce go - na własną biedę - ode mnie uwolnić, to doskonale! Jedziemy, choćby zaraz!

- Służę pani - rzekł Tadeusz, powstając i wyciągając ku niej "zaokrąglone" ramię.

- Serjo? Mówi pan serjo? No, to przyjadę... pojutrze, zgoda? Muszę się przecież przygotować. Tylko proszę wyjść po mnie na stację, bo ja się na wsi boję psów...

- Wyjdę, pani, choćby do samej Warszawy na spotkanie.

- Czy to aby prawdziwa, głucha wieś?

- Prawie zupełnie prawdziwa...

- Ale co Mania powie na te projekty? - spytała nagle.

- Moja żona będzie z pewnością uradowana!

- Ja zaś nie jestem tego pewna... - rzekła, zamyślając się. - Bo... jeżeli naprzykład pan się we mnie zakocha?

- Ryśka, co ty dziś wygadujesz! - krzyknął Roger i ten wykrzyknik wybawił Tadeusza z dość kłopotliwej sytuacji. Bo jakże odpowiedzieć kobiecie ładnej i młodej: "Bardzo przepraszam, lecz się w niej nie zakocham..."

Tymczasem rezolutna osóbką pokręciła głową z niedowierzaniem i jęła wystukiwać różowym paluszkiem po stole:

- Kto wie?... Wszystko trzeba zawczasu przemyśleć!... Wypadki chodzą po ludziach...

Raptownie jednak roześmiała się i to tak szczerze, tak srebrzyście, tak jakoś przytem dziecinnie, że zgodnym chórem zawtórowali jej wszyscy.

- No - zaczęła po chwili - w tym wypadku, zdaje się, niema najmniejszej obawy. Przecież Mania, to ideał chodzący, a pan wydaje mi się stworzony na wzorowego męża. Więc - pojutrze, tak? Słyszysz, Rożku Denck?

- Chciała zapewne powiedzieć: Georges Dandin. To zresztą zabrzmiało dość podobnie... - szepnął Adamski do Łady, który uśmiechnął się głupkowato, nie pojmując gry słów.

Zato pani Ryśka dorzuciła z konieczną rezygnacją:

- Pamiętaj, Rożku. Sam chciałeś. Biorę panów na świadków, że ten niegodziwiec postanowił pozbyć się mnie na cały tydzień!

## Rozdział Xv.Ñ

### Gwiazdy spadające

Tego samego wieczoru, po herbacie, Tadeusz odłożył nagle książkę, którą czytał głośno i rzekł do Mani:

- O mało nie zapomniałem ci powiedzieć. Przygotuj się: będziemy mieli gościa i to przez jaki tydzień.

Dwie głowy podniosły się jednocześnie z nad roboty. Wandzia z zaciekawieniem spojrzała na szwagra. Jej żywe oczy zdały się pytać: "gadajże prędzej, kto taki?"

- Wyobraź sobie, dziś w kawiarni spotkałem Rogera Dencka. Zapytał - i to tak prosto z mostu - czybyśmy nie użyczyli gościny jego żonie. Naturalnie, odpowiedziałem, że będziemy uszczęśliwieni. Coprawda, byłem trochę zły. Mój urlop kończy się wkrótce, wolałbym spędzić go z tobą... z wami - poprawił, obracając się w stronę Wandzi. - Tak nam tu dobrze i cicho.

- Kiedy przyjedzie? - spytała Mania.

- Pojutrze.

Wanda wzruszyła ramionami.

- Śmieszne te ludzkie ceremonje! Jesteś zły, że się wprosiła tutaj, a powiedziałaś, że będziecie uszczęśliwieni! Czy nie lepiej poprostu odpowiedzieć: Przepraszamy, ale nie możemy... nie mamy miejsca... I kwita!

- O, to by pięknie świadczyło o naszej gościnności! - rzekła pani Halicka, uśmiechając się.

- Ale przynajmniej byłoby szczerze - odparła dziewczynka. - Zresztą mnie to przecież nic nie obchodzi. Niech sobie przyjeżdża, choćby i dziesięć osób i niech sobie siedzą choćby rok. Tylko ciekawam, gdzie ją umieścicie?

Bo chyba zapomniałaś, Maniu, że wkrótce przyjedzie Zbyszek, zdawać poprawkę z tej...

- Tum cię czekał z parasolem! - szepnął Tadeusz.

Dziewczynka sponsowała:

- O, jeżeli myślicie, że to dlatego!... Phi!... Niech sobie Zbyszek siedzi w Warszawie... Może nawet lepiej zda egzamin, bo się do niego przygotowuje - z nudów. Mnie zupełnie na tem nie zależy... Tylko Mania odpisała cioci Jadwisi, że się zaopiekuje Zbyszkiem... Więc jeśli teraz ma przyjechać ta pani?...

- Nic nie szkodzi. Zbyszka w ostateczności można ulokować razem z Olkiem.

- A prawda! - twarzyczka Wandzi rozjaśniła się. - No, to doskonale! Kiedy ona przyjedzie? Wieczorem? To twoja koleżanka z pensji, prawda, Maniu? Ciekawa jestem, jak wygląda.

- Ogromnego wzrostu gidja, włosy ma czarne, jak smoła... - zaczęła Tadeusz, ale Mania przerwała mu:

- Daj spokój, poco opowiadasz androny? Chodź lepiej ze mną, Wandziu, pomożesz mi wybrać pościel. Jutro rano uprzątniemy pokój gościnny i możemy czekać spokojnie. Tylko ciekawa jestem, co skłoniło Marysienkę do tych odwiedzin. Ona się tu przecież na śmierć zanudzi... Nigdy nie przepadała za wsią, musi mieć liczne towarzystwo...

- Pokażemy jej chlew, prawda? - wtrąciła Wandzia, tak jakoś nie "a propos", że nawet Mania parsknęła śmiechem, a Tadeusz aż się wziął za boki. Spojrzała na nich podejrzliwie.

- No co? Czy powiedziałaś co złego? Przecież chlew może być także interesujący... Szczególniej jeśli to nasz chlew. A ja naprawdę, daję wam słowo, jeszcze nigdy w życiu nie widziałam takich ślicznych prosiaczków!

- Wyjątkowo inteligentne, prawda, Wandziu?

- A właśnie, że tak! Żebyście wiedzieli! Jeden, jak go zawołać, sam przychodzi do ręki...

- Dobrze, już dobrze. - Zaprowadzisz tam panią Denckową prosto z kolejki... Może naprawdę będzie oczarowana. Ale tymczasem, zanim przyjedzie...

- Więc naprawdę nie gniewasz się, Marychno? - spytał Tadeusz.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Ja? Skądże znowu. Nawet przyznam ci się, że bardzo mi to na rękę. Dom się zaraz ożywi. Wandzia będzie musiała uważać na swój języczek i na swoje maniery, które w ostatnich czasach...

- O! o! Już się na mnie skrupia, jak zawsze! Moja droga, zapominasz, że przestałam być dzieckiem...

- Tem gorzej. Ale dajmy temu pokój. Największa moja wygrana, to coś innego. Miałam zamiar w tym tygodniu smażyć renklody, więc nie będziecie wtrącaли swoich trzech groszy, zajęci gościem, jak przystało. A już na tem najlepiej wyjdą moje konfitury.

- Materjalistka! - ozwała się Wandzia z kąta pokoju. Myślałby kto, że konfitury służą do patrzenia...

- Wandziu, co ty tam robisz? Proszę cię, nie machaj tak świecą koło firanek... Ona kiedy podpali dom! - krzyknęła nagle Mania.

- Nie bój się. Ja tylko patrzę, jak się to światło ślicznie odbija w szybie. Lata zupełnie jak błędny ognik... I tak się robi raz cienkie i proste, raz falujące, jak księżyc w wodzie... Więc idziemy po tę bieliznę, czy nie idziemy?

Wyszły. Zdaleka jeszcze dobiegały odgłosy kroków i echo ożywionej rozmowy. Potem z pokoju gościnnego dało się słyszeć gwizdanie, przerywane wykrzyknikami Wandzi, potem - runęło coś z wielkim hałasem, rozległ się pisk i śmiechy, wreszcie triumfalny głos Wandzi obwieścił:

- A co! Nie mówiłam, że to Olek pladruje w spiżarni?

Tadeusz się uśmiechnął, wyobrażając sobie zawczasu szereg obiadowych konwersacyj na temat łakomstwa, docinki Wandzi i łagodne perswazje Mani: "Dajże mu pokój, niech sobie używa podczas wakacyj... Napracował się przecież cały Boży rok".

Lubił te nastroje pozornych sprzeczek, te gospodarskie "kłopoty" Mani, te

liczne, a takie czasem zabawne "dramaty" rodzinne z powodu plamy na świeżym obrusie, doniczki kwiatów, zrzuconej z okna przez wiatr, lub zniknięcie kilku kotletów, o co Marcinowa z przeświadczeniem pomawiała psa-owczarka. Od paru tygodni zwłaszcza pławił się Tadeusz w atmosferze domowej, wałęsał się po wszystkich pokojach, wścibiał nos nawet do kuchni, by usłyszeć zgryźliwą uwagę Marcinowej, że "na tem bezludziu nawet krzynki pieprzu dostać nijak nie można..."

Oddawna, od lat dziecinnych nie czuł się tak beztrosko młodym, a jednocześnie był przecie "głową rodziny", panem i władcą, przed którym drżało wszelkie stworzenie od żony począwszy a skończywszy na kurach, bowiem nieraz ciskał w nie kamykami, spędzając natrętne ptactwo z grządek kwiatowych.

Te ich pierwsze, prawdziwe wakacje opromieniła sama przyroda. Lato było wyjątkowo pogodne, a wieczory, mimo połowy sierpnia, dziwnie ciepłe. Codziennie, gdy Mania skończyła już z zajęciami gospodarskimi, - wychodzili na chwilę do ogródka, by odetchnąć powietrzem, pełnym woni i pogawędzić sam na sam. Szli powoli, trzymając się za ręce, jak dzieci - ku małej ławeczce na końcu ścieżki. Schylone pod ciężarem owocu gałęzie młodych jabłonek muskały ich zniechęca po głowach i po ramionach, to znowu raptownie zrywał się z pobliskiego drzewa jakiś ptak nocny - liście zaszeleściły, a on odpływał cicho w ciemność nieprzeniknioną.

Mówili szeptem, zwykle o tem najważniejszym, o tej istotce małej, która zawita niebawem, by złączyć na zawsze ich serca w jednym jeszcze uczuciu, potężniejszym i trwalszym nad inne.

- Jak myślisz - pytała Mania - na imię damy mu chyba: Tadeusz?

- Tadeusz, Jan, Kazimierz, Wiktor, Aleksander - wyrecytował jednym tchem, wszeptując jej każde z tych imion do ucha, jak wielką tajemnicę.

- Oj, czy to nie zawiele? - stropiła się - chociaż znowu twój ojciec miał na imię Jan...

- A twój - Kazimierz...

- No, i przecie Olkowi byłoby przykro.

- W naszej zaś rodzinie musi być zawsze jakiś Wiktor. Więc sama wiesz... Zresztą, nie obawiaj się... Imion w kalendarzu chyba wystarczy i na przyszłość.

- Cicho bądź! - śmiała się Mania. - Jeszcze tego jednego nie ma na świecie, a on już myśli o następnych...

- Należy być przewidującym - odpowiedział i pogładził jej miękkie włosy nad czołem.

Mania oparła mu głowę na ramieniu i tak siedzieli czas jakiś, milcząc, wsłuchani w rzewną muzykę świerszczy z pobliskiej łączki. Nagle młoda kobieta podniosła twarz srebrno-białą w poświacie księżycowej i rzekła:

- A jeśli to nie będzie syn?

- Będzie syn - odparł z głębokim przeświadczeniem. - Musi być syn i kwita.

- Ale na wszelki wypadek... Jeżeli urodzi się córeczka?

- Oddamy ją cyganom - odgrażał się, obejmując Manię ramieniem. Wtedy gniewała się naprawdę.

- Nie mów tak, nawet żartem. Przecie ja będziesz kochał, prawda?

- No, może... trochę... Ale pamiętaj, żebyś mi nie zrobiła zawodu. Syn będzie pierwszy i będzie miał pięć imion. Tadeusz, Jan, Kazimierz...

- Dobrze, już dobrze - zgadzała się z westchnieniem. Ona sama cichaczem marzyła o córce, tylko nie chciała się sprzeciwić stanowczej "woli" męża. Czasem jednak cieszyła się ukrytą nadzieją, trochę przekornie wierząc, że to właśnie na pewno będzie dziewczynka. Śliczna mała dziewczynka, trochę podobna do Wandzi, tylko jeszcze ładniejsza i trochę do Tadeusza, tylko jeszcze rozumniejsza i lepsza.

- Patrz, gwiazda spadająca! - zawołał któregoś wieczoru Tadeusz, gdy tak siedzieli na swojej ulubionej ławeczce, pogrążeni w marzeniach. - Powiedz prędko życzenie, to się na pewno spełni.

Ale zanim zdarzyła pomyśleć, światelko zgasło. Wpatrzyła się w niebo roziskrzone, oznajmiając:

- Gdy będzie miała spadać druga, powiem...  
- O, jest znowu!  
- ...żeby byli szczęśliwi - dokończyła pośpiesznie, odganiając natrętną myśl o córeczce.  
- Kto? - spytał Tadeusz.  
- Ty, naturalnie... No i ten nasz maleńki. I Olek, i Wandzia. Wy wszyscy. Pokiwał głową.  
- Oj, ty, ty egoistko. Zapomniałaś o jednej jeszcze osobie.  
- Doprawdy? O kim?  
- O sobie - odparł, pochylając się ku niej w nagłym przypiływie serdeczności.  
- Ech, to się samo przez się rozumie. Jeżeli ty, jeżeli wy wszyscy, to przecież i ja także, razem z wami. Właśnie, że jestem egoistką...  
Tadeusz zamyślił się. Ile kobiet na miejscu Mani pomyślałoby w takiej chwili: pragnę być zawsze młoda - piękna - bogata - pragnę, by on mnie kochał - chcę być szczęśliwa...  
Ale te wszystkie kobiety były mu srodze obojętne. Mogły mieć tysiące powabów, mogły być stokroć piękniejsze, ale żadna z nich - miała tę pewność - nie mogła być lepszą od jego żony, od Mani.  
- Wiesz? - zaczął po dłuższej chwili - jeżeli jeszcze jedna gwiazda przeleci, dodam i ja króciutkie życzenie. Powiem: niech będzie zawsze, jak jest... Bo chyba lepiej być nam nie może?...  
Czekali jakiś czas z głowami podniesionymi, ale żadna gwiazda nie spadła więcej. Tylko świerszeczki grały coraz zawzięciej na swych przejrzystych skrzydełkach, a w jasnym świetle księżycy błyskała gdzieś niegdyś kropelka rosy wśród traw.  
- Chodźmy, już bardzo późno - rzekła Mania. - Cały dom śpi z pewnością, a ja chciałam dać Marcinowej pieniądze na jutrzejszy obiad.  
Ujęła męża za ramię, wstając z ławki.  
- Wracajmy. Naprawdę zaczyna się robić chłodno. Siedzimy tutaj, jak dzieci, czekające na cud. A przecież twoje życzenie było powtórzeniem mojego... Zresztą - dodała z uśmiechem - sam widzisz: gwiazdy nie spadają na zawołanie, a na szczęście trzeba samemu zasłużyć. To nawet pewniejsze niż... marzyć o niem, choćby w tak piękną i rozgwieżdżoną noc.

## Rozdział Xvi.Ñ

### Haczyk rzucony do wody

Na spotkanie pani Denckowej wyszedł nie tylko Tadeusz, lecz również Olek z Wandzią, która od rana nie mogła na miejscu usiedzieć i oznajmiała wszystkim pokolei, że "umiera" poprostu z ciekawości, jak wygląda koleżanka Mani.  
Gdy pociąg wreszcie nadjechał, Wandzia o mało nie "umarła" - tym razem ze śmiechu - na widok osóbkę tak zabawnej, ubranej w szary płaszczyk podróżny i maleńki, jaskrawy kapelusik, osłaniający do połowy twarz.  
- Popatrz! - szepnęła do Olka - ona jest chyba o głowę niższa ode mnie!  
Tymczasem za panią Ryską jęły się pojawiać większe i mniejsze walizki, podawane przez usłużnych pasażerów. Było ich tak wiele, że Wandzia poprostu zaniemówiła.  
- Ona tu chyba zjeżdża na rok! - pomyślała, gdyż nie mogło jej się w głowie pomieścić, by ktoś potrzebował takiej ilości rzeczy na kilka dni pobytu w "Biedronce".  
Z powodu tego mnóstwa rzeczy, obecność Olka i Wandzi okazała się wprost opatrznościową. O tem, by na "stacji" znaleźć tragarza, mowy nie było, ponieważ w ogóle cały personel składał się z kulawego dróżnika i rudego psa, uwiązanego na łańcuchu. Tadeusz schwytał dwie walizki, Olek także dwie. Wandzi zaś dostał się niewielki neseserek, parasolka i pled.  
- A co! - krzyknęła z triumfem pani Ryśka - czułam, że zrobię kłopot moją osobą - i macie, już na samym wstępie!



Poczem obróciła się w stronę odjeżdżającego pociągu, coś ważąc w myśli.

- Zdaje się - rzekła - że nie zapomniałam niczego.

- Niech pani sobie dobrze przypomni - żartował Halicki. - Teraz jeszcze możnaby dogonić ten "kurjer", ale za jaki kwadrans już będzie zapóźno.

- Nie, nie. Zdaje się, że mam wszystko. Dwie, cztery, pięć sztuk. Doskonale. A więc - ruszamy?

Ruszyli. Tadeusz z walizkami przodem, za nim pani Ryśka, skacząca na swoich wysokich obcasach po kamienisto-piaszczystej drodze, jak wróbelek na nitce, za nią Wandzia, obserwująca każdy ruch "gościa" i wreszcie Olek zamykał pochód, wymachując walizkami, jakgdyby to były hantle do gimnastyki.

- Bardzo tu ładnie - ozwała się pani Denckowa, zakreślając maleńką rączką dość szeroki krajobraz, mieszczący prócz jednostajnej niemal płaszczyzny pól, jakieś mizerne drzewko na horyzoncie.

- E, tutaj to jeszcze nic! - objaśniła pośpiesznie Wandzia. - Zaraz skręcimy na prawo, to pani dopiero zobaczy!

Skręcili na prawo, zrobili kilkadziesiąt kroków i nagle - jak z pod ziemi - wyłoniła się z za łysego pagórka śliczna kępa drzew z czerwieniejącym wśród nich dachem "Biedronki".

- O, idzie Mania! - krzyknęła po chwili dziewczynka, wskazując palcem jakiś ciemny, ruchomy punkcik, - otwiera właśnie furtkę.

- To nie Mania, tylko Marcinowa - zaprzeczył Olek.

- A ja ci mówię, że Mania. Przecież ją doskonale widzę. Tylko ma fartuch na sobie, więc ci się wydawało...

Rzeczywiście była to Mania. Stała i osłaniając oczy od jaskrawych promieni zachodzącego słońca, przyglądała się gromadce, obładowanej rzeczami.

- Mogłaby zdjąć ten fartuch - pomyślał Tadeusz z niezadowolaniem. - Rzeczywiście, możnaby ją było wziąć zdaleka za Marcinową.

Mimowoli obejrzał się na panią Ryśkę, ubraną tak wytwornie i "po europejsku" jakby w tej chwili opuściła "sleeping", dążący z Paryża na Riwierę. Śliczne zamszowe trzewiczki zakurzyły się wprawdzie nieco, ale płaszczyk wyglądał bardzo świeżo.

- Muszę poradzić Mani, by sobie sprawiła podobny kostjum - przemknęło mu przez myśl. - Wogóle powinna trochę więcej dbać o zewnętrzny wygląd. Naprzykład - ten fartuch...

Nie miał jednak czasu na dalszą krytykę, gdyż dochodzili właśnie do domu i pani Ryśka skoczyła naprzód, by uściskać "tę pocziwą Maniusię". Swoim zwyczajem zawisała na jej szyi, wykrzykując słowa powitania i mnóstwo pytań.

- Przepraszam cię - rzekła pani Halicka - że nie wyszłam na stację, ale miałam sporo zajęcia w domu.

- Widzę to! Wiesz, moja droga, wyglądasz bardzo stylowo. Ale nie powinnaś się tak mocno opalać. Według mnie, tylko brunetki mogą sobie pozwolić na oliwkową cerę. Jasne oczy tracą ogromnie przy opalanej twarzy. Prawda, panie Tadeuszu, że mam rację?

Halicki milczał, Olek wybałuszył na "gościa" zdumione oczy, a Wandzia z otwartymi ustami słuchała, niebardzo rozumiejąc, jak to można sobie "pozwolić lub nie pozwolić" na jakiś kolor skóry. Tylko Mania odparła najspokojniej, wruszając lekko ramionami:

- Moja kochana, kto ma tyle roboty w ogrodzie...

Weszli do domu. W jednej chwili pani Ryśka napełniła go swym szczebiotem rozkosznym, trochę robionym na "dziecięcność" sztucznie naiwnym, ale zachwycającym. W pół godziny wszyscy, z wyjątkiem pani Halickiej, byli oczarowani. Nawet Marcinowa rozpowiadała w kuchni ogrodnikowi, że "ta pani z Warsiawy nawet umarłegoby ruszyła. A jak to świegoce! Niczem wróbelek. I włoski ma złote, jak na obrazku. Dość na nią zdaleka popatrzeć, a już się człowiekowi, na ten przykład, miętko robi na sercu".

Olek wodził oczyma za śliczną panią, która obdarzała go raz po raz łaskawym uśmiechem. Wandzia zamieniła się w słuch, a każde słowo padające z tych czarownych usteczek wydawało się jej poprostu niepospolite. I jak ona ma o wszystkim swoje własne zdanie, zupełnie niepodobne do tego, co

dziewczynka słyszała wokoło od najdawniejszych czasów!

- Ach, gospodarstwo! - mówiła naprzykład pani Denckowa, krzywiąc buzię, jak trzyletnie dziecko. - To takie nudne zajęcie! Nie mogę sobie poprostu wyobrazić, bym potrafiła kiedykolwiek zająć się domem. To pochłania tyle czasu i takie jest nieapetyczne... Zresztą Rożek zabrania mi nawet chodzić do kuchni, bo twierdzi, że przepachniałabym smażonym tłuszczem... Br... Rzeczywiście, to tak wchodzi we włosy! A przytem - od gospodarstwa ręce się niszczą okropnie...

I wyciągnęła swoje różowe łapiny, jakby na dowód, że trudno wymagać, by te prześliczne, ostro zakończone paluszki dotykały się spraw codziennych, związanych choćby w najlżejszym stopniu z garnkami, rondlami czy patelnią.

- Ja wiem - ozwała się znów pani Ryśka - że jestem straszny próżniak i darmożjad, ale co na to poradzę? Rożek temu winien, bo mi nie pozwala literalnie niczem się zajmować. Czy uwierzysz, moja kochana - zwróciła się do Mani - że nawet włosów nie potrafię sama rozczesać porządnie. Rożek to zawsze robi, bo twierdzi, że się z nimi obchodzę, jak macocha. I prawda. Jak się zniecierpliwę, jak szarpnę raz i drugi...

Ilustrując opowiadanie, szarpnęła złotą czuprynkę. Kilka długich, cudownie lśniących włosów pozostało w ściśniętej piastce. Przesunęła je przed oczyma Tadeusza, dodając z prześlicznym grymasem:

- A w dodatku straszny mam z tem kłopot i właśnie się namyślam, czyby ich nie obciąć, ale Rożek chyba mi głowę urwał, więc się boję...

Roześmiała się, potrząsnęła głową kilkakrotnie i rzekła z komiczną powagą:

- To dziwne. Ja się okropnie boję Rożka. Czy i ty także, Maniu, boisz się swego męża?

Podobna rozmowa ciągnęła się przez cały wieczór. Co chwila, przy lada sposobności, a nawet zupełnie bez powodu wyjeżdżał na arenę nieobecny Rożek ze swymi upodobaniami, dziwactwami i - okrucieństwem.

- Bo proszę sobie wyobrazić, ten straszny człowiek miesza się do wszystkiego. Twierdzi naprzykład, że mi szkaradnie w zielonym kolorze i zabronił mi sprawić sobie taką suknię, lub bodaj kapelusz. A ja właśnie jestem przekonana, że w zielonym byłoby mi do twarzy. Ci mężczyźni są naprawdę nieznośni. Mają jakieś swoje uprzedzenia i - rób z nimi co chcesz...

Z wybiciem jedenastej Mania zaproponowała, aby się udać na spoczynek.

- To wy tutaj chodźcie spać, jak kury? Oj, co to będzie, bo ze mnie strasznie nocny Marek - zawołała pani Denckowa. - Rozumiem, że ty jesteś zmęczona, pewno bardzo wczesnie wstajesz, prawda? Ale ja się przyzwyczaiłam w mieście nie wstawać przed południem i dlatego nie wyobrażam sobie, czy potrafiłabym usnąć o takiej godzinie. Dziś to jeszcze nic, jestem trochę zmęczona pakowaniem i "straszliwą" drogą, ale na przyszłość... co to będzie? Chyba, że jeden z panów zechce mi asystować... Najlepiej zrobić stałe dyżury na zmianę, co? Jutro naprzykład, o ile będzie ładnie możnaby urządzić wieczorem małą przechadzkę po gospodarstwie...

- Wieczorem nic nie widać - wtrąciła Wandzia. - Nietylko kury śpią, ale i prosięta...

- Trzeba ci wiedzieć, że to Wandzine benjaminki. Będziesz musiała je obejrzeć i wpaść w zachwyt nad nimi, inaczej nie da ci spokoju - objaśniła Mania.

- Ależ owszem, z przyjemnością jutro pójde. A tymczasem dobranoc państwu. Widzisz, Maniu, jaka jestem posłuszna? Wogóle, rób mi uwagi, postaram się do nich zastosować. Ja w gruncie rzeczy nie mam złych skłonności, to tylko Rożek mnie rozpieścił...

- Ależ ta papla, co jej ślina przyniesie na język - zauważył Tadeusz, gdy się znaleźli z Manią w swoim pokoju.

- Zawsze lubiła mówić głupstwa, albo o głupstwach. To jej specjalność i ma nawet swój urok, dopóki się nie przeje - rzekła Mania, zaplatając na noc warkocze. - Boję się tylko, czy nie wyrze złego wpływu na Wandzię, bo ta mała patrzy na nią, jak w tęczę.

- No, i Olek również! - pomyślał Tadeusz, a głośno dodał:

- Czy tylko ty nie będziesz z nią miała za dużo kłopotu? Zdaje się, że to dość arbitralna osóbką. Ma przytem swoje przyzwyczajenia i narowy i dlatego się obawiam, że zrujnuje cały dotychczasowy tryb życia.

- E, nie. Trzeba będzie tylko odgrzewać śniadanie i trochę opóźnić obiad. Gorzej, że nie wiem, jak ją zabawić cały dzień, by się na śmierć nie zanudziła. Musicie mi dopomóc, ty i Olek. Zdaje się, że o to nie będzie miała do mnie pretensyj. Ona przepada za męskim towarzystwem i nawet nie wyobrażam sobie, jak tu wytrzyma bez swoich adoratorów.

- Jak nie wytrzyma, to prędzej stąd wyjedzie - odrzekł Tadeusz, konstatając raz jeszcze, że Mania w stosunku do pani Ryśki odzywa się z wyraźnym, choć stłumionym uprzedzeniem.

- W gruncie rzeczy - pomyślał jeszcze, usypiając - Adamski za ostro ją sądzi. To nie tyle flirciarka, ile dziecko, popsute przez życie i rozpieszczone przez męża, który, jak słusznie zauważyła Mania, bawi się nią, jak żywą laleczką. Nie można jednak zaprzeczyć, że ta laleczka ma, czy robi styl, który do niej doskonale pasuje.

W tej chwili rotmistrz Halicki najzupełniej zapomniał, iż to on pierwszy właśnie nazwał panią Ryśkę "skondensowanym typem flirciarki".

Nazajutrz - zapomniał o tem jeszcze bardziej, i spytany o zdanie, odpowiedziałby każdemu bez wahania: "To przemiła istota, naturalna, pełna wdzięku, a w dodatku - śliczna".

Pani Ryśka wyłoniła się ze swego pokoju dopiero koło południa i Tadeusz, który właśnie wrócił z długiej przechadzki, ujrzał ją niespodzianie przed domem, gdy w pół-klęczącej pozycji targała za uszy owczarka. Miała na sobie lekką sukienkę bez rękawów, szafirową jak niebo. Wspaniała szopa jej włosów błyszczała jeszcze złościściej, ciągnąc poprostu oczy. Na ruchliwej twarzyczce jaśniało tyle dziecięcego rozbawienia, w głosie i w ruchach miała tyle dziecięcej żywości, że Tadeusz uczuł się zupełnie rozbrojony taką obfitością naturalnego wdzięku i młodości.

- Przecież w tej chwili jest sama, więc nie pozuje na nic, bo i przed kim? To dzieciak, poprostu śliczny dzieciak.

Gdyby w tej chwili mógł dostrzec inną parę oczu, wpatrzonych w złoto-szafirowe zjawisko - możeby zmienił zdanie. Lecz Olek ukryty w gęstwinie zieleni mógł być widziany tylko przez panią Ryśkę. Dla niego też w znacznej mierze przeznaczone były krótkie, jakby od niechcienia rzucane błyski rozswawolonych oczu, minki kapryśne i dźwięczny monolog, skierowany niewinnie - do psa.

- O, jakie to złe! - szczebiotała zanurzając w kudły owczarka swoje prześliczne rączyny. - O, jakby to warczało... Na kogo? Na panienkę? Na panienectę? A, brzydki! a śkaradny! A leżeć, paskudna sobaka! A słuchać pani... O, tak!

- Witam panią. Co za przemiła idylla!

- Dzień dobry - odparła, teraz dopiero spostrzegłszy Tadeusza. - Jak się nazywa ten pies?

- Bardzo poetycznie. Wabi się "Bukiet". Widzę, że pani lubi zwierzęta.

- Lubię? Ja poprostu przepadam za niemi! Gdyby nie to, że w Warszawie trudno je trzymać, miałabym całą menażerję. Okropnie lubię psy i koty, mały, niedźwiedzie, foki, nawet - lamparty, chociaż te ostatnie wolę mieć na kołnierzu. To bardzo efektowne futro. Lubi pan płaszcz lamparcie? Gdyby nie Rożek... Ale Boże drogi! Jak ja wyglądam! - przerwała nagle, chwytając się za głowę. - Muszę być potargana, jak nieboskie stworzenie i pewnie trochę umorusana... Bo też dokazywaliśmy z Bukietem.

- Pani tak sama się bawi?

- Nie... To jest właściwie, był tu gdzieś niedaleko pan Olek... A Wandzia pomaga Mani zbierać renklody, czy coś takiego... nie pamiętam dokładnie...

- I zostawiły panią na pastwę nudów. To niezbyt pięknie z ich strony.

- O, ja się wcale nie nudzę. Wstałam niedawno i, jak pan widzi, bawiłam się wybornie! Wie pan co? Przejdźmy się teraz trochę. Pokaże mi pan wasze gospodarstwo...

- To może później, z Wandzią.

- Kiedy ja wolę zaraz, z panem - odparła tonem, nieznoszącym dyskusji.

- W takim razie - służę.

Podał jej ramię, które przyjęła z miną zadowoloną. robiąc przytem uwagę:

- Trochę pan za wysoki. Rożek jest także bardzo wysoki. Mogłam się przyzwyczać... No - i ten Munio Łada, który ma pasję tańczenia ze mną. Musimy ładnie razem wyglądać, co? Tańcowały dwa cymbały, jeden duży, drugi mały...

Weszli na podwórko, zarosłe murawą. Panią Ryškę wszystko wprawiało w zachwył: studzienka, stajnia, nawet - chlew.

- Może teraz przejdziemy się trochę dalej, nad strumyk? - spytał Tadeusz.

- Ale co powie Mania?

- Mania?

- No tak... Porwałam pana i spacerujemy we dwoje... Rożek się zawsze wścieka, jak z kimś rozmawiam dłużej niż kwadrans. No, ale coprawda Rożek, to szkaradny zazdrośnik. On mi poprostu życie zatruwa ciągłymi podejrzeniami. Wogóle ci mężczyźni są straszni. Czy i pan także taki zazdrośny o Manię, gdy się z kimkolwiek zaprzyjaźni?

Tadeusz pomyślał, że to byłoby trudne, gdyż Mania nie zaprzyjaźnia się z kimkolwiek i wogóle - dotychczas nie dała mu powodu do zazdrości. Odparł więc po krótkim namyśle, że, prawdopodobnie, byłby również zazdrośny, gdyby...

Pani Ryška roześmiała się.

- Ach, prawda! Co też ja plotę! Przecież Mania to wzór wszelkich cnót! O nią pan może być spokojny. Bo co do mnie, to... pewnie mój mąż ma trochę słusznosci. Ja się nie umiem tak - zasklepić.

- Zasklepić? - powtórzył mimowoli.

- No tak. Mieć tylko oczy dla Rożka, uśmiech dla Rożka, miłe słowo dla Rożka, wszystko tylko wyłącznie - dla Rożka. Toby było okropnie nudne i monotonne, a ja nie lubię się nudzić.

Doszli już do strumyka. Pani Denckowa skoczyła jak wiewiórka i pochyliła się nad nim.

- E, rzekła po chwili - płytka woda. Tutaj nawet ja bezpiecznie mogłabym się kąpać. Czy pan umie pływać?

- Tak, nieźle.

- Proszę sobie wyobrazić, niedawno o mały włos nie utonęłam w morzu. Straciłam nagle grunt pod nogami, a że ja pływać nie umiem, więc mnie wynieśli z wody i potem - cucili mię na piasku. Jeden młody człowiek zrobił mi sztuczne oddychanie. O tak...

Chwyliła ręce Halickiego i rozłożyła jak najszerszej, przyczem znalazła się tak blisko niego, że poczuł przez powiewną sukienkę smukłość jej drobnej postaci.

- No, i wkrótce - dokończyła po chwili, puszczając szerokie dłonie z uścisku swoich piastek - wkrótce potem oprzytomniałam zupełnie. Ten nieznajomy zaniósł mnie na rękach do domu (choć było daleko) i - proszę sobie wyobrazić, szalenie się we mnie zakochał...

Popatrzyła na Tadeusza badawczo i rzekła innym tonem, bardzo poważnie:

- Jak pan sądzi? Czy rzeczywiście można się we mnie zakochać tak, odrazu, od pierwszego spojrzenia? Zobaczyć mnie raz - i w jednej chwili - w jednej sekundzie prawie... Bo znam już takie dwa wypadki...

- Musiałaś ty go dobrze nabierać z tem "sztucznym oddychaniem" - pomyślał Tadeusz i w tej chwili przemknęło mu przez głowę, że jednak Adamski miał trochę racji. Ta mała szturmuje ostro i trzeba być ostatnim kpm, żeby się na tem nie poznać.

Tymczasem "ta mała", jakby śledząc bieg jego myśli, ozwała się znowu napół figlarnie, napół drwiąco:

- Naturalnie, są ludzie wyjątkowi, na których wogóle kobieta działa bardzo powoli i to nie każda. Naprzykład - pan. Pan się na pewno nie zakochał w Mani od pierwszego spojrzenia. Prawda, że zgadłam? Zaraz panu opowiem, jak to było. Najpierw - poznaliście się bardzo dawno... prawda?

- Właściwie i tak i nie. Znałem Marychnę jako dziecko prawie. Potem nic o niej nie wiedziałem przez szereg lat.

- A co! Jak ja to wszystko przeczułam! A potem zaczął pan u niej bywać

coraz częściej, a potem pomyślał pan pewnego dnia, że to by była idealna żona. A potem - ożenił się pan i jest wzorowym mężem. Wiem, wiem, proszę mi nie zaprzeczać. Już ja znam pana nawylot, wiem, jaki pan jest! Pan jest z tego gatunku mężczyzn, co jak raz zasmakują w domowych pieleszach, to już amen. Będziecie sobie żyli szczęśliwie dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat... Będziecie mieli gromadkę dzieci... Będziecie się przykładnie kochali przez całe życie... Ja nawet wyobrażam sobie pana, jako przyszłego ojca rodziny: troszeczkę pan przytyje, troszeczkę wyłysieje... Będzie z pana typowy "tatuś" a ona będzie "mamusia" - oto cała różnica.

- Czy to źle? - spytał Tadeusz trochę rozbawiony, lecz więcej zirytowany jej tonem nieco sarkastycznym.

- O, broń Boże! Przeciwnie! To bardzo przykładnie! Wspaniale! Chciałam tylko dowieść tem opowiadaniem, że "rozgryzłam" pana. O, ja się tu znakomicie orjentuję, iż gdzie jak gdzie - ale tutaj - nie zrobię konkiety...

Westchnęła przytem tak komicznie, że Tadeusz pomyślał znowu: jednakże ona ma w sobie więcej z dziecka, niż z kobiety, świadomej swego uroku. Jej zamiłowanie do flirtu, jej kokieterja, to raczej zabawa.

I spytał z przekorą w głosie:

- A nuż? Kto wie? Niech pani popróbuje.

- Spróbować? A jeżeli się pan we mnie zakocha? Tak zupełnie serjo, po uszy?

- Ha! To będę jeszcze jedną pani ofiarą. I przyznam wobec świata ze skruchą, że z panią mierzyć się nie można.

- Pewnie dlatego - westchnęła - że jestem taka maleńka... To moje szczęście i nieszczęście zarazem... Bo nikt mnie nie bierze zupełnie serjo. Każdy mię uważa trochę za małe, bezbronne dziecko i - ustępuje, jak dziecku.

- A czy ja mówię, że pani ustępuje? Przeciwnie, będę się bronił.

- Doprawdy? Z całej siły?

- Z całej. Jeślibym uczuł, że ulegam czarowi pani, przypomnę sobie ów uroczy obrazek, który pani naszkicowała przed chwilą: tatuś, mamusia i wianuszek dzieci przy stole z lampą naftową... Przypuszczam, że wobec tak ponętnej rzeczywistości, sen się przerazi i pierzchnie. A tymczasem - wracajmy na obiad, który już pewnie czeka oddawna.

- Dobrze, wracajmy - odparła biorąc go znowu pod rękę. - Od tej chwili proszę na siebie uważać, zaczynam atak na pańską niezachwianą powagę wzorowego małżonka. I nawet - dam panu pewne fory.

- Doprawdy?

- Tak. W chwilach niebezpieczeństwa będę pana ostrzegać. Lecz tylko do trzech razy sztuka. Potem ogłoszę zwycięstwo.

- Albo... przegrana.

- Albo przegrana - powtórzyła posłusznie. - Nawet najpewniej... przegrana.

I uniósłszy w górę swą twarzą ruchliwą, zajrzała Tadeuszowi w oczy głęboko i ciekawie zarazem.

## Rozdział Xvii.Ñ

### Intermezzo

Tadeusz przedłużył sobie urlop, ale zamiast używać wakacyj, tracił dobry humor z dnia na dzień i to w sposób tak widoczny, że Mania wreszcie poczęła się niepokoić.

- Co ci jest? - spytała raz i drugi. - Może masz jakieś zmartwienie, kłopoty? Wyglądasz, jakbyś ukrywał coś przede mną.

- Wydaje ci się. Nie mam żadnych kłopotów i jestem taki, jak zawsze - odpowiedział, ale sam czuł, że mówi nieprawdę.

Faktycznie był rozdrażniony, a im częściej powtarzał sobie, że przyczyny tego rozdrażnienia są błahe, tem silniej ono wzrastało. Tadeusz czuł

poprostu, że lekkomyślnie uwikłał się w jakąś historię bez początku i bez końca, w jakiś pół czy ćwierć flirt z osobką bardzo sprytną, która najwyraźniej kpiła sobie z niego, a przede wszystkim - wogóle przestała się nim interesować.

Rzeczywiście, od owej pamiętnej rozmowy nad strumykiem, pani Ryśka nietylko przestała szukać sposobności do romantycznych "sam na sam" z Halickim, ale najwyraźniej unikała ich. Kilka dni następnych przeszło pod znakiem spraw gospodarskich. Rozkoszna figurka porcelanowa jeła nagle okazywać ogromne zainteresowanie się ogrodem, kuchnią, ba, nawet konfiturami Mani i pół dnia co najmniej przepędzała bądź na podwórzu, bądź w warzywniku; pytała dziesięć razy o nazwę każdej rośliny, ujawniając najzupełniejszą ignorancję w tej dziedzinie. Wreszcie, nauczysz się odróżniać buraki od kalafiorów i cebulę od marchwi, obwieściła pewnego dnia podczas obiadu:

- Wiecie, to strasznie zajmujące i kto wie, czy po dłuższym obcowaniu z Manią nie nabrałabym zamiłowań ogrodniczych! Ciekawe, co by na to powiedział Rożek, gdyby mi się nagle zachciało zostać dobrą gospodynią i pracować od świtu do nocy na wzór pracowitych pszczołek!

Wogóle tego dnia była jeszcze rozmowniejsza, niż zwykle; zaczęła układać jakieś cudaczne historie na temat własnej przyszłości, przeplatając je wybuchami śmiechu, który się udzielił całemu zgromadzeniu. Jedna, druga godzina minęła na pogawędce, wreszcie pani Halicka zerwała się z miejsca, wołając:

- Boże drogi, co ja wyrabiam! Tyle mam jeszcze roboty, a siedzę z wami i słucham...

Wówczas pani Ryśka zaproponowała Olkowi i Wandzi partję kokieta. Młody człowiek, ropromieniony, pobiegł sprawdzić, czy bramki są w porządku. Wtedy przypomniała sobie nagle o jednym jeszcze partnerze:

- A może i pan zagra z nami? Nawet musi pan zagrać, bo we trójkę nudno.

- Jeśli muszę... - odpowiedział Tadeusz.

- O, ja wiem, że pana to nie bawi! Taka dziecinna gra! Ale przez uprzejmość należało powiedzieć: z rozkoszą!

- Z rozkoszą. Służę pani - poprawił natychmiast i ofiarował jej ramię ruchem pełnym przesadnej kurtuazji, ale nie raczyła tego zauważyć. Coraz częściej natomiast, prawie ostentacyjnie, spacerowała pod rękę z Olkiem. Uwieszała się wprost u jego ramienia, twierdząc, że jest zmęczona, albo, że "wykręciła" nogę na ścieżce.

Poczęło to wreszcie irytować rotmistrza.

- Czy ona sobie wyobraża - myślał - że będę o tego smarkacza zazdrosny? Kokietuje go, jak tylu innych, a ten głuptas jest przekonany, że cieszy się wyjątkowymi względami.

Jeśli rzeczywiście pani Ryśka "wyobrażała" sobie coś podobnego, to nie dawała tego poznać tak dalece, że wkońcu Tadeusz uczuł się znowu mocno dotknięty. I gdy pewnego wieczora Olek wpadł do pokoju po szal, ozwał się do chłopca tonem surowym:

- Możebyście skończyli już z temi spacerami pociemku? Także amatorstwo!

- A cóż tobie to szkodzi? Jeżeli ona je lubi... - odpowiedział Olek, uśmiechając się, zdaniem Halickiego, bezczelnie.

- Głupiec! - mruknął rotmistrz po jego wyjściu. - Służy przed tą kokietką na dwóch łapkach i nie wie nawet, że właściwie ona mnie kokietuje.

Był tego pewien. Czuł doskonale, że zachowanie się pani Ryśki, jej minki naiwne, jej uśmiechy i słówka, skierowane do Mani, lub Wandzi, ba, nawet jej śliczne, codziennie nowe sukienki, były przeznaczone - dla niego. Coraz częściej wracał pamięcią do rozmowy z Adamskim i utwierdzał się w przekonaniu, że złotowłosa "zagięła parol" na niego.

- Ale ja się znam na tych sztuczkach - myślał ironicznie - i pani Ryśka jest naiwniejsza, niż przypuszczałem, jeżeli sądzi, że nie przenikam nawszkroś jej polityki kobiecej.

Po chwili zaś dorzucił:

- O ile prowadzi politykę. Bo może bałwochwalcze zachwyty Olka wystarczają jej najzupełniej, a o naszej ostatniej rozmowie poprostu

oddawna - zapomniała?

I w tej chwili spostrzegł ze wstydem, że on sam właśnie ciągle do niej myślał powraca.

Jeżeli pani Ryśka miała jakieś "plany" i "sposoby" zawrócenia na siebie uwagi Tadeusza, - były one zupełnie inne, niż przypuszczał, a trzeba przyznać, że bardzo szybko zmierzały do celu. Oto nieustannie, chociaż na pozór niepostrzeżenie, gromadziła obfity materiał do porównań pomiędzy sobą a - Manią.

Dotyczyło to przede wszystkim urody, wdzięku i dowcipu. Mała kobieta znała aż nadto dobrze wszystkie swoje powaby, i w sposobie roztaczania ich przed otoczeniem była istotnie mistrzynią. Nigdy nie powiedziała wprost: "patrzcie i podziwiajcie, jaką mam śliczną rączkę" - ale gdy jednocześnie z Manią oparła dłoń na stole - kontrast poprostu bił w oczy. Ręka pani Halickiej nosiła na sobie wyraźne ślady pracy w ogrodzie; "łapiątko" pani Ryśki - była to minjaturka o kształtach skończone pięknych i barwie białoróżowej stokrotki. Tadeusz, siedzący naprzeciw, patrzył, uśmiechał się i myślał, że jednak pojęcie o "dłoni kobiecej" może być... bardzo rozciągliwe.

Pomimowoli też czynił dalsze porównania, z których pani Ryśka wychodziła zwycięsko. Nie miała "rysów", ale miała koloryt; nie miała wielkich oczu, lecz lśniły w nich ogniki figlarne; nie miała wzrostu normalnej kobiety, lecz za to proporcje nieskazitelne. Przy jej cerze olśniewającej świeżością opalona twarz Mani wydawała się szara, niemal ziemista. "Bestyjka rzeczywiście jest śliczna!" - myślał Tadeusz, a pani Ryśka kładła w tej samej chwili kropkę nad "i", mówiąc z uroczym grymasem:

- Strasznie się opaliłam, prawda? Ale jeszcze daleko mi do ciebie!

I przytulała różowy buziak do szczupłej twarzy Mani.

Innym razem pani Denckowa rozpoczęła dyskurs na temat krawcowych warszawskich. Szczebiotała, rozkosznie gestykulując, że trzy czwarte szwaczek nie ma pojęcia o kroju, że szyją według szablonu, nie potrafią się dostosować do indywidualności klientki i że zamiast "podkreślać" linię figury, banalizują charakterystyczne i często piękne szczegóły.

Wykręcała się przytem w prawo i lewo, krytykowała "na modelu" wycięcie szyi, wszycie rękawów i mnóstwo innych niedokładności, stwierdzając z niezadowolaniem, że dotychczas nie znalazła w Warszawie ani jednego magazynu, któryby w pełnej mierze uczynił zadość jej wymaganiom. Tadeusz (znow mimowoli) porównywał bezpretensjonalną, domową suknię żony z porannymi i wieczornymi toaletami pani Ryśki i czynił w duchu uwagi: "Nie wiem, czy to źle, czy dobrze uszyte, ale ta kobieta umie się ubrać jak nikt i wie, w czym jej najbardziej do twarzy". Jednocześnie złośliwy chochlik krytyki kazał mu przyznać, że Mania tego nie potrafi. Dlaczego? Może pani Ryśka ma słuszność, może krawcowa Mani nie uwzględnia indywidualności swoich klientek...

Nagle uprzytomnił sobie, że wszystkie te refleksje są wogóle idiotyczne. "O co mi chodzi? - karcił w duchu sam siebie. - Że Mania nie ubiera się dość szykownie? Że trochę zbrzydła w ostatnich czasach? To przecie zupełnie zrozumiałe... Dlaczego porównywan te dwie istoty tak różne? Czyż pani Ryśka z całym swoim niezaprzeczoną urokiem warta jest, by ją choćby żartami stawiać na jakimkolwiek piedestale?

- A jednak - pomyślał znowu z cichym westchnieniem - szkoda, że to tak trudno znaleźć w jednej kobiecie doskonałość pod każdym względem!

Tymczasem "niedoskonała" pani Ryśka już przeszło tydzień spędziła pod gościnnym dachem Biedronki, flirtując ile wlezie z Olkiem, w "wolnych" chwilach dokazując z Wandzią, jak pensjonarka i - nie zwracając najmniejszej uwagi na Tadeusza. Jak na złość była codziennie ładniejsza, świeższa, ponętniejsza, poprostu promieniała radością, podczas kiedy rotmistrz włóczył się po domu posępny, jak chmura gradowa. Nareszcie oznajmiła pewnego dnia, że musi wracać do Warszawy:

- Bardzo żałuję... Tak mi tu u was dobrze! A przytem wypoczęłam i zdaje się, że trochę lepiej wyglądam?

- Coprawda - odparła Mania śmiejąc się - nie wyglądałaś źle i przedtem.

Ale po co się śpieszysz? Przecież twojego męża niema w tej chwili w Warszawie.

- Powróci lada dzień. A zresztą siedzę tu tyle czasu! Już wam pewnie docna obrzydłam...

- Pani? - krzyknął Olek zgorszony.

- No... może nie wszystkim. Ale są tacy, którzy tylko czekają, kiedy wreszcie wyjadę... - rzekła, posyłając Tadeuszowi spojrzenie, pełne wyrzutu. - Chociaż właściwie nie wiem, czemu twój mąż, Maniu, tak mię wyraźnie bojkotuje...

- Ja panią bojkotuję? - ozwał się wkońcu Halicki, podnosząc głowę z nad książki, której nie czytał.

- A naturalnie, że mię pan bojkotuje. Wszyscy to widzą. Gdyby nie twój braciszek, Maniu, tułałabym się po domu, nie wiedząc, co z sobą robić... Ten pan - wskazała paluszkami Tadeusza - wcale nie jest uprzejmym gospodarzem. Gdybym go wtedy, pierwszego dnia, nie wyciągnęła gwałtem na mały spacer, tobyśmy pięciu słów nie zamienili ze sobą...

- Nie śmiałem pani przeszkadzać - mruknął Halicki.

- W czym?

- W... dobrej zabawie. Sądziłem, że pani najzupełniej wystarcza towarzystwo mojego szwagra. Gdybym był wiedział...

- O, ja wcale nie mówię, żeby tu się chociaż chwilę nudziła. Twierdzę tylko, że z pana dziwny gospodarz... Wkrótce wyjadę, a pan nawet nie spytał, czy mam ochotę zagrać partyjkę "bridge'a".

- A zatem... czy ma pani ochotę zagrać partyjkę bridge'a? - spytał, powstając.

Pani Ryśka poczęła się śmiać.

- Oto prawdziwy wojskowy: wedle rozkazu! Ale proszę się uspokoić, nie będę grała w bridge'a, bo pan Olek ma o nim pojęcie, jak ja... jak ja o polityce. Za to wyciągnę pana dziś wieczorem na spacer. Maniu pozwalasz? I będziemy spacerowali, jak długo zechcę.

- Wedle rozkazu!

- A jutro odwiezie mnie pan do Warszawy.

- Wedle rozkazu!

- I powiadomi pan Rożka, że byłam bardzo grzeczna cały czas?

- Wedle rozkazu!

- A... jeśli Rożek jeszcze nie wrócił?

- Odwiozę panią zpowrotem do Biedronki.

- Ciągle wedle rozkazu?

- Nie. To już z własnej inicjatywy - odrzekł, śmiejąc się. Był zupełnie "rozkrochmalony".

Pani Ryśka klasnęła w rączki:

- Tak, to lubię! Niech się pan pośmieje trochę. Jeszcze, jeszcze! Zaraz pan wyprzystojniał! A jak panu było szkaradnie z tym wiecznym marsem na twarzy! No, proszę teraz się przyznać... Troszeczkę pan się na mnie dasał, prawda?

- O cóżbym się mógł dasać?

- O... tę rozmowę przy strumyku. Że jej nie wzięłam na serjo... A może właśnie zastanowiwszy się poważnie... Bo potem, gdyśmy wrócili do domu, przyszło mi na myśl, że lepiej dać temu pokój...

- O czym wy właściwie mówicie? - zapytała Mania.

- Moja droga, to bardzo zawiła sprawa - odparła pani Denckowa z najniewinniejszą miną. - O mały włos nie założyliśmy się z twoim mężem... Właściwie nie pamiętam: możeśmy się i założyli. Niech mi pan przypomni jak to było?

- Z czym?

- No, z tym zakładem, naturalnie! Ach, jaką ci mężczyźni mają złą pamięć! Przecież pan pierwszy zaproponował, ażebym spróbowała... Ale popatrzno Maniu, jaką twój mąż ma dziwną minę... Czy pana zęby boła? A może palnęłam głupstwo? Może wtedy, nad tym strumyczkiem... Może to miał być sekret? W takim razie przepraszam bardzo! Należało mię jednak uprzedzić, że to miała być niespodzianka dla Mani...



Szczebiotała tak po swojemu, gestykulując i przekrzywiając raz po raz główkę złocistą. W oczach migotały ogniki wesołości. Mania wzruszyła ramionami, Olek i Wandzia słuchali, ani słowem nie rozumiejąc, a Tadeusz czuł tylko, że ma w tej chwili rzeczywiście dość głupią minę i był o to wściekły na panią Ryškę.

- Do czego ona prowadzi? - pomyślał z niepokojem. - Czy ma zamiar powtórzyć dosłownie tę idjotyczną rozmowę? W jakim celu?

Tymczasem pani Ryška zakończyła niespodziewanie:

- Wie pan, doszłam do przekonania, że tak, czy owak, wygrałabym nasz zakład. Więc - niech już będzie...

- Przyznaję, że niebardzo rozumiem... - zawyrokował.

- Nic nie szkodzi. Wytlumaczę to panu później, przy sposobności. A teraz zagrajmy w krokieta, póki zupełnie się nie ściemni...

## Rozdział Xviii.Ñ

### Włos na mundurze

Przez cały wieczór pani Ryška była cokolwiek melancholijna, zamyślona, nie zwracała zupełnie uwagi na Olka, mówiła bardzo mało - jak na siebie - i oznajmiła wreszcie, że idzie spakować rzeczy.

- Więc naprawdę masz zamiar wyjechać? - spytała Mania.

- Tak. Nie lubię zmieniać postanowień, a przytem umówiłam się z kimś w Warszawie, a ja, czasami, dotrzymuję przyrzeczeń.

- Czy wszystkich? - zapytał Olek, podchwyciwszy ostatnie zdanie.

Nawet nie raczyła mu odpowiedzieć, a może nie dosłyszała. Powiedziała wszystkim "dobranoc", wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Tak się dziś jakoś marnie czuję, że chyba pójdę się położyć - rzekła Mania chowając cukierniczkę do kredensu. - Zresztą już dosyć późno...

Tadeusz spojrział na zegarek. Było po jedenastej. "Muszę z panem pomówić koniecznie. To ważna sprawa. Proszę na mnie poczekać w alejce" brzmiały mu w uszach cichutkie słowa pani Ryški, wyszeptane tak szybko w przejściu, że nikt z obecnych nie zwrócił na nie uwagi.

Długi czas nie wierzył własnym uszom. Naznaczyła mu schadzkę? Tak nagle? To chyba niemożliwe. Nie mogła zauważyć zmian zaszłych w jego usposobieniu. Nie mogła się nawet domyślać, jak wielkie spustoszenie uczyniła mu w sercu. On sam nie zdawał sobie sprawy z tego dokładnie. Czuł tylko, że jej zwyczajnie i głupio pożąda, że ta maleńka kobietka poczęła wywierać na nim swój czar, że przeliczył się z siłami, że gdyby nagle oplotła go rękami za szyję, nie zdołałby już uwolnić się z drobnych ramionek. Jak to się stało? Dziś, wczoraj, czy jeszcze dawniej? Pod wpływem jej słodkiego głosiku, o dźwięku szkła i srebra? Pod wpływem dotknięć jej maleńkiej rączki? Pod wpływem jej obojętności, która była na pewno jednym z atutów tej gry, gry wyrafinowanej, choć jakże prostej zarazem!

- Czy mi się zdaje - pomyślał ze zdumieniem, czy też istotnie straciłem nagle zdrowy sens i busolę mojego życia? Tam, w sąsiednim pokoju, kładzie się do snu moja żona, najlepsza z kobiet, skarb, o którym marzyłem tak długo, - a ja przemyślam o schadzkach, kto wie, czy nie o zdradzie...

W tej chwili postanowił udać się zaraz do siebie. Mógł przecież niedosłyszeć. A jednocześnie był zły na Olka, który rozsiadł się przy stole z całą paką zeszytów i książek.

- Nie idziesz jeszcze spać? - spytał po jakimś czasie, widząc, że chłopak zaczyna studjować swoje notatki.

- Widzisz, że się uczę - odparł tamten - za miesiąc mam przecież egzamin. Z pokoju pani Ryški dobiegł leciutki szmer.

- Możesz się uczyć w swoim pokoju - zauważył Tadeusz - tu trzeba zgasić lampę.

- No, to ja zgaszę, wychodząc.

Wtedy Halicki wybuchnął nagle:

- Dostyc! Wiem dobrze, o co ci chodzi. Sądzisz, że może ona nadejdzie! Od

tygodnia dajesz ze siebie przedstawienie, asystując pani Denckowej... Depczesz jej poprostu po piętach!...

Olek wstał, zebrał zeszyty i rzekł sucho:

- Po piętach jej nie depczę, a że mi się bardzo podoba, tego nie myślę ukrywać. Tylko nie wiem, co ciebie może obchodzić mój stosunek do pani Ryśki.

Tadeusz miał już na ustach "milcz błażnie" - ale w tej chwili uczuł piekący wstyd: "A czemu ja sam jestem w tej chwili?" - przemknęło mu przez głowę. Olek wyszedł, trochę za głośno zamykając za sobą drzwi. "Sam jestem błazen" - mruknął Tadeusz i znowu spojrział na zegarek. Dochodziła dwunasta.

- Ciekawe, czego ona może ode mnie chcieć? - szepnął. - A jeśli to naprawdę ważna sprawa?

Wymknął się do ogrodu, jak złodziej. Okrzyzył dom. Wszędzie już panowała cisza. Pokój Mani był oświetlony błękitną lampką nocną.

- Położyła się - odetchnął z ulgą i skierował kroki w stronę alejki. Przemierzył ją sześć razy tam i zpowrotem, gdy nagle dało się słyszeć lekkie stąpanie i drobna postać, otulona szalem, prawie przywarła do niego.

- Jaka chłodna noc dzisiaj - szepnęła pani Ryśka - jeszcze dostanę kataru...

- Dlaczego pani kazała mi tu przyjść? - spytał Halicki półgłosem.

- O, to się nie da opowiedzieć w dwóch słowach... Widzi pan, ja jestem biedne stworzenie. Może bardzo zepsute i złe, ale biedne... Naprawdę, sama nie wiem, od czego zacząć... Tak mi się wszystko w głowie zamaciło...

- Niech pani zbierze myśli, a ja tymczasem zapalę papierosa - odparł zdumiony własnym spokojem. Niespodziewanie - "schatzka" stała się w jego oczach epizodem komicznym. "Najlepiej przyznam się Mani po jakimś czasie, że pani Ryśka próbowała na mnie swoich ząbków i to tutaj, wśród tych drzew, w pobliżu naszej ławeczki" - pomyślał, podczas gdy pani Ryśka zaczęła głosem cokolwiek drżącym:

- Sama nie wiem, dlaczego właśnie przed panem chcę się wyzalić...

Dlaczego właśnie przed panem...

Urwała nagle i zapytała po chwili:

- Czy pan wie, ile miałam lat, wychodząc zamaż?

- Dziewiętnaście... dwadzieścia...

- Coś koło tego. I proszę sobie wyobrazić, byłam taka dziecinna! Nie rozumiałam się na wielu sprawach... Zdawało mi się wtedy, że kocham Rożka... Dziś wiem, że go nie kocham...

- Masz sobie - pomyślał Tadeusz. - Będzie spowiedź generalna z całego życia! Tego się najmniej spodziewałem. Kobiety są rzeczywiście nieobliczalne. Ale co ja mam do roboty w tej całej sprawie? Po kiego djabła wybrała tę godzinę i miejsce, by mię zaszczycić zwierzeniami? Myślałem, że mi zaproponuje całusa. Toby było bardziej w jej stylu.

- Dziś, kiedy wiem, że go nie kocham... - ciągnęła pani Ryśka głosem przyciszonym. - Ale może siądziemy gdzieś...

- Proszę. Tu niedaleko znajduje się ławeczka.

Odszukali ją pomimo ciemności bez trudu, gdyż stanowiła zakończenie najdłuższej ścieżki, wiodącej wprost do domu. Pani Ryśka usadowiła się, otuliła szczelniej w swój szal i zaczęła już po raz trzeci:

- Dziś, gdy go już nie kocham, rozumiem, że to była pomyłka. Nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Zrozumiałam to już dawno. Jeszcze przed powrotem do kraju... To było na Rivierze...

- Anglik, Francuz czy Włoch? - pomyślał Tadeusz. Ogarnęło go w tej chwili zupełne zniechęcenie i, aby przerwać dość długą prawdopodobnie litanję imion, potwierdzających "pomyłkę" pani Ryśki, zamierzał zapytać wprost: "Dlaczego pani właśnie mnie obiera za powiernika? Sądzę, że Kocio Taff, Łada lub choćby Olek, stokroć lepiej wywiązałyby się z tej roli".

Ale ona ciągnęła dalej:

- Słowem... Trudno mi to wyrazić... Słowem, zaczęłam szukać wokoło siebie... zaczęłam szukać tych innych ludzi... niepodobnych do Rożka, nowych, nieznanymi mi... którzyby mię zaciekawili...

- I cóż? Znalazła pani?

- Właśnie, że nie. Wiszę, że pan mię nie rozumie... Wyście się wszyscy przyzwyczaili widzieć we mnie zabawną istotkę, z którą bardzo przyjemnie poflirtować, ale której nie można brać na serjo... nikt - nawet Rożek. Właściwie to on wszystkiemu winien... To on spełnia wszystkie moje kaprysy, zachwycał się każdym moim pomysłem, choćby - najgłupszym! On zawsze twierdził, że takiej osobce wszystko wolno, bo - ktoby się śmiał sprzeciwiać królownie...

Wyciągnęła do niego maleńkie rączki gestem niemal błagalnym.

- I taka jestem biedna... Tak nie wiem, co mam począć ze sobą... Przyzwyczaiłam się żyć z dnia na dzień, gonić za każdą chwilką, mniej nudną od innych... Przyzwyczaiłam się, że jestem czarująca... że mnie wszyscy kochają... że... I już nie umiem inaczej!

Dotknął tych rączek wyciągniętych ku sobie i wziął je w swoje szorstkie dłonie. Drobne paluszki zimne były jak lód i drżące. Uczuł się nagle wzruszony spowiedzią bezradną, tak prostą i bezsensowną zarazem.

- Moja... pani Ryśko! Cóż ja pani mogę poradzić? Cóż ja pani poradzę?

- Pan mię nie kocha - szepnęła prawie z płaczem. - Ja wiem, pan kocha Manię... Ale niech pan mię pocałuje... Raz jeden... Tak mi się jakoś przywidziało... Bo ja naprawdę jestem biedna... To przecież nic nie szkodzi... Jeden jedyny raz...

Gdyby Tadeusz zachował w tej chwili całą swą zimną krew i trzeźwy sposób myślenia, osądziłby trafnie, że cała poprzednia scena była przygotowaniem do tych ostatnich słów, nie wiążących się w żadną całość, uragających logice - kryjących jedną treść istotną: chęć pocałunku. Ale pani Ryśka przytuliła się do niego ruchem tak nagłym, że poczuł miękka, pachnąca kaskadę włosów na ustach i w jednej chwili starcił świadomość czasu i miejsca. Poprostu - stracił głowę. Urywany, zduszonym szeptem prosił, by nie mówiła takim głosem, bo nie zdoła dłużej panować nad sobą i wyzna jej wszystko, wszystko, co czuje dla niej oddawna. Jednocześnie całował jej rękę, "te cudowne, takie zimne rączyny".

Nie odrywając główki od jego piersi, spytała miękko, pieszczotliwie, tonem dziecinnym:

- Kocha mię? Troszkę... troszeczkę?... Rysieńka tak bardzo chce... Rysieńka o tem marzyła...

Znał już ten głosik rozkapryszony, stanowczy i nie znoszący sprzeciwu. Takim tonem mówiła często do porucznika Taffa, do Munia Łady, nawet - do męża. Ale w tej chwili słowa były cudownie nowe, jedyne i upragnione. Mówiła: "Kochaj mnie", więc odpowiedział: "Kocham, kocham, kocham", nieprzytomny ze szczęścia.

Nagle pani Ryśka szarpnęła się gwałtownie i odsunęła na drugi koniec ławeczki.

- Ktoś idzie tutaj! - wyjąkała z przest్రachem.

Chwilę nasłuchiwali oboje, ale w ogrodzie było zupełnie cicho.

- To pewnie liść spadł z drzewa - ozwał się Tadeusz.

Nastrój poprzedni prysnął. Posiedzieli jeszcze kilka minut bez ruchu, poczem pani Ryśka podniosła się:

- Chodźmy. Zimno mi. To jednak było warjactwo z naszej strony...

Ruszyła ku domowi. "Współwinowajca" szedł za nią w milczeniu. Przed samym domem zatrzymała się:

- Czy te drzwi bardzo skrzypią?

- Nie wiem, nie uważałem.

Machnęła rączką zrezygnowana:

- Et, właściwie wszystko jedno. Mania i tak się dowie, żeśmy spacerowali w ogrodzie.

Weszli do mrocznej jadalni. Naftowa lampa paliła się błękitnym, dogasającym płomykiem. Tadeusz odprowadził panią Ryśką do jej drzwi.

- A jednak... - szepnęła, wspinając się na palcach do jego ucha. - A jednak... Mogłam wygrać zakład...

I pogroziwszy mu z minką filuterną, zniknęła w swoim pokoju.

Czekał jeszcze jakiś czas z nadzieją w sercu, przystawał, nasłuchiwał. W domu było tak cicho, że mimo drzwi zamkniętych słyszał nietylko plusk wody

w miednicy, ale nawet szelest zdejmowanej sukienki. Potem stuknęły trzewiczki - jeden za drugim - potem zadźwięczały sprężyny. Zdmuchnął dogasającą lampę i ujrzał wtedy dobywającą się przez szczelinę cieniutką smugę światła na podłodze. Stał jeszcze dobrą chwilę, medytując:

- Nie śpi. Zapewne czyta książkę.

Jakgdyby w odpowiedzi, zachrobotała przewrócona kartka. Pani Ryśka czytała książkę...

- Zadrwiła ze mnie! Poprosto zadrwiła ze mnie! - pomyślał niemal z rozpaczą. W tej chwili był bardzo nieszczęśliwy. Nie mógł się pogodzić z faktem, że jednak cała ta scena w ogrodzie była przygotowana zawczasu i odegrana mistrzowsko. Czuł jednak zapach miękkich włosów, każde dotknięcie rączek zziębniętych, każde drgnienie tej wiotkiej, tulącej się ku niemu postaci. Zaczął rozpamiętywać słyszane słowa, ale gubił co chwila treść. Pamiętał tylko ich muzykę rozkoszną. Już tęsknił.

Wszedł cicho do sypialni. Wątle światelko lampki nocnej zachybotało, kładąc drgające, ruchome plamki światła na twarzy śpiącej. Mania miała zamknięte oczy, lecz oddychała tak cicho, że mimowoli pomyślał: Może udaje? Może nie spała przez cały czas? Może... to ona chodziła po ogrodzie? Ale odrzucił tę myśl, jako wręcz nieprawdopodobną. Znadto dobrze znał Manię, wiedział, że nie śledziłaby go w taki sposób, nawet... gdyby miała jakoweś podejrzenia.

- "Jednakże podły jestem" - zauważył w duchu, zdejmując jak najciszej ubranie. I znów nie mogąc usnąć, powrócił do niedawnych wspomnień.

A jeśli ona doprawdy zadrwiła ze mnie? Ha, w takim razie...

Nie wiedział jednak co "w takim razie" wypadałoby mu uczynić i to zwiększało jego niepokój. W tej chwili zdawał sobie sprawę, że się nie zdoła uwolnić od słodkich wspomnień i jeszcze słodszych nadziei. Na pociechę przypominał sobie, że przecież jutro zobaczy panią Ryśkę, będzie z nią mówił, zapyta ją poprosto, otwarcie...

Nazajutrz wstał dosyć późno. Kiedy się zjawił w jadalni, uroczą osóbką właśnie kończyła śniadanie.

- A! jest nareszcie ten śpioch! - rzekła wesoło, zgarniając łyżeczką resztę konfitur ze spodka. - Cóż to się panu stało? Za godzinę odchodzi pociąg. Czy pan zapomniał o swojej obietnicy?

Uderzył go niemile żartobliwy i beztroski ton jej głosu. Wyobraził sobie, nie wiedzieć czemu, że go powita jakoś inaczej, uroczyściej, może z lekkim zakłopotaniem. Nic podobnego. Szczebotała wesoło, po swojemu, przekomarzając się z Olkiem, który znosił jedną po drugiej gotowe do drogi walizki, zachwycała się piękną pogodą, kręcąc głową w aureoli złocistej - była poprosto w wyśmienitym humorze.

- Nalać ci zaraz kawy, czy też poczekasz na świeżą? - zapytała Mania, kładąc przed Tadeuszem nakrycie.

Podsunał filiżankę bez słowa. Podczas, gdy żona, zgarniała starannie "kożuszek", którego niecierpiał, pani Denckowa jęła się nagłe przypatrywać ubraniu Halickiego. Czyniła to tak długo, uważnie i z miną tak złośliwą, że wreszcie zapytał tonem lekko zniecierpliwionym:

- Czy pani widzi w moim ubraniu coś szczególnego?

- Ma pan... włos na mundurze! - odparła i nagłym ruchem, przerzuciwszy się przez stół schwyciła zręcznie i szybko długą, cieniuchną nitkę, lśniąca w blasku słonecznym, jak szczerze złoto.

- No patrzcie! - odezwała się znowu z podziwem w oczach, mierząc jej długość. - Naprawdę włos kobiety! Ciekawe tylko... mój, czy... Wandzi? Ty, Maniu, nie wchodzisz w rachubę... Ona jest blondynką...

- O, przepraszam! - krzyknęła Wandzia z oburzeniem. - Mnie włosy nie wypadają i mam krótsze... A zresztą, bardzo ciekawa, skąd właściwie...

Tadeusz rzucił krótkie, badawcze spojrzenie na Manię. Twarz miała spokojną, tylko kąciki jej ust jakgdyby lekko drgały.

- Ha! - rzekła pani Ryśka, bynajmniej niez mieszana. - A zatem los padł na mnie...

I rozłożyła ręce ruchem komicznie rozpaczliwym.

- Ale to jednak zabawne!... - dorzuciła po chwili ze śmiechem. - Sama

znalazłam ten włos...

- No, czas wyruszać! - zawołał Olek, wnosząc ostatnią walizkę. - Jeśli pani naprawdę chce nas porzucić...

- Z żalem... ale cóż robić! Toust passe... Aj, aj! - krzyknęła, spojrzawszy na zegarek. - Rzeczywiście, już bardzo późno! Gdzie mój kapelusz? Torebka została w saloniku. Dziękuję wam raz jeszcze, moi kochani! Panie Tadeuszu, pędzimy! Pa, Maniuś!... Jeśli się spóźnię na pociąg, stracę przemiłe rendez-vous... Addio! Panie Olku, polecam moje walizki!

W dwie minuty później byli już daleko od domu. Pociąg rzeczywiście nadchodził, słychać było za górką jego ciężkie sapanie. Skoczyli do wagonu. Olek podał Tadeuszowi ostatnią walizkę przez okno.

- Uf! - zawołała pani Ryśka, rzucając się na ławkę. - Gorąco mi... Całe szczęście, żeśmy zdążyli...

Nagle parsknęła śmiechem, coś sobie przypominając.

- Ha, ha! Ale się panu udało z tym włosiem!... I jak pan teraz wybrnie z kłopotu?... Mania powinna panu zmyć głowę...

Milczał i patrzył na nią wymownie, oczyma rozżarzonymi.

## Rozdział Xix.Ñ

### To się zdarza

Po raz pierwszy Wandzia o mało nie spóźniła się na pociąg, ponieważ profesor fizyki, przejęty doświadczeniami, o kwadrans przedłużył lekcję. Jak zwykle w podobnych okolicznościach, "pech" towarzyszył dziewczynce wytrwale aż do końca. Czekala bardzo długo na tramwaj i wreszcie, dojechawszy do Mokotowa, ujrzała przed kasa kolejki ogromny, półkilometrowy "ogonek", zawinięty w esy floresy. Zrozpaczona, że trzeba będzie poczekać na stacji godzinę, drogocenną godzinę cudnego jesiennego dnia, stanęła bezradnie, nie wiedząc, co dalej robić, gdy nagle usłyszała niski głos męski, mówiący powoli a dobitnie:

- Moje uszanowanie, panno Wandziu! Czy pani jedzie do Biedronki?

- Ach, proszę pana! - krzyknęła, poznając Adamskiego, który kilkakrotnie był u nich. - Pociąg za chwilę odchodzi... Boję się, że nie dostanę biletu...

- Oto jest! - odparł, odchodząc od kasy. - Domyśliłem się, że pani ogląda się tak rozpaczliwie, nie wiedząc, jak tu dobrnąć. Służę pani.

I podał jej jeden z trzymanyh biletów. Wandzia uradowała się - lecz i zakłopotala zarazem:

- Bo ja właściwie jeżdżę za pół biletu... Jako uczennica... Ale to nic nie szkodzi! Bardzo panu jestem wdzięczna...

- Co za gapa za mnie! - uderzył się w czoło. - Naturalnie! Ale pani tak wyrosła przez te wakacje! Nie przyszło mi do głowy, że takie poważne osoby używają jeszcze pół biletu! A teraz chodźmy prędko, bo pociąg nam ucieknie. Czy pani pozwoli, że będę jej towarzyszył? Chciałem się właśnie wybrać do państwa.

- Do nas? - zawołała Wandzia, wskakując na stopień. - O, jak to dobrze! Mania się bardzo ucieszy!... Ona teraz jakoś marnie się czuje... Udaje zdrową, ale ja ją znam! Na pewno się ucieszy, ona pana ogromnie lubi! Mówiła mi...

- Naprawdę, mówiła pani?

- Jak mówię, że mówiła... Pocobym miała kłamać? Mania mało kogo tak lubi, jak pana. Powiedziała, że ze wszystkich przyjaciół męża pan jej się najbardziej podoba...

- To jeszcze względny komplement - wtracił Adamski, ubawiony zwierzeniami dziewczynki.

- Widocznie pan nie zna Mani... Jak ona sama o kimś zaczyna mówić, to znaczy, że go lubi. Inaczej nie powiedziała by ani słowa. Ale poco ja to wszystko plotę? Dobrze, że pan jedzie do Biedronki i - szlus.

Widząc zaś zdziwioną minę "Adzia", wytłumaczyła pośpiesznie:

- To... takie słowo, bardzo w tym roku modne w naszej klasie.

Adamski się uśmiechnął:

- Więc panie wprowadziły modę i na słowa?

- O, tak. Naprzykład, w zeszłym roku miałyśmy ulubione określenie: "jak drut w kubie". Ciągłe się tego używało, przy każdej sposobności. Nawet Mania w końcu prosiła, żebym dała spokój chociaż w domu, bo wszyscy mają po uszy tego drutu. A w tym roku mówi się "szlus" i "amazon".

A cóż to znaczy "amazon", można wiedzieć, panno Wandziu?

- Czy ja wiem? To jest męski rodzaj od "amazonka". To wprowadziła moja koleżanka Hania, dlatego, że druga moja koleżanka, Zosia, jeździła latem konno z praktykantem. Więc tego praktykanta nazwałyśmy "amazonem". A teraz się mówi "amazon" - wogóle... o mężczyznach.

- Panie często rozmawiają o mężczyznach? Czy to warto? Takie szkaradne stworzenia!... - rzekł Adamski, coraz bardziej rozweselony niespodziewanym obrotem, jaki przybrała ich rozmowa.

Ale Wandzia odparła rezolutnie:

- Pewnie, że szkaradne! Muszę się panu przyznać, że ja mężczyzn niecierpię... Od pewnego czasu... No, naturalnie, są wyjątki... Ale wogóle...

- I cóż wpłynęło na tę animozję? Czyżby który z nich zawinił czemkolwiek wobec pani?

- Nie wobec mnie... Ale... Zresztą, co tu mówić długo: niecierpię ich i...

- ...szlus! - dokończył Adamski.

- Właśnie! o< niech pan spojrzy - wychyliła się nagle przez okno. - Co za cudowny klon! Wygląda, jakby się palił... Żebym była malarzem, tobym w tej chwili wysiadła i namalowała to wszystko: tam, daleko, las wydaje się blade niebieski, woda w kałużach jest całkiem szafirowa, a ten klon - złoty!... To śliczne! Czy pan zauważył, że woda nigdy nie jest taka szafirowa, tylko jesienią? To dziwne... Bo niebo właśnie jest bledsze, jakby spłowiało od słońca letniego... Ach, jakbym chciała umieć kiedyś namalować wszystko, co zobaczę i co mi się spodoba! Namalować i las i rzekę i Biedronkę i Manię i - pana!

- I mnie także?

- Naturalnie. Teraz naprzykład ma pan takie śliczne światło na nosie: zupełnie fiołkowe. To się nazywa refleks, prawda? Gdybym była malarzem, namalowałabym wszystko, co widzę... podczas wakacyj spróbowałam zrobić portret Bukieta (to nasz pies!) na trawie... Ale wyszedł bohomaz. Tak przynajmniej dowodził Olek... Tylko Mania pocieszała mnie, że prawe oko jest jak żywe i bardzo podobne... Mania zawsze wynajdzie coś, by mię pocieszyć... Nie ma pan pojęcia, jaka ona strasznie dobra! Tylko teraz jest trochę... rozdrażniona i smutna... Ale przysięgła mi wczoraj, że nie ma żadnego "prawdziwego" zmartwienia.

- Pani Marja rozdrażniona? Nie mogę sobie tego wyobrazić...

- O, tego nikt nie spostrzeże! Ale kto dobrze zna Manię...

Adamski pomyślał, że mimo krótkiej znajomości, onby na pewno - spostrzegł. Głośno zaś spytał:

- A tak wogóle co słyhać u państwa? Wyjeżdżałem zagranicę w interesach. Wróciłem wczoraj wieczorem i - jak pani widzi - pierwsze kroki kieruję do przemiłej Biedronki. Czy Tadeusz zawsze teraz wraca z Warszawy późniejszym pociągiem, czy może dziś wcale nie jeździł? Liczyłem potrosze, że go spotkam na kolei. Mam do niego dość pilną sprawę.

- Rotmistrza niema w domu.

- Tak? A to szkoda! Gdybym był wiedział, że go jeszcze złapię w Warszawie, załatwilibyśmy tę sprawę na miejscu, w trzech słowach. Ale pewnie nadjedzie następnym pociągiem?

- Nie wiem. Prawdopodobnie nie... - odparła Wandzia z widocznym zakłopotaniem.

- Więc wróci dopiero późnym wieczorem?

- Może i wróci... - szepnęła. - Ale pewnie znowu będzie nocował w

Warszawie.

Adamski oniemiał. Było coś szczególnego w tonie dziewczynki, jakaś nuta półżalosa, półgniewna. "Tu się coś stało" - pomyślał. Lecz co się stało mianowicie? Napróżno silił się odgadnąć. Po namyśle zaczął wolno, cedząc słowa ostrożnie:

- Więc go prawdopodobnie dziś nie zastanę? Szkoda... Przyznam się pani, że poza miłą perspektywą spędzenia z paniami popołudnia, liczyłem jeszcze, że się zobaczę z Tadeuszem. Więc on teraz niezawsze wraca do domu?

- Od paru tygodni - odparła Wandzia, dorzucając pośpiesznie wyjaśnienie: - Bo... tak się stało, że jest obecnie zajęty do późnego wieczora... Zastępuje chorego przyjaciela... więc... więc nawet nie warto mu wracać po nocy, żeby rano znów jechać do sztabu...

- Ach, zastępuje chorego przyjaciela? Zapewne kolegę? No, ale przecież w dniu świąteczne...

Wandzia poruszyła się na ławeczce. Szczera, otwarta jej twarzączka zdradzała coraz większe zakłopotanie. Głosem cokolwiek przyciszonym, jakby niepewnym, odparła po namyśle:

- W niedzielę? Niestety, tak się jakoś źle składa... Ostatnim razem zawiadomił nawet Manię przez Olka, że przyjedzie rannym pociągiem... Ale widocznie coś zaszło... Może znowu przesiedział cały dzień z chorym kolegą? Muszę się nawet przyznać przed panem, że... jestem zła na rotmistrza! Bo przyjaciel, czy nie przyjaciel, to jednak... I przecież zawsze... Nawet jestem pewna, że to zrobiło wielką przykrość Mani...

- I... ten przyjaciel dawno choruje?

- O, dawno. Już przeszło dwa tygodnie. Zaraz... Kiedy to było? Aha! Jak tylko rotmistrz odwiózł panią Denckową do Warszawy... Tak, tak! Na drugi dzień przysłał przez konduktora karteczkę, że Niestety, zaszły takie okoliczności...

- Przyjaciel zachorował?

- Właśnie.

- I prosi o zastępstwo?

- Nie wiem, czy prosił, czy nie prosił, ale rotmistrz napisał, że ofiarował się zastąpić go... No i już tyle czasu...

Głos jej zadrżał, Adamski zaś dostrzegł, że oczy dziewczynki stały się dziwnie szkliste, jakby zaszły łzami.

- Tak - szepnął - to się zdarza...

Pociąg jał zwalniać - Wandzia wychyliła się przez okno i krzyknęła zdumiona:

- O, to już nasza stacja! Dojechaliśmy dziś tak prędko!

Porwała swoją teczkę z książkami, mówiąc wesoło:

- Zobacz pan, że Bukiet będzie na stacji. To taki mądry pies! A punktualny! Jakby nosił zegarek...

Rzeczywiście kudłate psisko patrzyło wyczekująco na małe wagoniki, machając puszystym ogonem. Powitanie było długie i tak serdeczne, jakby para przyjaciół nie widziała się przynajmniej rok czasu.

- A teraz - rzekła wreszcie dziewczynka - Bukiet, za nogą! Chodźmy prędko... To się Mania ucieszy, gdy pana zobaczy!

Jednakże pani Halicka była nietyle ucieszona, co - zaskoczona. Miała minę osoby, która za wszelką cenę usiłuje ukryć nieomal przykry zawód.

- W pierwszej chwili - tłumaczyła głosem dziwnie wzruszonym - w pierwszej chwili nie poznałam pana... Myślałam, że Tadeusz przyjechał razem z Wandzią...

Adamski patrzył na jej twarz, zmienioną do niepoznania. Oczy w sinych obwódkach zdawały się jeszcze większe i miały jakiś bolesny wyraz. Na policzkach, zamiast rumieńca, występowały brzydkie, brunatne plamy; ten sam wyraz bolesny czaił się w kącikach ust pobladłych. "Ta kobieta jest znękana i najwidoczniej chora", pomyślał Adzio. Nagle ogarnęło go współczucie tak głębokie, że począł całować ręce Mani, - po raz pierwszy w życiu zapewne, zamiast krągłych frazesów, bąkając głosem prawdziwie wzruszonym:

- Niestety, to tylko ja... Tak bardzo pragnąłem zobaczyć panią... Odetchnąć bodaj chwilę przeczystą atmosferą, jaka zawsze tutaj, w

Biedronce... Wiem, że Tadeusz jest w Warszawie... Mimo to pozwoliłem sobie...

- Czy pan się widział z moim mężem? - spytała Mania, a w pytaniu tem, oprócz obawy, drżała ukryta nadzieja.

- Nie, pani. Nie widziałem się z nikim jeszcze. Wiem tylko od panny Wandzi, że Tadeusz zastępuje chorego przyjaciela w biurze.

- Tak - rzekła krótko.

- To zapewne Konarkiewicz. On często zapada na zdrowiu - mówił, usiłując odzyskać zwykły, pogodny ton gawędziarski. - Doprawdy, szczerze współczuję Tadziowi, że tyle czasu tkwi w obrzydliwym mieścisku, zamiast podziwiać urok polskiej jesieni i to tu właśnie, w waszej ślicznej Biedronce...

Mania skinęła głową potakująco, ale z jej oczu wyzierało niemal zniechęcenie i taki brak wiary w ów "żał" - że Adamski zamilkł. "Tu się coś stało - pomyślał po raz drugi z zupełnym już przeświadczeniem. - Ona coś wie, coś czuje, a Tadeusz jest cymbałem!"

I ogarnął go taki gniew na przyjaciela, że byłby mu w tej chwili poprostu, zwyczajnie nawymyślał, jako głupcowi, marnującemu tyle cichego szczęścia dla przelotnej i lichej - zapewne - fantazji.

"Zastępuje chorego kolegę! Nie pokazał się w domu od tygodni... Zatrąwa spokój tej cudownej kobiety, najlepszej, jaką znam!" pieniał się w duchu, połykając z pasją olbrzymie porcje węgierek, które pani Halicka nakładała ciągle na talerz.

Wkrótce po podwieczorku wyruszył na stację, przypomniawszy sobie nagle, że ma w Warszawie jeszcze jakąś ważną wizytę. Mania nie zatrzymywała go zbyt natarczywie. Z twarzy jej, ożywionej na chwilę, znów przebijało zmęczenie i troska, nurtująca widocznie biedaczkę.

- Tylko niech pan nie wspomina Tadziowi - powiedziała, żegnając gościa - że jestem niezupełnie zdrowa... To nic, to przejdzie, a nie chcę, aby się niepokoił...

- Tegobym wolał nie obiecywać - odparł Adamski, - lecz... skoro pani tak każe...

Ostatnie słowa pani Halickiej brzmiały mu jeszcze w uszach, gdy jechał kolejką do Warszawy. Myślał więc dalej na ten sam temat: "Głupiec! Uwikłał się w jakąś idjotyczną historię... Dałbym nawet głowę, że wiem, o kogo tutaj chodzi..."

Prosto ze stacji pojechał do Dencków. W przedpokoju wisiały liczne palta, lecz z głębi mieszkania nie dochodził normalny gwar, a tylko stłumione, przyciszone głosy. Widocznie robiono "nastrój". Otworzywszy drzwi, Adamski zatrzymał się, nie mogąc rozeznaczyć zarówno sprzętów, jak ludzi w mrocznym salonie. Rzeczywiście panowały tu niemal zupełne ciemności. Jedyne, stojące w głębi lampa, osłonięta batikową chustką o barwach rudo-fioletowych, oświetlała bardzo niedostatecznie nawet najbliższe przedmioty. Dalszy plan, skąd przenikały właśnie owe ściszone głosy, tonął zupełnie w mroku. "Nastrój" był doprawdy wyjątkowy i nawet Adamskiego mocno zdziwił.

- Kto tam? - ozwał się z czarnych czeluści rozkapryszony głos gospodyni. - Ach, to ty, Ada? Jak się masz! Więc już wróciłeś? Proszę cię podejść bliżej, bo nam się trudno ruszyć z miejsca... Ale przetem z łaski swojej przekręć kontakt koło drzwi... Tu rzeczywiście jest trochę ciemnawo. Jeszcze zawadzisz po drodze o jakiś stolik i potłuczysz mi chińską porcelanę...

Postąpił wedle wskazówek. Jasne światło lamp elektrycznych, zwisających gronami z sufitu, zalało cały pokój. Jednym krótkim a badawczym spojrzeniem Adamski ogarnął sytuację. Na niskiej kanapie w rogu stłoczyło się pięć, czy sześć osób. Pośrodku siedziała "złotowłosa", wciśnięta pomiędzy dwóch panów, z których jeden, podtatusiały mocno i piękną brodą ozdobiony jegomość, usiłował natychmiast zmienić pozę rozkosznie niedbałą na nieco bardziej oficjalną. Drugi sąsiad - doktor Rudnicki, nie zadawał sobie tego trudu, tylko mrużąc oczy od światła, lewą ręką posłał Adamskiemu pozdrowienie w powietrzu. Po obu bokach tej malowniczej trójcy mieścili się, jak mogli - Tadeusz Halicki i Łada. Porucznik Taff leżał na dywanie, nieporuszony, z brodą opartą o maleńkie stopy, wychylające się z pośród



tego rumowiska ciemnych sylwetek, jak dwie strzały, zakończone ostremi, błyszczącymi noskami pantofelków.

- Tak - pomyślał Adamski, podchodząc bliżej. - Teraz już... jestem w domu!

- Przerwał pan bardzo interesujący moment - zaświegotała pani Ryśka, wyciągając ku niemu łapkę na powitanie. - Opowiadaliśmy sobie bajki... Nadzwyczaj ciekawe historie... Właśnie pan dyrektor... Ale prawda, panowie się nie znają! Panie January, niechże się pan troszkę posunie! Tu jest taki tłok, że odetchnąć nie można!...

Jegomość z wielką brodą usiłował powstać, co mu najwidoczniej sprawiało nieco trudności. Pokonawszy je wreszcie, umocował się lepiej na nogach, przytupnął, jakby dla sprawdzenia, że istotnie ma pod stopami solidną, dębową posadzkę i wyciągając rękę do Adzia, wymamrotał jakieś nazwisko, które, "żeby trudniej było zgadnąć", nie kończyło się ani na "ski" ani na "icz" ale zato posiadało cały szereg spółgłosek twardych i trzeszczących.

- Bardzo mi przykro, że mimowoli przerwałem państwu tak uroczy "nastrój" - ozwał się Adamski.

- O, nic nie szkodzi - zaprzeczyła żywo pani Ryśka. - Zresztą co do mnie, miałam już dość tych opowiadań... To niezdrowo przed nocą... Niektóre były doprawdy straszne... Zwłaszcza pan January dobiera tak plastycznych określeń...

I posłała brodatemu śliczne, pół-zagniewane, a pół-przebaczące spojrzenie, wskutek czego jegomość uczuł się w siódmym niebie i dla pewności znowu spróbował, czy podłoga jest dosyć wytrzymała, by dźwignąć tak wielką radość gentlemana.

Adamski począł nieznacznie manewrować, by zbliżyć się do Tadeusza, który odszedł w stronę fortepianu i z miną bardzo wytrawnego znawcy oglądał nuty najnowszych kompozycji amerykańsko-murzyńskich. Jednakże mała osóбка, wpadłszy nagle w zgoła inny "nastrój", znacznie weselszy, a nawet poprostu rozdokazywany, udaremniła te manewry, usiłując zatrzymać przy sobie "najmilszego Adziulę, za którym szalenie była stęskniona".

- Bo ja go pasjami lubię i nawet nie rozumiem, jak mogłam wytrzymać, nie widząc go tak długo! - dowodziła, wodząc bystreimi oczkami po zebranych. - Poprostu pojęcia nie macie, jak ja za nim przepadam!

I pogłaskała "Adziulę" ruchem małej dziewczynki, która ma zwyczaj mówić "cacy - cacy"!

Wreszcie Adamski zdołał się wyrwać na chwilę z tej słodkiej niewoli, podszedł do fortepianu i - brzdąkając jakieś akordy - ozwał się półgłosem do Tadeusza:

- Czy będziesz tu tkwił cały wieczór? Mam z tobą do pomówienia w pewnej sprawie...

- Mianowicie? - spytał Halicki, unikając wzroku przyjaciela.

- Wolałbym o tem pomówić gdzie indziej. Denckowa niecierpi rozmów o interesach...

- Ach, więc to jakieś interesy? - odparł rotmistrz z widoczną ulgą i podniósł głowę, jak człowiek, któremu spadł z ramion przykry ciężar. - Owszem, służę ci. Możemy wyjść, choćby zaraz. Prawdę mówiąc, mam już dość tej "zabawy".

- Co wy tam sobie szepczecie? Na pewno jakieś obrzydliwe anegdotki! - zawołała pani Ryśka, grożąc im zdaleka. - Ci mężczyźni są wszyscy jednakowi... Ledwie się spotkają, zaczynają na boku powtarzać sobie nieprzyzwoite dowcipy! No, prawda, że zgadłam?

- Zgadła pani. To trudno, mamy już takie przyzwyczajenie - odrzekł Adzio, a Tadeusz pomyślał: Kiedy ja słyszałem podobny dialog? Ten głosik wyzywający, te aluzje do "anegdotek?" I nagle - przypomniała mu się Naneta.

Po kwadransie wydostali się na ulicę, mimo protestów pani domu, która twierdziła z oburzeniem, że są nieznośni i popsuli jej taki miły wieczór.

- Zwłaszcza, że Rogera niema w domu - mruknął Adamski, przystając przed bramą, aby zapalić papierosa. - A propos, nie wiesz, mój drogi, gdzie on się podziewa? Tyle czasu nie byłem w Warszawie, że nie jestem chwilowo au courant różnych nowinek... Zdziwiło mię tylko, że taki "domator" jak

Roger...

- Podobno chodzi na karty.

- On, na karty? Od kiedy to? - zdumiał się Adzio.

Tadeusz wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pani Ryśka skarżyła się kiedyś, że godzinami przesiaduje w klubie. Powtarzam, co słyszałem.

- Biedaczka! - rzekł Adamski z ironją.

- Daj spokój, to naprawdę biedna kobieta... - szepnął Tadeusz. -  
Niewszystko w rzeczywistości wygląda tak, jak się napozór wydaje... Ale o czym chciałeś pomówić ze mną?

- A prawda. Otóż chodzi o twoje mieszkanie po ciotce Leokadji. Bo widzisz, tak się składa, że mógłbym ci za nie ofiarować o... powiedzmy nawet, o... tysiąc złotych więcej, niż ci dawano. Nie bez tego, że sam coś przy tym zarobię: odziedziczyć nieco mniejszy lokal, bardzo wygodny, po jego obecnych lokatorach...

- Niestety - rzekł Tadeusz - mieszkanie już sprzedałem.

- Dawno?

- Dwa tygodnie temu.

- Szkoda... - szepnął Adamski - obaj straciliśmy dobrą okazję.

- Czy masz zamiar się żenić, że myślisz o przeprowadzce?

- Narazie - nie. Ale w przyszłości... Należy być przewidującym. Miałem dostać tamto mieszkanie, o ile kupiłbym twoje, podobno bardzo obszerne i z ładnymi meblami. Ileś wziął za nie?

- Dziesięć tysięcy.

- Ha, to jesteś teraz przy flocie. Słuchaj, mój drogi! W takim razie zaproponuję ci coś innego: doskonałą lokatę na pięć tysięcy, gwarancja murowana, znasz mnie chyba. Termin wypowiedzenia: trzy miesiące. Procent płatny zgóry półrocznie...

- Niestety - rzekł Halicki - muszę się wyrzec i tego.

- Czemu?

- Bo... nie mam już tych pieniędzy... Zapłaciłem ratę za "Biedronkę"...

- Ostatnią?

- Nie. Mam jeszcze jedną w kwietniu...

- No, dobrze - mruknął Adamski. - Ale o ile sobie przypominam naszą ostatnią rozmowę, - wtedy w kawiarni, pamiętasz? - obie raty wynosiły razem osiem tysięcy. Wybacz, mój drogi, że się wtrącam w twoje prywatne sprawy, ale... Bo ta lokata, którą ci proponuję, to naprawdę rarytas! Miałbyś na wiosnę swoje pieniądze i kilkaset złotych zarobku...

- Dziękuję ci za dobre chęci, ale powtarzam, że tych pieniędzy już nie mam... Niespodziewane wydatki... Trochę drobnych długów... Tak się rozeszło...

- Rozeszło się? Sześć tysięcy złotych? - zawołał Adamski tracąc na chwilę zimną krew. - Co ty mi tu bredzisz!

Nagle oprzytomniał, uśmiechnął się z przymusem i rzekł nieco kwaśno:

- Nie gniewaj się na mnie, Tadek. Widzisz, to tak, z przyzwyczajenia... Zawsze uczyłem cię, jak postępować z pieniędzmi... Bo ty jednak nie miałeś wielkich finansowych zdolności... Ale teraz - ot, zapomniałem na śmierć, że jesteś już poważną firmą: człowiekiem żonatym... prawie ojcem rodziny...

Tadeusz wzruszył ramionami.

- Jeśli o to chodzi, nie wiem, czy małżeństwo ma człowieka bezwzględnie chronić od głupstw. Każdy je czasem popełnia.

- Naturalnie zależy jak jakie małżeństwo - zauważył Adamski z naciskiem -  
naprzykład twoje... powinno.

- Ciekawym bardzo, czemu właśnie moje?

- Bo... już ci raz mówiłem. Masz wyjątkową kobietę za żonę.

Tadeusz nic nie odpowiedział. Stanęli właśnie przed bramą jego dawnego "kawalerskiego" mieszkania.

- No, to cię już pożegnaj - rzekł wyciągając rękę do Adamskiego.

- Nie wracasz dzisiaj do siebie, na wieś? - zdziwił się tamten. - Jestem pewien, że tramwajem zdażyłbyś jeszcze na pociąg.

- Nie warto. Jutro rano muszę być znowu w sztabie. Zanocuję u Olka.

- A prawda - rzekł wolno Adzio, patrząc mu w oczy. - Podobno od jakiegoś czasu zastępujesz chorego przyjaciela... To pewnie Konarkiewicz, co?

- Nie - odparł, ociągając się, Tadeusz. I nagle spytał podejrzliwie: - Kto ci o tem mówił?

- Tak słyszałem, na mieście... Nie pamiętam, od kogo... A więc dowiedzenia! Szkoda, żeś się pośpieszył z tem mieszkaniem. Dostałbyś lepszą cenę ode mnie. Ale trudno. L'homme propose, Dieu dispose...

Po rozstaniu się z przyjacielem, Adamski wolno przeszedł na drugą stronę ulicy. Minał kilka domów, przystanął, zawrócił i - wsunął się w ciemną wnękę bramy naprzeciwko mieszkania Tadeusza. Nie czekał długo: po chwili usłyszał brzęk ostróg. Wysoki mężczyzna w mundurze oficera ułanów wyszedł, rozejrzał się i skinął na przejeżdżającą dorożkę.

- Pańska, czterdzieści sześć! - krzyknął - tylko dobrego kłusa!

Woźnica śmignął chuderławą szkapinę batem po krzyżu. Adzio wysunął się z ukrycia.

- Tak - szepnął, śledząc wzrokiem oddalającą się dorożkę. - Ten "przyjaciel" jest rzeczywiście poważnie chory...

Rozdział Xx.Ń  
Sic transit...

Tadeusz spojrział na zegarek - było dopiero około południa, czuł jednak, że nie wytrzyma w biurze ani kwadransu dłużej. Od kilku już dni zdawał sobie dokładnie sprawę, że taka sytuacja nie może trwać bez końca.

- Tak - mruknął - trzeba z tem skończyć natychmiast.

Chwycił czapkę, palto i wybiegł na ulicę. Dzień był wietrzny, dżdżysty, poprostu wstrętny. Drobny deszczyk siekł zawzięcie zukosa, wiatr mocował się z drzewami, szarpiąc je i odzierając z ostatnich liści. Mały skwerek przy zbiegu ulic wyglądał jak śmietnisko, zarzucone butwiejącymi liśćmi i papierami, które co chwila zrywały się z miejsca, podlatywały ku górze i padały znów na ziemię rozmiękłą, jak zmokłe, brzydkie ptaki o przetraconych skrzydłach. Pośrodku jezdni goniły się bilety tramwajowe; czasem jakiś kapelusz, zerwany z głowy przechodnia, wpadał pomiędzy tę hołotę, roztracał ją i toczył się pośpiesznie wzdłuż szyn, aż nagle, jakby mu sił zabrakło, padał płasko w kałużę błota.

Pomimo tak brzydkiej pogody Tadeusz wałęsał się po mieście z godzinę, niby bez celu, a właściwie krając w pobliżu wysokiej kamienicy, wciśniętej między dwa domy stare i odrapane. Powziął silne postanowienie, że nie zwlekając pójdzie do pani Ryśki, aby z jej własnych ust usłyszeć prawdę, całą prawdę, bezwzględną prawdę - choćby to miał być nieodwołalny wyrok na niego.

Musi się wreszcie dowiedzieć, co znaczy ten January Derkacz, który się nagle pojawił na horyzoncie, dystansując w tak krótkim czasie wszystkich Ładów i Taffów, ba, - nawet doktora Rudnickiego. Spadł, jakby z nieba - ze swą krągłą łysinką, ze swoją brodą asyryjską, z wspaniałą laską o gałce szyldkretowej, z tytułem dyrektora świetnie prosperującej fabryki i z uwielbieniem, aż zbyt widocznie okazywanem "złotowłosej".

O tych innych, o Ładę, Taffa, nawet o Rudnickiego Tadeusz nie był zazdrosny. Mieli, tak jak on, względnie równe prawa, mniej albo więcej uzasadnione. Byli domownikami, stanowili nieomal częśćkę umeblowania. W chwilach oprzytomnienia (rzadkich, niestety!) Tadeusz zdawał sobie sprawę, że on sam jest jednym pionkiem więcej w orszaku niewolników, dźwigających - na zmianę - lektykę ubóstwianej królowej. Zżymał się wtedy i nawet usiłował buntować, lecz jeden uśmiech, jedno słówko, powiedziane specjalnym tonem - uśmierzało bunt i wskrzeszało nadzieję. Stawał się znów bezwolny, uległy i nawet... szczęśliwy, tłumiąc wyrzuty sumienia, budzące się niekiedy na wspomnienie opuszczonego domu. Powtarzał sobie: "To nic. Przecież nie przestałem kochać mej żony i nie porzucę jej, a to jest tylko szal, opętanie chwilowe, nagła i silna gorączka, która musi minąć równie nagle,

jak wybuchła".

Nie przemijała jednak. Przeciwnie, rosła z upływem tygodni, podsycana zazdrością i upokorzeniami, które teraz łykał razem z innymi, on, wybraniec chwilowy "jej" kaprysu, zepchnięty do rzędu smarkaczy-wielbicielei, jakich miała na zawołanie - tuziny całe!

Odwiózł ją do Warszawy, zebrząc wzrokiem jednego łaskawego spojrzenia. Powiedziała mu: "proszę przyjść dzisiaj wieczorem". Przyszedł. Kazała mu przychodzić stale, codziennie, przesiadywać długie godziny w towarzystwie dudków, znarkotyzowanych jak on. Przychodził i przesiadywał. Miewała czasem, niespodziewanie, chwile łaskawsze. Dla tych chwil poświęcał dnie, wieczory, noce często bezsenne. Spozstrzegł szybko, że od samego początku bawiła się nim, drażniąc i pieszcząc naprzemian, jak ulubieńca kota, lub psa - poczcwiuca. Czuł to - lecz wolał znieść wszystko, niż stracić prawo przebywania w kręgu zaczarowanym, w atmosferze niezdrowej, męczącej, ale - przedziwnej. Nie mógł odejść - nie mógł się od niej oderwać, jakby ów złoty włos omotał go całego z mózgiem, wola i sercem.

Tadeusz spojrział znów na zegarek. Dochodziła pierwsza.

- Teraz na pewno jest sama - pomyślał. - Przed obiadem nie przyjmuje przecież nikogo.

Wszedł na schody z sercem bijącym - jak uczeń. Co jej właściwie powiedzieć? O jakie dopominać się prawa? Nie miał ich, lub miał - narówni z innymi.

- Szalony jestem, szalony! - szepnął, czekając przed drzwiami. - Ale niech się z tem liczy!

Otworzyła służąca. "A może Roger wyjątkowo jest w domu?" przemknęło mu przez głowę. Zapytał więc:

- Pan jest u siebie?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Pan wraca dopiero o czwartej.

- A... pani?

- Pani zajęta.

- Proszę powiedzieć pani, że przyszedłem. Panienka zna przecież moje nazwisko?

Pokojówka zaczęła kręcić róg fartuszka, spoglądając to na Halickiego, to na drzwi, zasłonięte portjera.

- Kiedy... proszę pana rotmistrza... Pani powiedziała, że niema jej w domu dla nikogo.

Gniew w nim zakipiał. Opanowując się, rzekł głosem przytłumionym:

- Pani wiedziała, że przyjdę. Czekam właśnie na mnie.

Zdjął palto i oddał je dziewczynie, wyraźnie zaskoczony tem oświadczeniem. Nie czekając dłużej, ruszył w głąb mieszkania, którego rozkład umiał napamięć. Minał jadalnię, buduar pani Ryśki, zasłany puszystym dywanem i zatrzymał się przed drzwiami jej sypialni. Były przymknięte, ale nie głośzyły toczącej się za nimi rozmowy. Tadeusz, który właśnie zamierzał zastukać, zawahał się.

-...Więc twierdzisz, że jednak wtedy widział nas? - mówił głos męski.

- W każdym razie wszedł do pokoju. Jestem tego pewna... - twierdziła pani Ryśka z przejęciem. - Tak pewna, jak teraz, że klęczysz tutaj przede mną...

- To mogła być służąca - ozwał się znów mężczyzna. Halicki poznał głos dyrektora Derkacza.

- Ach, jakiś ty zabawny, mój drogi! Zaręczam ci, mam doskonały wzrok, widzę pociemku, jak kot, więc go poznałam odrazu. Ostatecznie - wielka rzecz! Wiedziałaś, że tak się musi skończyć... Że mię skompromitujesz prędzej, czy później, mój ty najmilszy... Nie masz widocznie doświadczenia w tych sprawach, wybierasz nieodpowiednie do wyznań momenty... Pomyśl, wtedy równie dobrze mógł wejść nietylko doktorek, ale Munio, Adamski, albo ten nieznośny Halicki, który zaczyna mię denerwować swojemi westchnieniami...

Umilkła na chwilę, poczem ciągnęła dalej tonem lekkim, nieco rozkapryszonym:

- Właściwie nie rozumiem, co im się stało wszystkim... Łażą za mną,

śledzą każdy mój ruch, nie dają mi spokoju...

- Bo jesteś czarująca... - westchnął brodac.

Halicki słuchał z zapartym oddechem. Wchłaniał chciwie każde słowo tego osobliwego dialogu. Powoli, zrazu mglisto, począł sobie przypominać bardzo podobną rozmowę, na ten sam temat. Kiedy to było? Na ławeczce w Biedronce, czy później, owego wieczoru - tutaj, w tym samym mieszkaniu? Może nawet w tym samym buduarze...

Pani Ryśka ciągnęła dalej:

- Czarująca, czarująca! Mam już dość tego! Nie chcę być czarująca, nie chcę, by mnie prześladowali wyznaniami... To wszystko tak mię nudzi i męczy! Oni są wszyscy jednakowi, zabójczo jednakowi... Chcę, byś ty jeden mię kochał! Tylko ty... Nie znoszę ich! Oni patrzą na mnie takim wzrokiem, jakby chcieli mnie zjeść...

Dyrektor wymamrotał coś niewyraźnie, prawdopodobnie jakiś nowy komplement.

- Nie mów tak! - zaprzeczyła żywo. - Jeżeli mi się spodobałeś odrazu, od pierwszej chwili... No, dajże spokój, nie przeszkadzaj mi... Jeślicie pokochałam, to właśnie dlatego, że jesteś inny od nich, zupełnie inny! Byłam pewna, że ty właśnie mię rozumiesz, odczujesz... Oni wszyscy w gruncie rzeczy uważają mnie za zabawną istotkę, z którą bardzo przyjemnie poflirtować, ale której nie można brać na serjo... Nikt mnie nie traktował poważnie... Nawet Rożek.

Tadeusz uczył w tej chwili, że mu kroplisty pot wystąpił na czoło. Machinalnie podniósł rękę, przesunął nią po oczach, jakby dla przekonania się, że jest przy zdrowych zmysłach, że ta rozmowa za drzwiami nie jest halucynacją, nie jest tylko wspomnieniem, tak jeszcze świeżem...

Mimo, że nie mógł widzieć rozmawiającej parki, jakże dokładnie wyobrażał sobie tę scenę: siedzą oboje blisko siebie, ona oparła mu na piersi główkę złocistą i skarży się cichutkim szeptem: "kochać troszeczkę... Rysieńka taka biedna! Rysieńka tak o tem marzyła". A, nie! Tym razem inscenizacja nowa: "ona" siedzi na błękitnej kozetce, a "on" klęczy u jej maleńkich stóp... Była przecie mowa o tem, że klęczy. Cudowna grupa! Tęgi, barczysty dyrektor najbogatszej w kraju fabryki klęczy na dywanie przed najmniejszą i... najnieszczęśliwszą w kraju kobietą i przysięga szeptem wzruszonym, że kocha, że nie przestanie kochać... Wspaniała, gęsta broda opiera się o smukłe kolanka pani Ryśki, a nieco wyżej błyszczący wzrok rozkochany...

- A jednak Adamski się omylił! - pomyślał Tadeusz z gorzkim zadowoleniem. - Ona ma bardzo ograniczony repertuar swoich "sposobów". Zbyt często się powtarza w scenach kulminacyjnych... Recytuje napamięć wypróbowany monolog, zapominając, że to wkońcu może znużyć słuchacza. Ach, prawda, zapomniałem tylko, że przecież to jest aktorka, grająca ciągle w tej samej sztuce swoją najlepszą rolę. Tylko widzowie się zmieniają. Dlatego każdy jest "pod wrażeniem" i... bardzo mocno "przeżywa" treść...

Rozmowa toczyła się dalej, ale Tadeusz już nie słuchał. Cicho przeszedł zpowrotem buduar i zatrzymał się pośrodku jadalni. Tutaj dopiero odchrząknął głośno, odkaszlnął i zamaszycie zawrócił, stukając obcasami. Z sypialni doleciało gniewne pytanie:

- Kto tam chodzi?

- Tadeusz Halicki, do usług! - odparł bardzo dobitnie.

- Pan? Tutaj? Proszę zaczekać, zaraz będę gotowa. Co też pana sprowadza o tej godzinie? Jeszcze nawet śniadania nie jadłam.

Weszła z rękoma przy włosach, owinięta w cudowny jedwabny szlafroczek koloru lawendy, biało-różowa i świeża, jak poranek wiosenny.

- Cóż to za nowe zwyczaje! - ozwała się z niezadowoleniem - niedługo zaczniecie przychodzić o świcie. Jeszcze chyba niema dwunastej?

- Już po pierwszej - odparł, kłaniając się ceremonjalnie. - Sądziłem, że pani wybaczy... przyszedłem się pożegnać.

- Wyjeżdża pan? Nic nie wiedziałam. Wczoraj, o ile mię pamięć nie myli, nie było o tem mowy. I dokąd to tak nagle, można wiedzieć?

- Do... domu... - rzekł, usiłując opanować wzburzenie. - Zasiedziałem się tutaj. Czas wracać. Dlatego pozwoliłem sobie przyjść o godzinie tak

wczesnej... Zresztą, nie byłem pierwszym gościem dzisiaj...

- Tak pan sądzi? - spytała, mrużąc oczy.

- Tak sądzę, ponieważ... palto pana Derkacza widziałem w przedpokoju.

- No proszę! Co za spostrzegawczość! Powinien pan stanowczo przenieść się z ułanów do... defensywy. Mieliby tam z pana pociechę.

Oczy jej wyglądały teraz, jak dwie czarne kreseczki. Barwa naturalnych rumieńców przebiła cieniutką, kunsztowną powłokę z pudru i różu. W kasku swoich złocistych, mimo szarego dnia, włosów - niedbale upiętych i roztrzęsionych nad czołem - była prosto urocza.

- I cóż? - ozwała się po chwili, krzywiąc buzię - przyszedł mi pan oznajmić o wyjeździe? Tylko to? Bardzo mi przykro!... Do widzenia. Życzę dalszej sielanki na tle pięknej natury...

- Ryśko! - zawołał nagle, chwytając ją za rękę. - Wiem wszystko! Ten Derkacz jest tu oddawna... Rozmawiałas z nim w taki sposób... w taki sposób... Chciałem ci tylko powiedzieć, że - prosto niegodziwe i wstrętne. Tak, wstrętne!

- Proszę puścić! - syknęła, wrywając rączkę z nazbyt mocnego uścisku. - To boli! Pan się chyba nie orjentuje w tej chwili, że ta scena... ten ton... Jakiem prawem pan mówi do mnie w ten sposób? Kto pana upoważnił? Co to pana obchodzi? Zdaje się, że tutaj, w tym domu, mogę widywać, kogo zechcę i kiedy mi się spodoba?... Zdaje się, że tylko mój mąż miałby coś do powiedzenia w tej sprawie! Od kiedyż to pan stał się moim aniołem stróżem... Stróżem mej moralności! Ha, ha ha! I to właśnie... pan! Doprawdy, można się uśmieć...

Każde słowo godziło w Tadeusza, jak bolesne uklucie. W tej chwili zdawał sobie sprawę, jak śmieszna, jak niestosowna była ta jego nagła interwencja. Istotnie - cóż on miał za prawo do tej kobiety kapryśnej, zepsutej i w dodatku podkpiwającej z niego ile wlezie? Stał milczący i onieśmielony, zawstydzony i pełen rozpacz. Po długiej dopiero chwili, gdy pani Ryśka jęła się zwolna uspokajać i tylko patrzyła na niego napół ciekawie, napół wyczekująco, szepnął z wysiłkiem:

- Przepraszam panią. Rzeczywiście postąpiłem, jak student pijany. Teraz już wiem: nie kochała mię pani nawet przez chwilę.

Wzruszyła ramionami i wzniosła oczy do góry, biorąc sufit za świadka, że oto jakiś śmiałek bezczelny ma do niej pretensję - i o co?!!

- A czy ja panu powiedziałam kiedy, że kocham? Proszę sobie łaskawie przypomnieć! Lubiłam pana, owszem. Nawet bardzo. I korciło mię trochę, że pan tak mało zwracał na mnie uwagi... z początku. No i... chciałam, tak, chciałam dać panu małą nauczkę. A teraz - dość. Z miną sentymentalną wygląda pan naprawdę komicznie. Mój Boże! Ci mężczyźni są czasem naiwni, jak dzieci! Gdyby każdy, z kim zachciało mi się poflirtować tak, troszkę, pour passer le temps, zrobił mi później wielką scenę i występował w roli pokrzywdzonego wierzyciela, musiałabym chyba uciekać stąd czem prędzej... Zresztą i tak zapewne wkrótce wyjadę.

- Życzę szczęśliwej podróży.

- Nawzajem.

- I... nowych zdobyczy w rodzaju pana Derkacza.

- Nie lubi go pan. To trudno. Mnie się on naprawdę podoba...

- "On - czy jego fabryka?" - pomyślał Tadeusz, składając ukłon przesadnie oziębły.

Wsiadł do dorożki i pojechał prosto do domu. Teraz, rozpamiętując całą tę scenę, czuł tylko niesmak i żal do siebie samego. Poco to wszystko?

Obraziłem ją i teraz sprawa skończona. Skończona? Tak, naturalnie. Zresztą - musiało się tak skończyć. Im prędzej, tem lepiej. Igrała ze mną, bawiła się mną, dopóki nie zacząłem być nadto wyłącznym - czyli... niewygodnym. Czyż nie mówiła mi otwarcie, nawet cynicznie: - Nasz flirt? Ca ne tire pas a consequences - a ja dureń, dureń, dureń, mieszałem serce do tych spraw! Dobrze, że się tak stało. Rzeczywiście, dała mi dobrą nauczkę... I jestem uleczoney!

Wysiadł z dorożki, zapłacił za kurs pięciozłotowym papierkiem i wchodząc na czwarte piętro, powtarzał z uporem:

- Uleczony, uleczony...

Usiłował odpędzić natrętny obraz małej osóbkii, tak złej, takiej przewrotnej, o włosach pachnących tak cudownie...

Pierwszy pokój był pusty. W drugim, pod oknem, siedział Olek, zatopiony w lekturze. Nawet nie podniósł głowy na widok szwagra.

- A, jesteś - rzekł Halicki - nie byłeś dzisiaj na wykładach?

- Odprowadzałem siostrę na kolej.

- Wandzię?

- Nie, Panią Halicką - warknął chłopak, nie odrywając oczu od książki.

Tadeusz zdumiał się, chciał jeszcze o coś zapytać, lecz nagle dostrzegł na twarzy Olka wyraz szczególny: pogardy i nienawiści.

- Była w Warszawie! - pomyślał z nagłą trwogą. - I nawet nie spróbowała się ze mną zobaczyć!... Mania wie wszystko! Wie wszystko...

## Rozdział Xxi.Ñ

### Rozmowa jakich mało

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzyły się same po naciśnięciu klamki.

Adamski wszedł do pokoju, wytarł starannie nogi o leżącą przed progiem szmatę, zamknął za sobą drzwi, zdjął palto, powiesił je na szaragach i teraz dopiero podszedł bliżej ku światłu.

Tadeusz nie poruszył się, nie podniósł głowy, opartej na rękę, - nie podniósł nawet oczu z nad biurka, na którym wśród stosu zakurzonych papierów stała szklanka z niedopitą herbata, okopcony imbryk i niski wazonik z dawno uschniętą, szerniałą chryzantemą.

- Serwus! - rzekł Adamski. - Cóż to, siedzisz, jak borsuk w swej norze, nosa na świat nie pokazujesz... Chory jesteś, czy cię spotkało jakie nieszczęście?

Tadeusz wyciągnął rękę na powitanie i spytał:

- Wiesz? Komornicki zastrzelił wczoraj Nanetę.

- Przesada - mruknął Adzio, sadowiac się na fotelu. - Chciał ją zastrzelić, ale ją tylko postrzelił. Coprawda, nie byłem zaskoczony tą wiadomością. Zdradzała go, z kim mogła i kiedy mogła, a on zamierzał dać jej swoje nazwisko! Wreszcie przebrała się miarka i... palnął do niej z Colta. Mojem zdaniem, głupstwo zrobił, że źle celował, pięknotka wyliże się za jakie dwa tygodnie i będzie chodziła dumna ze skandalu, w aureoli ofiary... Tak się nie likwiduje podobnych spraw, mój drogi. Trzeba wyrwać z serca zadrę, jeśli tam siedzi nieproszona i boli, a kula tego nie uczyni. Ale my jeszcze hołdujemy romantycznym epilogom zwykłych awantur, którym do romantyzmu daleko. Jestem pewien, że Roger byłby także zrobił podobne głupstwo, to jest strzelił do siebie, albo do żony, lub pokolei: najpierw do niej, potem do siebie, gdyby się w porę nie spostrzegła i nie uciekła, gdzie pieprz rośnie...

Halicki wstrząsnął się, jak człowiek nagle zbudzony ze snu.

- Co ty mówisz? Pani Ryśka uciekła?

- Jakto - nic nie wiesz? Ależ o tem właśnie mówi dziś cała Warszawa! - zawołał Adzio, tym razem o wiele głośniejsze i szybciej niż zwykle wyrzucając z gardła wyrazy. - To był dopiero skandal, co się zowie! Uciekła, a jakże. Uciekła zagranicę z tym swoim Der - Der - Derkaczem. Więc naprawdę nic o tem nie wiedziałeś? Przecież to się stało parę dni temu!

- Nie byłem u nich od tygodnia... Mało wychodzę z domu... - szepnął Tadeusz. - Więc jednakże... uciekła z nim! Z tym podstarzałym donżuanem prowincjonalnym!

Adamski pokiwał głową.

- To było do przewidzenia. Atmosfera ich domu pachniała oddawna skandalem. No i jest skandal. Ale trzeba przyznać, że to kobietka wyrachowana i bardzo, ba-ardzo sprytna. Nanecie ani się z nią mierzyć! To był majstersztyk swego rodzaju. Wodziła za nos dudków, póki się dało, a

widząc że Rogerowi sprzykrzyło się zamykać oczy - i czekać, aż mu się żona "wyszumi" - uciekła z fabrykantem, który nie jest wprawdzie młokosem i dudkiem, ale... ma "dudki" i to grube.

Denck z początku oszalał, odgrażał się, że pojedzie za nimi, dogoni, sprawi łaźnię, - aż wreszcie powoli uspokoił się i machnął ręką. Ma słuszość. Nie warto palcem kiwnąć. Co miała uczynić, już uczyniła przedtem. Jak ten chłopak się męczył! Doprawdy, żal było patrzeć... I pomyśleć, że on ją rzeczywiście kochał! Pamiętam kiedyś, już dosyć dawno, rozgadaliśmy się na temat małżeństwa i nowoczesnych kobiet... i kobiet wogóle... no, wiesz. Jak on wtedy gorąco jej bronił każdym słowem! "Teraz, - powiada do mnie - mamy przecie inne czasy, inne warunki. Jest równouprawnienie. Czy można się dziwić kobiecie, że chce spróbować życia? Myśmy wszyscy "żyli" i to jak dobrze! Kobieta także powinna się "wyszumieć..." kto wie, czy takie właśnie doświadczone zrównoważone istoty nie rozpoczną nowej ery: szczęśliwych małżeństw! Co wiedziała o życiu gąska, wypuszczona z klasztoru? Nic, albo gorzej niż nic, bo jakieś idjotyczne bajdy o żelaznym wilku! Dlatego, wychodząc zamaż nie mogła być odpowiedzialna za siebie, za swą przysięgę w kościele, za przyszły spokój domowy i szczęście. Z chwilą, gdy pozna lepiej świat - i smak owocu zakazanego - obrzydzi sobie wiele "przyjemności życiowych, uspokoi się, ustatkuje, jak my - zatęskni do własnego ogniska, jak my - i będzie go lepiej strzegła w przyszłości".

Odpowiedziałem, że jego teorie nie są nowe i że nie dziwiłbym się wcale, gdyby je wygłaszał, na przykład Żyd. Żydzi mają inną etykę, inną moralność; ich organizm wytrzymuje z łatwością działanie trucizny, która nam - pali wnętrzości. Ba! nawet odżywi się nią w razie potrzeby, strawi ją, jak kawałek mięsa lub garstkę bobu. Ale nasz żołądek moralny nie znosi takich eksperymentów. Weźmy choćby czasy dzisiejsze, dzisiejsze mody, dzisiejsze rozrywki - tańce dzikusów, przywleczone tu via "zgniły zachód" i zaszczeplone na naszym gruncie! My, mój kochany, jesteście i musimy być romantykami, a romantyczny kochanek, zarówno jak romantyczna kochanka nie potrafią żyć i kochać, odarłszy miłość z szatek poezji. Trzeba nam ideałów, do których modliliśmy się zawsze. Takim ideałem poza słowami "ojczyzna", "honor" et caetera, była zawsze kobieta polska: żona, matka czy siostra. Trzeba nam takich ideałów, bo do innych nie dorośliśmy, albośmy je przerośli - jak kto uważa.

Typ nowoczesnej kobiety z jej pustką wewnętrzną (mówię o naszych "paniach" z towarzystwa ostatniej doby) zewnętrznym blichtrzem i rozwyrzeniem moralnym - jest i będzie nam zawsze obcy. Pogodzimy się z nim powierzchownie, będziemy go aprobowali, nawet - wychwalali wielkim głosem, ale to są przekonania napokaz. Prawie wszyscy lubimy patrzeć na kobietę strojną, dowcipną, umiejącą wybornie tańczyć, zajmująco rozmawiać o niczem... Lubimy nie tylko patrzeć na nią, ale nawet dla niej - na chwilę - oszaleć, atoli pod tym jednym warunkiem, że to będzie kobieta obca. Żona, siostra, czy kochanka naszego znajomego. Rzecz się przedstawia nieco inaczej gdy chodzi o naszą własną żonę, lub siostrę. O tamtych mówimy; "jest fascynująca, szampańska, ma w sobie coś pikantnego - słowem - podoba mi się, jak alkohol, który podnieca". Ale jeśli mówimy: "z tąbym się ożenił" to znaczy, że znaleźliśmy w niej ideał żony i matki, drzemiaczy w każdym sercu zdrowo myślącego mężczyzny. Są jednak i tacy, którzy się żenią, że tak powiem, bezmyślnie. Mojem zdaniem Roger popełnił właśnie ten błąd, że się ożenił ze swoją żoną...

Ktoś powiedział, że na całym świecie są tylko dwa zasadnicze gatunki kobiet, matki i ladacznice. Pierwszym może być nawet odjęta słodycz macierzyństwa, - drugie zostaną zawsze sobą, chociażby miały pół tuzina dzieci. Otóż z pierwszymi człowiek rozsądny się żeni, co do drugich... może je nawet "kochać" jeśli nie szkoda używać tego słowa dla określenia uczuć, nie mających nic wspólnego z miłością.

Wracając do Rogera, twierdzę, że popełnił dwa błędy zasadnicze, za które dziś pokutuje. Uczynił żonę swą z kobiety, urodzonej na rozkoszną kochankę, ożeniwszy się zaś - postępował z nią właśnie tak jak z rozkoszną kochanką.



Niestety, miłość, mój drogi, jeśli nie ma innego celu, jak tylko zadowolenie zmysłów, - musi się sprzykrzyć, przejść, niby wykwiniona potrawa podawana codziennie przez tydzień, miesiąc, rok... Tragedja Rogera polega na tym, że pani Ryśce sprzykrzyło się pierwszej. Gdyby się stało odwrotnie - ona byłaby dziś tą istotą pokrzywdzoną i nieszczęśliwą.

Małżeństwo zbudowane choćby tylko na podwalinach rozsądku, (nie włączam tu spraw pieniężnych, bo to jest kalkulacja) choćby nawet pozbawione wzniosłych cech miłości, "jedynej, wiecznotrwałej i tak dalej" - małżeństwo takie jest jak chleb, który się nigdy nie przeje. Ten chleb przysparza obowiązków - a obowiązki - chleba. Jeżeli dodamy do tego szczęśliwy ewenement, że dwoje ludzi, dążących do założenia zdrowej, moralnej, uczciwej polskiej rodziny - kocha się całym sercem i z całym romantyzmem - wtedy będziemy mieli coś więcej: chleb z okrasą. Niestety, jesteśmy dziećmi, które zawsze wolały przejeść się ciastkami.

Adamski urwał i spojrzał na Tadeusza. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, wreszcie rotmistrz rzekł cicho:

- Dobrze... Zgadza się z tobą najzupełniej. Ale dlaczego mówisz dziś o tym właśnie... ze mną?

- Dlaczego? - Adzio pokiwał głową z uśmiechem smutnym i serdecznym. - Dlaczego właśnie z tobą? Bo jestem twoim przyjacielem. Ja, mój drogi, jak wiesz żyję w tak zwanym "świecie" - w tym naszym okropnym "światku", rojącym się od ludzi bardzo rozmaitych, ale jakże podobnych! Ponieważ życie moje tak się dotychczas układało, że nie miałem zbyt wiele czasu na obserwowanie samego siebie, - obserwowałem i obserwuję innych. I wierząc mi, widzę dość dużo rzeczy ciekawych, uderzających. Zastanawiam się nad nimi i dochodzę do wniosku, że przyczyna wielu nieporozumień leży nietylko w nas samych, w naszych usposobieniach i upodobaniach - ile właśnie w ryzykownych warunkach życia.

Biorę za przykład choćby ciebie. Znamy się nie od dzisiaj. Sporo wieczorów przegawędziliśmy, ot tak, jak to się gada - na byle jaki temat. Ale czasami spadała łuska ze słów - byliśmy szczerzy zupełnie i dyskusje, spory, nawet sprzeczki - odsłaniały dno charakterów. Pamiętasz "antykwarnię" i nasze żarty z twych upodobań domatorskich, z twoich "poważnych" poglądów na małżeństwo, z twoich "planów" matrymonjalnych, kreślonych wprawdzie w powietrzu, ale mających znaleźć w przyszłości realny kształt. Ty, mój kochany, miałeś w sobie kult domu rodzinnego, zakorzeniony od dziecka. Dla ciebie słowo "rodzina" nie było oderwanym pojęciem, ale żywą szczepionką, dla której trzeba tylko przygotować odpowiednie warunki, aby się rozwinęła pomyślnie. W tych latach, gdy ty zbierałeś sztuka po sztuce twoje piękne antyki, rozproszone po ludziach, gdy je zbierałeś i gromadziłeś z myślą o przyszłym domu, - kędyś, daleko od ciebie, rosła twoja przyszła żona. Rosła właśnie dla ciebie, jej serce kształtowało się podług twoich najśmielszych marzeń. Wyrabiała się powoli a nieustannie w ciężkich, ale jakże błogosławionych warunkach, na przyszłą matkę tych dzieci. Kiedy ją odnalazłeś, czyś ją od razu pokochał? Musiałeś długo patrzeć na nią, gromadzić swoje obserwacje, wzbogacać je drobnymi szczegółami z jej życia, które mówiły tak wiele. Z tych obserwacji wzajemnych wynikło - że jesteście dla siebie stworzeni. Za taką właśnie kobietą podświadomie tęskniłeś i dla takiej budowałeś swą przyszłość - w takim, jak ty, powinna była znaleźć oparcie. Z zaufaniem złożyła w twoje ręce swe życie, jasne i spokojne, choć pełne ciężkich doświadczeń i borykań się z losem. Otóż, jeśli mówiłem o ryzykownych warunkach, w jakie nas życie wprowadza czasami... Ale ty dobrze wiesz, o czym myślę w tej chwili.

Spojrzał znowu na Tadeusza. Oczy ich spotkały się - na krótko - bowiem powieki rotmistrza opadły szybko.

- Nie chcę ci robić wyrzutów. Nie mam do tego nawet żadnego prawa. Każdemu się zdarzy zejść z drogi obranej i celowo wytkniętej, tylko niestety, można czasami zabłądzić w uroczysku. Czasami jedno krótkie: "hop, hop! a bywaj!" od razu naprowadza na ślad zgubiony... Przyszło mi więc do głowy... że może tobie w tej chwili było potrzebne takie właśnie ludzkie, braterskie wołanie. Pragnę ci jeszcze powiedzieć, że cię głębiej rozumiem,

niż sądzisz. Mój drogi, uroczyska zwykle piękniejsze są od pól uprawnych i "ciągną" serce człowieka. Kobiety złe o tyle są niebezpieczniejsze od kobiet pięknych, o ile są równie piękne, jak złe. Tylko rusałki czynią z kochanka - topielca. A jeśli chodzi o panią Ryskę, jest rzeczywiście tak niesłychanie fascynująca, bajeczna, że ja sam miałem jedną, krótką wprawdzie, lecz pamiętną chwilę wilczego apetytu na jej urodę... Jeżeli w tym wypadku mogłem trzeźwo osądzić jej "zakusy" zaborcze, to dlatego, że w tym samym okresie czasu poznałem twoją żonę.

- Masz słuszną - szepnął Tadeusz - i masz prawo mówić do mnie o wiele surowiej, niż to czynisz. Byłem głupcem i w dodatku... podłym głupcem. Zresztą straciłem wiele dzięki temu... może wszystko.

Adzio uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Zmarnowałeś tylko niepotrzebnie ogromnie dużo czasu. Czy wiesz, jak dawno siedzisz tutaj? Jeżeli nie od sześciu tygodni, to... choć od sześciu dni powinieneś znajdować się w domu.

Powstał i podszedł do przyjaciela.

- Pomyśl, - rzekł głosem tak silnie wzruszonym, że nawet Tadeusz to spostrzegł. - Pomyśl... Ona tam czeka tak długo!... Teraz jest chora... Mniej więcej tydzień temu radziła się nawet lekarza, który jej kazał bezwzględnie położyć się do łóżka. Znalazł tak wielkie wyczerpanie, że pomimo, iż stan jej wymaga właśnie ruchu...

"Doktor? - pomyślał Halicki. - Więc ona wtedy jeździła do doktora?" Głośno zaś rzekł:

- Dziękuję ci. Jesteś prawdziwym moim przyjacielem.

- Chwała Bogu, zaczynasz odzyskiwać przytomność - zauważył Adzio zwykłym swoim tonem. - A teraz czy wolno mi zapytać, co zamierzasz uczynić w najbliższej przyszłości?

- Nie wiem. Jutro pojedę tam... A później... Zobaczymy, co będzie...

- Pojedziesz zaraz, natychmiast - odparł Adamski stanowczo. - Jeśli się myślisz wzbraniać, oświadczam, że cię odstawię ciupasem. A teraz marsz, zabieraj swoje rzeczy, pakuj walizkę i - jazda. Mamy trzydzieści pięć minut do odejścia pociągu, to nie za wiele.

- Myślisz, że ona mi przebaczy? - spytał nieśmiało biedny rotmistrz, zgarniając wszystko, co się nawinęło pod rękę, do neseseru.

- Ona? Z pewnością. Jak ty jej jeszcze nie znasz! - westchnął Adzio. - Jest atoli w Biedronce pewna osóbką, która nie tak łatwo zapomni o twoich sprawkach... Nawet radzę ci, nie leż jej zanadto przed oczy, bo to niewiasta energiczna, choć bardzo jeszcze młoda, i umie dawać wyraz swoim uczuciom...

- Wandzia! - zawołał Halicki, uśmiechając się po raz pierwszy od wielu dni. - O tak! Jeśli ona zagięła na mnie parol, będę musiał znieść srogie prześladowania!

Rozdział ostatni.Ñ

Powrót do Itaki

Śmieszna lokomotywa - karzełek sapała gniewnie, jakgdyby dwóch pasażerów drugiej klasy przysporzyło za wiele ciężaru jej wątłym siłom. Mikroskopijny tender trząsał się zabawnie i klekotał, a za nim trzęsło się i klekotało kilka maleńkich wagoników. Wszystko to sunęło krętą linią toru poważnie i powoli, omijając łąki zalane wodą, albo wydmy piaszczyste, porośnięte trawą żółką i lichą.

- Cóż to za straszny środek lokomocji te nasze kolejki podmiejskie! - westchnął Tadeusz. - Mam wrażenie, że zwykłą "drynda" warszawską dojechalibyśmy prędzej na miejsce. I pomyśleć, że tutaj, pod bokiem milionowego miasta niema kolei elektrycznych!

- Będą i one czasem, - odparł Adzio, wyběniając na szybie jakiegoś marsza. - Zwłaszcza tutaj, gdzie ruch rok rocznie wzrasta... Wiesz, co ci powiem? Miałeś nadzwyczajnego nosa ze swą Biedronką, o ile to nie był

przypadek. Kupiłeś ją prawie za bezcen. Już dziś jest warta dwa razy tyle.

- Nie kupowałem Biedronki na handel i przyznam się, że gdybym został zmuszony sprzedać ją...

- Przypuszczam, że nie będziesz zmuszony! - roześmiał się Adamski.

- Kto wie?

- Ach, myślisz o tej ostatniej racie? Głupstwo, mój drogi, to się da zrobić. Prawda, żeś niepotrzebnie zmarnował sporo grosza w Warszawie. Ale... czasem doświadczenie kosztuje znacznie drożej, Tyś je nabył za bezcen i - jesteś uleczony. Stefek Komornicki stracił przecież na swoją Nanetę połowę majątku, a jeszcze nie jest powiedziane, że na tem się skończyło. O, te aniołki potrafią drzeć łyko...

- Słuchaj! - szepnął Halicki, czerwieniejąc. - Może mi mówić rzeczy przykre. Zasłużyłem na to... Ale bądź co bądź stawiać panią Ryškę w jednym rzędzie z Nanetą...

Adamski wzruszył ramionami.

- Ech, Tadek! czy ci naprawdę tak bardzo zależy na etykietce? Bo mówiąc szczerze, co do samego gatunku, nie widzę różnic zasadniczych. Obie te panie w sprawach serca zdradzają jednaką skłonność do filantropji. L'amant du coeur nie płaci rachunków krawcowej, ani wystawnych kolacyj. Od tego są Komorniccy, Derkacze, e tutti quanti...

- Proszę cię, przestań! To jednak jest potworne!

- Masz słusność. Dzisiaj we wszystkich środowiskach znajdujemy takie Nanety. Czasem są to osoby z tak zwanych "lepszyc sfer". I na tem polega potworność naszych czasów, że kobietom, depczącym święte prawa rodziny, tradycje i obyczaje, okazujemy szacunek, którego ich siostry bliźnie przynajmniej się od nas nie domagały. Zresztą dość o tem. Ze zdumieniem i przerażeniem spostrzegam, że zaczynam prawić o moralności, jak kaznodzieja. Ale mi docna obrzydła ta maskarada, której się napatrzyłem dosyć w mem krótkim życiu. Spójrz, dojeżdżamy!

Halicki podniósł się wolno i z głową pochyloną ruszył ku wyjściu. Mała stacyjka była zupełnie pusta, nawet żółte psisko dróżnika skryło się gdzieś, przeklinając w swym psim języku psią zaiste pogodę.

Przeskakując kałuże błota, dwaj przyjaciele dążyli naprzód w milczeniu. Tadeuszowi przypomniał się nagle taki sam spacer z przed roku; w podobnie szary i brzydki jesienny dzień przyjechał tutaj po raz pierwszy, aby obejrzeć Biedronkę. Wydała mu się wtedy smutna i opuszczona na tle drzew obumarłych, bezlistnych. W tej chwili ogarnął znowu spojrzeniem wychylając się z za wzgórzka znajomą kępę krzewów otoczonych parkanem - i dach czerwony - i niebo ołowiane. Pomyślał: "wszystko tu znowu zakwitnie i zazieleni się z wiosną" i raptownie uczuł wstępującą w serce otuchę. Wszystko przemienie: głupota ludzka, i pycha, i zazdrość i żal - tylko wieczysta mądrość przyrody jest nieśmiertelna. Spojrzał na przyjaciela: Adzio szedł z rękoma w kieszeniach, z głową, wciśniętą w podniesiony kołnierz palta i pogwizdywał zcicha.

- Zimno ci? - spytał go rotmistrz.

- Nie powiem, żeby było gorąco. Wcześniej mamy listopad w tym roku! Ale pocieszam się, że dostaniemy zaraz gorącej herbaty, o ile panna Wanda nie zamknie się razem z kluczami na widok marnotrawnego szwagra.

- Ależ ty się jej boisz - zauważył Tadeusz z uśmiechem.

- Cóż chcesz, mój drogi, ta mała trzęsie całym domem. Z powodu choroby pani Marji i twojej nieobecności, wzięła ster rządów i trzeba przyznać, że jak na swój wiek, ma silną rękę...

- Widzę. Ty nawet zdajesz się być troszeczkę pod pantoflem.

- Hm... Ostatecznie nie byłoby w tem nic złego. Jeśli tym pantofelkiem kieruje mądra główka...

Obeszli dom, by wejść bocznymi drzwiami, prowadzącymi przez wąski korytarzyk wprost do pokoju Mani. W półmroku wpadli na Marcinową. Baba o mało nie upuściła stosu talerzy.

- W imię Ojca i Syna!.. - krzyknęła, ale Adamski przerwał szybko:

- Nie poznaje nas Marcinowa? Proszę dać zaraz herbaty, bośmy trochę przemarzli z panem rotmistrzem. A jak się czuje pani?

- Tak... niebardzo sobie. Powieda, że dziś lepiej, ale nasza pani tak zawsze! Bledziutka i na nogach ledwo ustoi.

- Czy jest u siebie?

- A gdzieby? Wstała przed południem na godzinę, tośmy ją ledwie namówiły, żeby wróciła do łóżka. Dopiero jak panna Wandzia zagroziła, że do pana napisze...

- A panienka gdzie?

- Musi w jadalni z paniczem Zbyszkiem. Ale że też panowie nie dali wcześniej znać! Obiadbym zostawiła... - ozwała się z nagłą pretensją do Halickiego. - I jeszcze się pani co stanie z wielkiej uciechy! Pan, to zawsze jednaki: raptem wyjedzie, raptem wróci, a ty człowieku domyśl się i szykuj kolację, żeby inaksza, niż na codzień...

Adamski pociągnął Tadeusza za rękę.

- Chodźmy. Ona nigdy nie skończy. Zaczekasz chwilę przed drzwiami, a ja uprzedzę panią Marję. Bo rzeczywiście, takie nagłe wzruszenie mogłoby jej zaszkodzić.

Halicki przygryzł wargi. Kilka miesięcy temu nie wyobrażał sobie podobnej sytuacji, takiego powrotu do domu: ktoś prawie obcy musi uprzedzić jego żonę... Ktoś obcy, choćby to był nawet najzacniejszy pod słońcem przyjaciel, zbliża się do drzwi zamkniętych, stuka i wchodzi, mówiąc tonem pogodnym, prawie żartobliwym:

- Moje uszanowanie pani! Pozwoliłem sobie przyjechać jeszcze raz, bo mam dla pani wesołą, bardzo wesołą nowinę!

Z głębi pokoju drżący głos Mani szeptał jakieś słowa niedosłyszalne.

- Tak! Kolega z biura wrócił nareszcie do zdrowia i...

Tadeusz uczył w tej chwili, że nie potrafi już stać dłużej pod drzwiami, jak skazaniec, oczekujący na wyrok, że musi wejść do tego pokoju, zobaczyć Manię, rzucić się do jej nóg i nawet błagać o przebaczenie. Lecz przedewszystkiem zobaczyć ją, zobaczyć! Ale właśnie na progu staje Adamski, uśmiecha się swoim zwyczajem i kiwa głową prawie z politowaniem.

- Idź - szepcze cicho z palcem na ustach - Idź teraz do niej. Tylko bez żadnych scen wzruszających!... Twoja żona nie ma do ciebie żalu o nic, ale pamiętaj, jest chora...

Miał zamiar dać mu jeszcze kilka pouczających wskazówek, lecz Tadeusz nie słuchał dłużej.

- No, tutaj moja rola skończona - mruknął Adamski - teraz mogę iść na herbatę.

Minał salonik i przystanął we drzwiach jadalni. Na kominku palił się ogień, oświetlając migotliwym blaskiem dwie postacie, siedzące przed samem paleniskiem, "po turecku" na ziemi.

-...ale ja do niego słowa nie powiem, zobaczysz! - mówiła groźnie Wandzia, potrząsając głową, na której dwa grube, mocno upięte warkocze tworzyły jasną koronę. - Chociażby nawet Mania w tej chwili wyzdrowiała! Niecierpię go! Niecierpię...

- Ech, ozwał się schrypniętym głosem wyrostek - teraz go raptem niecierpisz, a jeszcze tak niedawno mówiłaś, że się w nim ciągle troszkę ko...

- Wcale nie "ciągle" i tylko troszkę! - przerwała. - Ale teraz już wszystko skończone! Owszem, mogę ci nawet przysiąc, że wogóle... pogardzam mężczyznami! Wszyscy oni są podli i zostali poto wymyśleni przez Pana Boga, żeby nam życie zatruwać!

- Kiedy kobieta została później stworzona... - wtrącił Zbyszek, śmiejąc się. - Więc widzisz sama...

- No to co? Dość, że są wstrętni i zmienni, jak skarabeusze...

- Kameleony, chciałaś pewnie powiedzieć?

- Wszystko jedno. Ty się zawsze do czegoś przyczepisz! Nieznośny jesteś!

- Wiem o tem. Zawsze mi to powtarzasz... Ale ja przecież nie jestem taki zmienny, jak inni, to musisz przyznać, jeśli masz poczucie sprawiedliwości...

- Ty? - wzruszyła ramionami i spojrzała na niego prawie z politowaniem. - Ty się nie potrzebujesz zmieniać, bo... Ech, co tu długo gadać! Ale gdybym

tak kiedy uwierzyła twoim przysięgom...

- Ecce femina! - szepnął Adamski, uśmiechając się. - A jednak z tą bym się ożenił... Naturalnie, za kilka lat, gdy dorośnie i gdy się jeszcze trochę, tak jak dzisiaj... "wyszumi".